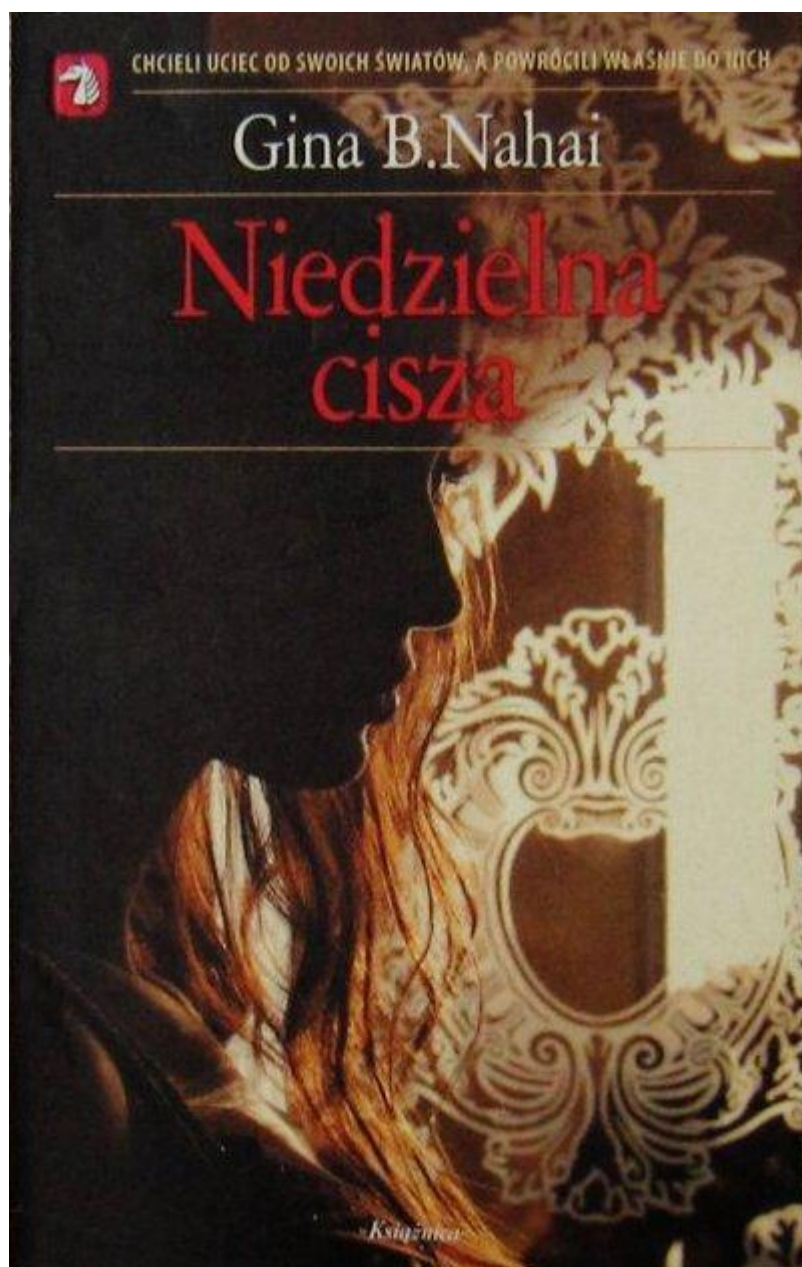




GINA B. NAHAI  
NIEDZIELNA CISZA



*Opis z okładki.*

*Kolejna niezwykła książka Giny Nahai, autorki powieści Księżyc i anioł, doskonale przyjętej przez czytelników w Polsce. Znowu zachwyca gawędziarski talent autorki, która jak nikt potrafi snuć opowieści o niepowtarzalnym klimacie, pełne egzotyki, emanujące pół rzeczywistą cudownością. Znowu są tu pogmatwane więzi miłości i nienawiści, ukryta przeszłość i fatum, które wisi nad bohaterami. Adam po siedemnastu latach wraca w ojczyste strony, aby zbadać okoliczności śmierci swego ojca, Małego Sama Jenkinsa, słynnego zielonoświątkowego kaznodziei. Mówi się, że Mały Sam został zamordowany, podejrzaną zaś jest Blue, kobieta piękna i tajemnicza, przywieziona z jakiegoś odległego kraju przez swego męża, Profesora, postać również zagadkową. Losy Adama i Blue już dawno splotło przeznaczenie, choć oni o tym nie wiedzieli, teraz połączy ich uczucie, które niszczy albo zbawia...*

TLR

Dla H.  
w dowód miłości

Posłuchaj...

Opowiem ci historię, której łatwo nie zapomnisz. Nie zamkniesz na nią uszu, nie zaprzeczysz jej, nie odwrócisz się, by pozostawić ją na moich wargach, w moich dłoniach.

Szukałeś jej długo; od wielu tygodni starałeś się ją odkryć, nie bacząc na cenę, którą przyjdzie ci zapłacić - tobie, a także innym. Przemierzyłeś świat cały szukając odpowiedzi, której tylko ja mogę ci udzielić. I oto stoisz przede mną, opancerzony zapiekłym gniewem, który stygnąc, stwardniał na kamień i zmienił się w kamienną pewność. Szukasz prawdy, chcesz ją okazać światu.

Przybyłeś, by mnie zniszczyć, choć twoje milczenie może mnie ocalić. Przybyłeś mnie zniszczyć, a ja mogę się bronić tylko w jeden sposób: dając ci moje słowa, jak dałam ci ciało; ujmując twoją dłoń i wodząc nią po moich wspomnieniach jak po skórze. Powiodę cię na pokuszenie nie namiętnością, lecz słowami.

Czy Prawda jest bardziej żarłoczna od Żądzy?

Podejdź bliżej. Pokażę ci to, co chciałeś poznać od chwili, gdy los nas złączył. Kiedy skończę, uwierzysz w to, co teraz wydaje ci się niemożliwe - że ty i ja jesteśmy jednym mimo wszystkiego, co nas różni; że niszcząc mnie, zniszczysz także siebie; że słuchając tej historii, ty - mój spowiednik, mój wróg, mój sędzia - stałeś się mym współnikiem. Posłuchaj więc...

\*

Lato 1975.

Sama go znalazła, gdy ponad wszystko pragnął ją zobaczyć. Szła przez miasto boso w białej bawełnianej sukience, a mężczyźni przystawali, by się za nią obejrzeć, niepewni, czy nie jest tylko tworem ich wyobraźni. Adam wyczuł ich podniecenie, nim jeszcze zdał sobie sprawę z obecności Blue. Słyszał szepty ich serc i słabe westchnienia, kiedy niczym powiew wiatru mijała ulice udrećzone spiekotą niedzielnego sierpniowego popołudnia. W duszy Adama ocknął się zadawniony żal. Czuł, że rytm kroków Blue idealnie współgra z rytmem jego oddechu. Zanim jeszcze podszedł do drzwi i spojrzał na nią, wiedział już, że nie powinien był tu wracać.

Przywiodła mu na myśl deszcz.

Stała przed nim, z niewinnym uśmiechem wznosząc ku niemu szafirowe oczy; burza złotorudych włosów spadała jej na ramiona białe jak płatki lilii. Smukłe, pewne w ruchach ciało, nagie chłodne ręce tchnęły zmysłowością. Uświadomił sobie, że nic o niej nie wie; że choć od kilku dni zbiera informacje o tej kobiecie, ani o cal nie zbliżył się do tego, by ją zrozumieć.

- Chciałam się z tobą zobaczyć - powiedziała.

Stali przed pensjonatem Lamar w centrum Knoxville. Był to stary dom w stylu kolonialnym, zbudowany na jednej z sześćdziesięciu czterech działek, z których pierwotnie składała się osada. Przez niemal czterdzieści lat nikt w nim nie mieszkał - w czasie Wielkiej Depresji ludzie zaczęli uciekać stąd do większych miast i exodus trwał aż do połowy lat siedemdziesiątych. Budynek stał więc pusty na wymarłej ulicy; okna pokrywał kurz, oplecione dzikimi pnączami schody próchniały ze starości. Wokół zaś spały puste magazyny handlowe, zamknięte biura, domy zamieszkałe przez gromady myszy i spalone koty; spały brukowane uliczki nawiedzane tylko przez nagie duchy i osierocone dzieci. Tory kolejowe ożywiały się czasem, by przepuścić pędzący skład towarowy, na stacji wszakże nie zatrzymywał się żaden pociąg.

Potem ojcowie miasta ułożyli plan, by tchnąć nieco życia w centrum Knoxville. Pensjonat został sprzedany za grosze jednemu chętnemu, ośmielonemu korzystnym kredytem na remont. Spraszano inwestorów, którzy mogliby przejąć opuszczone skle-

py i warsztaty. Postawiono latarnie uliczne. Otwarto dworzec kolejowy. Pomimo to rok później pensjonat wciąż należał do nielicznych domów, w których ktoś mieszkał.

Owej niedzieli Adam był tu jednym z czterech gości. Pozostałą trójkę stanowili studenci z Amsterdamu podróżujący po Stanach Zjednoczonych. Jeden z chłopców posłyszał nadejście Blue i stał teraz przy oknie swojego pokoju wychodzącym na ulicę. Nawet nie patrząc, Adam mógł sobie wyobrazić zdumienie młokosa, jego oczy łzawiące z wysiłku, gdy starał się wchłonąć nimi postać tej kobiety nie roniąc żadnego szczegółu. Szeptał pewnie do tamtych: „Chodźcie prędko, to naprawdę warto zobaczyć, będziecie ją wspominać do końca życia”.

Adam spędził w Knoxville już dziesięć dni. Oczywiście wiedział, gdzie znaleźć Blue. Od dwudziestu czterech lat - to jest odkąd przyjechała z jakiejś dalekiej egzotycznej krainy - mieszkała wciąż w tym samym domu w Fort Sanders. Jej mąż, znany powszechnie jako „Profesor”, przywiózł ją tu bez fanfar i nigdy nie rozwodził się o jej pochodzeniu. Od przyjazdu do Knoxville Adam krążył po mieście jej śladem, rozmawiał z ludźmi, którzy ją znali; przeglądał jej akta w miejscowym sądzie i biurze prokuratora, przetrząsnął archiwum lokalnej gazety w poszukiwaniu wzmianek o Blue i jej przeszłości. Wiedział, że w końcu musi złożyć jej wizytę - spojrzeć jej w twarz i ocenić samemu, czy krążące o niej plotki są prawdziwe czy fałszywe. Jednakże ilekroć już-już miał się z nią spotkać, płoszyło go instynktowne poczucie zagrożenia, przecucie, że w chwili gdy ją ujrzy, straci cały obiektywizm. Zachowywał więc dystans; dniami i godzinami wyczekiwał, aż ona zrobi pierwszy ruch.

- Wypytywałeś o mnie - powiedziała.

Uśmiech przeniósł się z jej warg do oczu; oblewał ciepłą falą wszystko, na co tylko spojrzała. Adam przyglądał się kącikom jej ust, dołeczкови na prawym policzku, subtelnie wygiętej linii, którą szyja łączyła się z barkiem. Sukienka, wycięta pod szyją w kształcie litery „V”, była niemal przezroczysta. Dostrzegał przez nią zarys nagich piersi, linię biegnącą w dół brzucha, wierzchołki kości miednicy ocierające się o cienką tkaninę. Jawiła mu się stworzeniem z innego świata, dziecięcym rysunkiem przedstawiającym kobietę - bo wszystkie te żywe, absurdalne kolory, czerwień, fiolet, błę-

kit, bardziej pasowały do ogrodu lub akwarium niż do ludzi. Przemknęła mu myśl, że kiedyś, dawno temu, kiedy wszystko jeszcze było przed nią, trzyletnia dziewczynka imieniem Blue wzięła pudełko kredek i namalowała siebie - kobietę, jaką kiedyś będzie.

Obróciła głowę, chroniąc oczy przed słońcem. Długie wijące włosy poruszyły się na ramionach i plecach, błyskając tysiącem świetlnych refleksów i otaczając ją nierzewczą aurą.

Weszła w cień, zbliżając się do Adama. W oknie na piętrze trzech Holendrzy wstrzymali oddech, nie śmiąc się poruszyć. Świadoma ich desperacji Blue uniosła ku nim wzrok na ułamek sekundy, uznając ich obecność i przyjmując hołd. Potem popatrzyła znów na Adama.

Pojął, że wcale się go nie boi, choć musi wiedzieć, dlaczego tu przybył - bo dowiedział się o śmierci Małego Sama Jenkinsa i przyjechał stwierdzić, jak do niej doszło. Możliwe, że Sam zginął z rąk Blue - tuż przed śmiercią powiedział to szeryfowi - Adam zaś postanowił dociec, czy tak było w istocie.

Blue podeszła jeszcze bliżej i zatrzymała się. Miał wrażenie, że ciepło jej ciała wpęła mu pod skórę niczym woda rozlewająca się po ziemi, wypełniająca szczeliny, sycąca odwieczne, palące pragnienie.

Nie bała się go.

- Wejźmy do środka - powiedziała.

Wnętrze pensjonatu było mroczne, pełne czających się cieni. Poprowadziła go wąskim korytarzem. Trzej Holendrzy gapili się na nią z piętra przewieszani przez poręcz. Właściciel pensjonatu, homoseksualista z Michigan, wyczuł ich wibrujące w powietrzu podniecenie i wyszedł na korytarz, by sprawdzić jego przyczynę. Z wykształcenia był projektantem kostiumów i przyjechał do Knoxville pod koniec lat sześćdziesiątych, aby wspomóc tutejszy teatr amatorski założony pod egidą uniwersytetu. Miał zamiar spędzić w Knoxville miesiąc, może dwa, lecz uwiodły go zieleń Apalachów i szeroko rozlany nurt rzeki Tennessee toczący się bezgłośnie przez miasto. Tutejszy

łagodny, wilgotny klimat koł wspomnienie twardej, wyschniętej ziemi Michigan, a w wyludnionym mieście mógł wreszcie poczuć się anonimowo. Teraz prowadził hotel i sycił swój zmysł artystyczny kolekcjonując szklane figurynki, których zbiór zajmował już niemal każdą płaską powierzchnię w saloniku na parterze.

Blue podeszła do niego i podała mu rękę. Uśmiechnął do niej się ciepło, porozumiewawczo - uśmiechem przeznaczonym wyłącznie dla niej, w żadnym razie dla Adama. - Odważna jesteś, moja droga - mruknął, wskazując ruchem głowy jej skąpą sukienkę, bose stopy i bezwstydnie rozpuszczone włosy. Pośród Uświęconych południowej Appalachii kobiety, które pokazywały nie osłonięte ciało, strzygły włosy lub ubierały się nieskromnie, uważane były za nierządnice; czekała je klątwa współwyznawców i społeczny ostracyzm. Pobożne niewiasty oblekały się w suknie do ziemi z długimi rękawami, upinały włosy na karku, nie nosiły makijażu, nawet zegarka. Jak dowiedział się Adam w trakcie rozmów z miejscowymi, do niedawna Blue stosowała się do tych rygorów i nigdy nie pyszniła się swą urodą, nie odsłaniała ciała jak ostatnio. Ale gdy kilka miesięcy temu umarł Mały Sam, Blue wyparła się swej grupy, a wraz z nią - wszystkich zasad rządzących jej powierzchownością.

Przyglądając się jej teraz, Adam pomyślał, że zaiste jest odważna - tak samo jak właściciel hotelu. Oboje byli wyrzutkami ze swoich plemion, buntownikami nie mającymi wiele do stracenia. Samotni, mogli liczyć tylko na zrozumienie innych upadłych aniołów.

Hotelarz obrzucił go ostrym, nieprzychylnym spojrzeniem, potem cofnął się, pozostawiając go wśród figurek z barwnego szkła.

Salon obity był kobaltowym pluszem. Na ciemnej podłodze stały krzesła pokryte żółtym i czerwonym aksamitem. Na stolikach, na gzymsie kominka pyszniły się niezliczone figurki zwierząt z połyskliwego szkła. Blue stała pośród nich w przejrzystej białej sukni; przez półprzymknięte okiennice padały na nią śmietankowe smugi światła. Wyglądała w nich równie krucho, czarodziejsko i lekko jak szklane zwierzątka.

Przeszła na środek pokoju i obróciła się twarzą do Adama. Sukienka otuliła ją jak kałuża bieli, podkreślając szafirowy odcień oczu i odsłaniając tylko bosc stopy. Blue



czekała, aż Adam wejdzie, on jednak stał na progu, oparty ramieniem o futrynę, zaintrygowany i wystraszony zarazem. Blue wabiła go i odstręczała; instynktownie zgadywał, że gdy się do niej zbliży, grozi mu niebezpieczeństwo. Jego ciało - wysokie, szczupłe i nieczule - skrzepło w zastarzałym, niemal wrogim napięciu. Wciąż miał sylwetkę człowieka, który spędził młodość przy pracy pod gołym niebem, ale wyglądał na więcej niż na swoje trzydzieści dziewięć lat. Sprawiała to szeroka koścista twarz ściągnięta na lewym policzku blizną po gwałtowniejszej od innych bójce. Jego oczy, jasnobrązowe jak i włosy, spoczęły na Blue, lecz jakby nie chciały jej widzieć. Spojrzała to i uśmiechnęła się.

- Zauważyłam, że obserwujesz mój dom - powiedziała.

Mówiła niespiesznie, głos miała głęboki i podszyty kusicielską nutką. Spływał jej z warg i przesycił duszne, stojące powietrze; osadzał się na grzbietach szklanych koników, w fałdach białych haftowanych zagłówek foteli, w pączkach róż na czerwono-niebieskim perskim dywanie.

- Wypytywałeś o mnie panią Roscoe, sąsiadkę z naprzeciwka. Rozmawiałeś też z moją przyjaciółką Anne Pelton z Pineville.

Zaskoczyła go, naruszyła układ, w którym to on miał być myśliwym, a ona nieświadomą ofiarą. Jednakże nie wydawała się wroga.

Adam sięgnął do kieszeni koszuli po papierosa i zapalił go. Pomyślał, że przejrzał grę tej kobiety. W ciągu lat reporterskiej włóczędzy spotykał takich jak ona - chojraków zapędzonych do narożnika, napastników, którzy nagle budzili się w pułapce i uświadamiali sobie, że jedyną szansą ucieczki jest przekonanie przeciwnika, że są niegroźni.

Wypuścił obłok dymu i patrzył przez chwilę, jak wije się cienką spiralą o barwie głosu Blue.

- Piszę artykuł - rzekł, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. - To nic osobistego.

Uśmiechnęła się znowu, jak gdyby chciała dać mu do zrozumienia, że wie lepiej. Poczł gniew. Był wściekły na siebie, że pozwolił jej zrobić pierwszy ruch. Musiał przejąć kontrolę nad sytuacją, podporządkować sobie bieg wypadków.

Strząsnął popiół z papierosa na drewnianą podłogę, o cal od jedwabnych frędzli perskiego dywanu, i nie zadał sobie nawet trudu, by go przydepnąć. Wszedł do salonu, usiadł na krześle przy biurku.

- Pracuję w gazecie - oznajmił z zamierzoną wyższością, zwracając się do niej niczym do zacofanej, niezbyt rozgarniętej osobki, za jaką być może miała ją reszta świata. - Będzie pani sławna.

Jego sarkazm najwyraźniej jej nie dotknął. Nie miała zamiaru podejmować wyzwania. Adam wyprostował nogi i oparł się głębiej w krzesło.

- Co pani na to?

W tejże chwili w drzwiach pojawił się michigański kostiumolog odziany w zielony lniany garnitur i zamszowe mokasyny. W ręku miał tacę z paterą czekoladek i jedną wysoką szklanką, u nóg zaś złotego perskiego kota. Na progu przystanął i obrzucił ich wzrokiem.

- Napijesz się, kochanie? - Patrzył na Adama, lecz nie było wątpliwości, komu proponuje drinka. - Napój lekki i słodki jak miłość z nieznanym - dodał zaczepnie.

Blue sięgnęła po tacę, wyciągając doń ręce, jakby chciała znaleźć u niego schronienie.

Posuwistym krokiem mijając Adama, właściciel hotelu rzucił:

- A pan będzie łaskaw korzystać z popielniczki.

Blue postawiła tacę na stole i na powrót uniosła wzrok.

- Przyjechałeś zapytać mnie o Sama - stwierdziła bez wstępów.

W jej głosie brzmiał cień żalu. Jest jak woda, pomyślał Adam, przejrzysta, czysta i silna. Nie tego się spodziewał; nie to miał nadzieję znaleźć.

- Chcesz wiedzieć, czy go zabiłam.

Podobała mu się jej śmiałość-to, że bez zmrużenia oka wymówiła te słowa, że jej ciało, jej twarz pozostały chłodne, nie ugięły się pod presją. Nagle znów ogarnęła go złość.

- A zabiłaś? - warknął.

Nie oczekiwał odpowiedzi, ale chciał, by to pytanie wreszcie nią zachwiało. Z satysfakcją patrzył, jak delikatne linie wokół jej oczu napinają się, a oddech zwalnia.

- Zabójstwo z premedytacją to nie przelewki - dorzucił. - W cywilizowanym świecie grożą za to poważne konsekwencje.

Słyszał gniew w swoim głosie, lecz nie mógł nad nim zapanować. Ujawniał zbyt wiele emocji, zdradzał brak obiektywizmu, a to mogło go kosztować utratę zdobytej pozycji.

- To znaczy - rzekł ciszej - jeśli chciałaś go zabić.

Podeszła do niego i przyklękła na podłodze obok krzesła. Ich oczy były teraz prawie na równym poziomie, jego nieco wyżej. Adam poczuł nagle, że chce dotknąć powiewnej tkaniny sukienki, chce obwieść palcem kontur górnej wargi Blue.

- Całymi dniami słyszę stukot twoich butów na asfalcie - szepnęła jakby do siebie. Patrzyła na niego tak, jak gdyby chciała sprawdzić, czy jest rzeczywistym człowiekiem, czy tylko nagle wskrzeszonym duchem. - Słyszę w głowie twój głos. Kiedy patrzę w lustro, widzę w nim białka twoich oczu.

Jej oczy były ogromne, głębokie i nieruchome - nie tyle obserwowały go, ile wchłaniały; brały w posiadanie. Miał uczucie, że unosi się w czymś gęstym i ciepłym. Kiedyś leżał nieruchomo z zamkniętymi oczyma na wodzie Morza Czerwonego.

Czuł słońce na twarzy i myślał: tak musi wyglądać śmierć.

- Patrzę na ciebie i widzę, jak splatają się nasze linie życia; jak nasze barwy przenikają się i mieszają, ciała łączą się ze sobą, szukając jedności...

Gdy mówiła, jej skóra pałała uczuciem. Miał ochotę ująć ją za rękę, zamknąć oczy i zasnąć wsłuchany w jej głos.

Nie przyszła mnie uwieść, pomyślał. Zaintrygował ją widok mężczyzny, który gapił się w okno jej sypialni, lecz nie zapukał do drzwi. Przyszła obejrzeć mnie z bliska.

Wciąż nic o niej nie wiedział.

Siedział w barze dla korespondentów zagranicznych bejruckiego hotelu Intercontinental i zabijał czas, sącząc tutejszy specjał - rozwodniony arak z anyżkiem. Wylądował w Libanie cztery miesiące wcześniej, gdy rozpoczęły się starcia między palestyńskimi bojownikami a chrześcijańskimi falangistami. Redakcja jego gazety w Chicago liczyła, że wojna potrwa kilka tygodni. Miała trwać piętnaście lat i obrócić kraj w ruinę.

Owego wieczoru w Bejrucie Adam siedział w pustawym barze, przysłuchując się biernie rozmowom innych reporterów. Zanim przyjechał do Libanu, mieszkał w Syrii, Egipcie, na Cyprze i w Turcji. Od dwunastu lat pisał dla tej samej chicagowskiej gazety, z czego od ośmiu opisywał wojny toczące się daleko od Ameryki i w gruncie rzeczy niewiele ją obchodzące. Udało mu się ominąć Wietnam i Kambodżę, nie zahaczył o Chile i w nosie miał całą aferę Watergate. Artykuły na pierwszą stronę i historyczne wywiady były dziełem innych - tych z uniwersyteckim wykształceniem i ambicją zdobycia nagrody Pulitzera. Adam ponad wszystko chciał uciec od kraju i związanych z nim wspomnień.

- Prawdziwe marlboro - podstarzały barman wyciągnął ku niemu czerwone pudełko. -Amerykańskie.

To moja ostatnia paczka, ale proszę bardzo, niech się pan poczęstuje.

Adam uśmiechnął się i odparł, że woli tutejsze, ręcznie skręcane papierosy.

- Jak pan sobie życzy - rzekł barman urażonym tonem.

Miał na sobie biały garnitur, spryskane lakierem włosy i wypielegnowane paznokcie. Mówił po angielsku, francusku, niemiecku, ormiańsku i arabsku. Do niedawna był właścicielem agencji turystycznej w zachodniej dzielnicy Bejrutu. Potem wybuchła wojna, turyści przestali odwiedzać Liban, a on podjął pracę w barze, gdzie mieszał drinki, zbierał napiwki i dyskutował o polityce z przychodzącymi dziennikarzami.

Adam zapytał go o narodowość.

Barman uśmiechnął się.

- Moja matka jest Druzyjką - powiedział, po czym urwał i zawahał się, jakby miał wyjawić jakąś głębszą prawdę. Następnie pochylił się do Adama, przekrzywił wyla-

kierowaną głowę i szepnął: -Byłem kiedyś w Malibu, w Kalifornii. Chciałbym tam jeszcze wrócić, zanim umrę.

W dowód swej niegasnącej miłości do Ameryki sięgnął pod ladę i wydobyl spod niej stosik starych gazet schludnie związany sznurkiem. Wiele trudu go kosztowało zdobycie tych pism, oświadczył. Przed wojną Bejrut był jedną ze stolic świata: w każdym kiosku, na każdym rogu sprzedawano prasę w dziesiątku języków. Teraz czeka wiele dni, nim do miasta dotrze świeży „New York Times”.

- Dzięki niemu mam kontakt ze światem - rzekł z dumą, nabożnym gestem podsuwając Adamowi gazety.

Numer na wierzchu pochodził sprzed dziesięciu dni. Nie chcąc urazić barmana, Adam zerknął niechętnie na nagłówki, wychylił kieliszek araku i przewrócił kartkę. W doniesieniach z kraju przeczytał, że siostra Blue Kerdi z Knoxville w stanie Tennessee, członkini Kościoła Nadziei i Odkupienia - działającej w Kentucky sekty zaklinaczy węży i połykaczy ognia - została zatrzymana pod zarzutem celowego spowodowania śmierci Małego Sama Jenkinsa.

Adam wpatrywał się w notkę, aż litery rozmyły mu się przed oczyma. Poczul sączącą się w żyły ulgę, musującą strużkę radości, która rozplynęła się w jego krwiobiegu aż po czubki palców. Znał tę ulgę, tę gorzko-słodką radość. Doświadczył jej, gdy jako dziecko po raz pierwszy ujrzal Sama, a potem przy każdym kolejnym spotkaniu. Później, kiedy opuścił Południe i uciekł jak najdalej, doznawał jej, ilekroć czytał o Samie w amerykańskiej prasie lub spotykał kogoś, czyje słowa ożywiały w nim wątłą nadzieję na rozwikłanie enigmy prześladowającej go przez całe życie.

I jak zawsze ulga zmieniała się w gniew.

Ofiara wypadku, dziewięćdziesięcioletni kaznodzieja, założyciel ruchu zaklinaczy węży w Kentucky, zmarł po ukąszeniu przez grzechotnika, którego podała mu Blue. Zmagając się z wężami od ponad pół wieku, w ciągu swojej kariery Mały Sam przeżył 446 ukąszeń wyłącznie dzięki wstawiennictwu Ducha Świętego. Odmawiał przyjęcia pomocy lekarskiej, gest ten bowiem świadczyłby o niedostatku wiary. Przeżyłby i

ostatnie, gdyby nie to, że - jak stwierdził, a wielu się z nim zgodziło - kobieta, która podała mu węża, pragnęła jego śmierci.

Zatrzymana na noc w okręgowym więzieniu siostra Blue przyznała się do pogwałcenia stanowych przepisów dotyczących niebezpiecznych zwierząt, odmówiła jednak odpowiedzi na pytanie o motywy, które nią kierowały, gdy wręczała Samowi jadowitego gada. Naciskany przez szeryfa i lokalne władze prokurator okręgowy rozważał postawienie Blue w stan oskarżenia, lecz ostatecznie wycofał zarzut zabójstwa.

„Nie żebym miał wątpliwości co do intencji siostry Blue” -oznajmił miejscowej prasie.

- „Ale same intencje jeszcze nie czynią zbrodni, a w ciągu trzydziestoletniej praktyki w sprawach karnych zebrałem dostateczne doświadczenie, by wiedzieć, że kwestie związane z wiarą są nie do udowodnienia w sądzie.”

Blue puszczono więc wolno, lecz decyzja ta stała się zacznem kwasów między policją a biurem prokuratora i ogólnie narobiła złej krwi. Podzieliła miasto Knoxville i wprowadziła zamęt do grupy Sama. Legislatura stanu Tennessee powtórnie wydała ustawę zabraniającą wykorzystywania jadowitych węży podczas zebrań publicznych i obrzędów religijnych. Blue z własnej woli przekazała swoje węże szeryfowi. Wyglądało, że sprawa kaznodziei na tym się zakończy.

Adam uniósł kieliszek do ust i Zorientował się, że jest pusty. A więc tak się to skończyło, pomyślał. Umarł, prawda zaś umarła wraz z nim.

Nie odrywając wzroku od gazety odstawił kieliszek na kontuar, zaczekał, aż barman go napełni, wypił jednym haustem i mruknął podziękowanie. Wyczuwając nagłą zmianę jego nastroju, barman bąknął coś o potędze słowa pisanego. Adam starannie złożył gazetę, umieścił ją na kontuarze, zapłacił i wyszedł.

Na zewnątrz zapadał zmierzch, powietrze pachniało wilgocią i solą. Dwaj ogoleni na zero chłopcy w podartych trykotowych koszulkach grali w piłkę nożną w holu zburzonego podczas bombardowań budynku, w którym niegdyś mieścił się salon samochodowy. Dalej pomarańczowe niebo wspierało się na granatowych falach Morza Śródziemnego.

Gazeta nie pisała o historii Sama, o jego życiu pełnym występku i sprzeczności; o ludziach, których zbawił, i tych, których zniszczył. Być może, pomyślał Adam, dziennikarz nie pogrzebał dość głęboko. Cóż zresztą mogą obchodzić resztę kraju losy członków jakiejś prowincjonalnej sekty? Zapalił papierosa i ruszył w stronę bulwaru biegnącego zachodnim nabrzeżem. Ongiś była to ruchliwa promenada, pełna ulicznych straganów i kafejek. Dziś opustoszała, zniszczona przez wojnę, ciągnęła się długim, cichym pasem złotych skał wyrastających wprost z morza. Adam wiedział, że powinien wrócić do hotelu i zadzwonić do redaktora nocnej zmiany, który czeka w Chicago na materiał; że powinien znaleźć się pod dachem przed godziną policyjną, nim o zmroku znów zaczną się bombardowania i ostrzał snajperów. Zamiast tego szedł dalej, ku łukowatej Gołębiej Skale sterczącej nad pionowym urwiskiem. U jego stóp tuliła się ciasna zatoczka wykorzystywana jako przystań przez miejscowych rybaków. Adam przyglądał się z góry posepnym, znużonym ludziom w chybotliwych łódkach. Mieli podwinięte do kolan spodnie, spieczone słońcem twarze, łuszczące się, pokaleczone nerwowe ręce.

Osiemnaście lat temu, zakradłszy się na pakę przejezdnej furgonetki, raz na zawsze opuścił Appalachy. Przebył daleką drogę, od Kościoła Nadziei w tamtych górskich dolinach dzieliły go lata doświadczeń. A jednak czuł, że góry wciąż go otaczają, zasłaniają mu horyzont, surowe i piękne jak wówczas. Oparły się jego próbom wypalenia z pamięci Sama Jenkinsa i innych. Dziś widział przeszłość jeszcze wyraźniej.

Wynajął kierowcę, który przewiózł go z Libanu do Jordanii. Tam dwa dni czekał na lot do Frankfurtu. Minęło osiem lat, odkąd stał na amerykańskiej ziemi. Z Frankfurtu zadzwonił do Chicago, by oznajmić, że wraca do domu.

- Do jakiego domu? - W głosie dyżurnego redaktora zabrzmiał sarkazm. Odkąd dla nich pracował, Adam nigdy nie miał stałego adresu ani nawet telefonu. Nie otrzymywał listów, nie wspominał o rodzinie, nie starał się zaprzyjaźnić lub choćby utrzymać stosunków towarzyskich z innymi dziennikarzami i fotoreporterami, z którymi współpracował w ciągu lat w różnych krajach. Zawsze w pędzie, gotów na wszystko, gdy kroił się dobry temat, znikał równie ochoczo, jak się zjawiał. Żył na plecaku -

miał w nim wytarte dzinsy i buty wojskowe, koszule kupowane po świecie, kiedy stare się zdarły, i maszynkę do golenia. Wydawał forszę, jakby nigdy nie zaznał biedy, brał kobiety, jakby nie były mu potrzebne, a nazajutrz już go nie było. Rzucił wszystko bez żalu i nigdy nie wracał. Jeśli ktoś uparcie go wypytywał, odpowiadał, że pochodzi z Południa; jego ojciec był bimbrownikiem, spotkali się z matką w kącie namiotu na parafialnym festynie we wschodnim Kentucky.

- A Liban? - irytował się redaktor dyżurny. - Jest tam na kontrakcie!

- Za tydzień wrócę - skłamał Adam i odłożył słuchawkę, nim tamten skończył protestować.

Pół nocy przesiedział w barze na lotnisku. Obok jakiś amerykański biznesmen w drodze do Detroit złopał czarnego Johnny'ego Walkera i bełkotał o jędrnych udach poznanych Niemek.

- To pewnie zasługa klimatu - powtarzał raz po raz z większą dozą szacunku niż podniecenia. - Albo coś w genach.

Mówił to do pulchnej Niemki w zbyt kusej minispódniczce i krótkim kożuszku, kupionym zapewne od tureckiego imigranta w brudnym zaułku przesyconym wonią dymu z fajek wodnych i mięsa pieczonego na odsłoniętych rusztach. Adam przyjrzał się jej. Nie była prostytutką, tylko samotną kobietą, która wyszła, by nareszcie się zabawić. Miała świadomość, że jej udom daleko do jędrności, że Amerykanin w ogóle ich nie widzi; że i na nią ledwie zwraca uwagę. Samotność czyniła ją niewidzialną. Kształt odsłoniętych ud, geny czy jej rozpacz nie miały tu nic do rzeczy.

- Za uda Niemek! - Amerykanin wznosił szklanę, rozglądając się po barze z błogim uśmiechem.

Adam schował się głębiej w swoim boksie i przymknął oczy. Usiłował zapomnieć o spragnionej miłości Niemce, wymazać z mózgu świadectwo jej klęski, by w ten sposób nie pogłębiać jej upokorzenia.

Przyszło mu do głowy, żeby ponownie zadzwonić do Chicago, wytłumaczyć, po co wraca, i poprosić dyżurnego o ściągnięcie nowych doniesień w sprawie Małego Sama i Blue.



Zbikowany kaznodzieja z jakichś zapadłych gór, zmarły od jadu węża, którego ktoś mu podał, i pochowany w szczerym polu za opuszczoną szopą...

„Co?”-Adam wyobraził sobie, jak redaktor ze zgrozą łapie powietrze. - „I dla tego wyjechałeś z Libanu?”

Nawiedzony zaklinacz węży, który nauczał o miłości Chrystusa, lecz siał wojnę; mówił o życiu wiecznym, lecz flirtował ze śmiercią; nie znał wstydu ani żalu, nie bał się ludzi ni Boga...

Wiele lat temu matka Adama, ufna w moc swej młodości, uwiodła Małego Sama Jenkinsa i urodziła jego dziecko. Potem jeździła za nim po czternastu stanach, próbując go zmusić, aby uznał syna. Umarła nie dopiąwszy celu. Udało jej się tylko zaszczerpić w Adamie ten sam gniew, który czuła do wiarołomnego kochanka. Adam był za młody, by zrozumieć motywy kaznodziei czy tajniki jego wiary; wolał uciec, niż szukać odpowiedzi mogących wyjaśnić los jego i matki. Im bardziej jednak oddalał się od Appalachów, tym bardziej ciążyły mu te pytania oraz przeświadczenie, że przez samą swą nieobecność działa na korzyść Sama. Usuwając się - żywy dowód jego grzechu zapewnił mu bezkarność i pozwolił pogrzebać prawdę w stosie kłamstw.

Dzieciństwo w Appalachach i lata patrzenia na okrucieństwa wielu wojen nauczyły go, że największa rzecz to nie dać świadectwa prawdzie.

Na lotnisku w Waszyngtonie dokupił papierosów, wynajął samochód i ruszył przed siebie. O czwartej po południu skręcił drogą międzystanową na zachód. Nie spał od dwóch dni, ale nie mógł znieść myśli, że miałby pozostać w bezruchu, ugrzęznąć w jakimś hotelu, nim dotrze do Knoxville. Szosa słała się przed nim prosto aż po horyzont. Ruch był niewielki. Silny ciepły, wilgotny wiatr wpadał przez okno, niosąc zapowiedź zmierzchu. Adam oparł głowę o zagłówek, próbując zignorować przyływ niepokoju, który dopadł go w chwili, gdy przez okno samolotu ujrzał barwy opartej o widnokrąg Ameryki. Znał tę drogę na pamięć. W dzieciństwie - w czasach gdy Sam Jenkins żył i nauczał rzesze, a matka Adama wszędzie za nim jeździła - przemierzył ją dziesiątki razy.

Jako dziecko Adam patrzył na zaklinaczy węży z mieszaniną czci i odrazy. On, bezradny śmiertelnik, stawał oto twarzą w twarz z żołnierzami Pana na tej ziemi. Fascynowała go głębia ich wiary, odstręczało zaś okrucieństwo, jakie okazywali innym ludziom, brutalność, z jaką traktowali własne ciała. Tak samo został potraktowany on i jego matka.

W późniejszych latach skrupulatnie analizował swe wspomnienia, czerpiąc z nich każdą drobinę wiedzy.

Czytał o świętych pielgrzymach, wypytywał o nich. Mimo to nigdy nie zdołał zrozumieć, w jaki sposób człowiek tak ułomny i grzeszny jak Mały Sam; człowiek, który obnosił swe wady niczym łaty na odzieży - jak człowiek taki zdołał ustanowić w chrześcijańskiej grupie wiernych kult własnej osoby i zgromadzić dziesiątki tysięcy wyznawców w kilkunastu stanach.

Aż do Wirginii szosa była szeroka, ruch przeważnie lokalny. Adam jechał do zapadnięcia ciemności, a potem jeszcze trochę, jakby samochód siłą bezwładu toczył się w ślad za czerwonymi tylnymi światłami poprzedzającego go wozu. Za Fairfaxem przystanął na parkingu dla ciężarówek i wszedł do bistra. Młoda, może piętnastoletnia dziewczyna napełniła kubek kawą, nim jeszcze usiadł. Miała na sobie wyblakłą czarną sukienkę i równie zblakły wyraz twarzy. Nalewając kawę patrzyła na niego; nie odrywała odeń wzroku, a jednak jej dłoń odruchowo wyprostowała dzbanek w chwili, gdy kubek był pełen. Minutę później postawiła przed nim wieprzowinę i placki, nalała wody do niedomytej szklanki i znikła w kuchni. Adam poczuł, że żołądek mu się kurczy od zapachu jadła, i odwrócił wzrok. Odór placków czy ziemniaków smażonych na tłuszczu, pieczonej wieprzowiny, a nawet zwykłego żytniego chleba zawsze przypominał mu młode lata - lata głodu, kiedy zasypiając marzył o jedzeniu, najeść się zaś mógł tylko podczas wspólnych wieczerzy po nabożeństwie.

Wypalił pół papierosa i nie tknąwszy posiłku zapłacił, nie patrząc w oczy dziewczynie o wyblakłej twarzy, po czym z powrotem wsiadł do samochodu.

W Wirginii droga się zwężyła, góry piętrzyły coraz wyżej. Prowadził w ciemności, sam na szosie, jeśli nie liczyć z rzadka przejeżdżających ciężarówek.

Całym umysłem czuł otaczającą go gęstą zieleń lasów wrośniętych w czerwonożółtą glebę, usianą czarnymi żyłami węgla lśniącymi jak ciemny kryształ. Od szosy odbiegały wąskie drogi gruntowe prowadzące w głąb gór, ku zapomnianym przez świat kotlinom mieszczącym parę domów, kościół i cmentarz.

Mały Sam nie żyje, pomyślał Adam, ale jego kult będzie trwał bez niego, wrośnięty w tę społeczność niczym węgiel w ziemię - głęboko i tak mocno, że brudzi wszystko, czego dotknie. Wyznawcy będą chronić jego dziedzictwo i powtarzać sobie jego słowa.. Wyruszą na krucjatę, czcząc pamięć swych męczenników i ochoczo przyjmując nowych członków. Faktem pozostawało bowiem, że nikt - ani niedowiarkowie głoszący, że wszystko to lipa, ani dziennikarze tropiący zaklinaczy węży w nadziei wykrycia iluzjonistycznych sztuczek (choć żadne takie sztuczki nigdy nie miały miejsca), ani nawet badacze, którzy przychodzili na zgromadzenia wyposażeni w cały osprzęt nowoczesnej nauki - nikt nigdy nie zdołał wyjaśnić, dlaczego węże przeważnie nie kęsają, ogień zwykle nie parzy, a trucizna nie zabija.

Jechał przez całą noc. Najpierw na zachód do Middletown, potem na południe drogą numer 11. Za Harrisonburgiem góry wyrastały wprost z pobocza - niemal pionowe ściany porośniętych drzewami skał sięgały ku niebu, przysyłając księżyc i gwiazdy. Za Christiansburgiem droga skręciła na zachód, a dolina zrobiła się jeszcze głębsza i węższa. Adam kierował się w stronę Cumberland Gap - wąskiej przełęczy w paśmie Appalachów łączącej stany Kentucky, Tennessee i Zachodnią Wirginie. Dwa wieki wcześniej przez ten wznoszący się szesnaście tysięcy stóp nad poziomem morza most ruszył w głąb kontynentu Daniel Boone.

Kiedyś Adam wbił sobie w pamięć - a potem starał się z niej wymazać - każdy cal tego krajobrazu, każdą barwę, każde zapadłe brudne miasteczko. Pomimo to gdy wstał świt, ogarnął go czarowny zachwyt odkrywcy.

Dolina ścieliła się przed nim jak dywan w tysiącu odcieni zieleni - soczystych, głębokich i zdumiewająco żywych. Ziemia była czerwona, powietrze przejrzyste i rozświetlone. Kiedy droga nieco się poszerzyła, ujrzał na pół zrujnowane drewniane chałupy na stoku. Między drzewami na sznurach suszyły się połatane szmaty. Po werandach walały się stare buty, piecyki, połamane ławki i beznogie krzesła. Choć od dawna już było jasno i koło domów powinny się bawić dzieci, nie spostrzegł żywego ducha. Mieszkał przez wiele lat w zatłoczonych miastach, gdzie cudzy oddech co chwilę omiata człowiekowi kark, toteż zapomniał, jak rzadko zaludnione są te góry. Tutaj samotność przynosiła ulgę.

Za przełęczą Cumberland główna trasa znów się rozszerzała i skręcała na północ, w stronę Kentucky. Knoxville leżało o dwie godziny drogi na południe. Krajobraz znały proste drewniane, malowane na czarno stodoły i maleńkie przydrożne cmentarze, których schludne nagrobki zdobiły świeże kwiaty. Co parę mil na horyzoncie pojawiał się samotny kościół-prosty jednoizbowy budynek z dwuspadowym dachem, opatrzony szyldem "Przydrożny Boży Kościół Uświęcenia" lub „Kościół Pana Naszego Jezusa Chrystusa, Który Dał Nam Znaki". Na wbitych w pobocze palach tkwiły tablice: CZY jesteś GOTÓW NA dzień sądu? albo: PRZYJDŹ WRAZ Z DZIECI SWYMI

podpisano: BÓG.

Adam minął Harlan, następnie Pineville, górnicze miasteczka wciąż nie mogące się podźwignąć ze zniszczeń. Będąc tu, pomyślał, łatwo zrozumieć, dlaczego Appalachia tak bardzo różni się od reszty kraju, dlaczego tak niewiele z tego, co dzieje się poza nią, dociera do tutejszych mieszkańców. Życie gór - odwieczne, lecz dalekie od znużenia,

ożywiane przez naturę, upartą i niezmienną - każe istotom rosnąć, ale nie podlegać zmianom. Majestat Appalachów jest zawsze taki sam.

Lynch w stanie Kentucky składało się z jednej ulicy na trawersie zbocza. Pozbawiona nawierzchni droga była na tyle szeroka, by zmieścić samochód. Nieliczne przy-

lepione do stoku sklepy straszyły wybitymi szybami, w pustych wnętrzach walały się wielkie kłęby kurzu. Dalej ciągnął się rząd jednoizbowych chat, w których dawniej gnieździli się górnicy. Teraz i one świeciły pustką; górnicy wyjechali lub może wymarli. Na podwórzach wciąż poniewierały się porzucone zabawki i kawałki mebli.

Podjechał do starego chwiejnego mostka z powiązanych liną belek, wiszącego nad wyschniętym korytem potoku. Za nim na terenie niegdysiejszej osady Corbin Glow stał wykolejony zardzewiały wagon, pęknięty na pół i pozbawiony dachu. Adam zawrócił i ruszył dalej w stronę Knoxville szosą numer 63. Zatrzymał się jeszcze tylko raz, przy starym siatkowym ogrodzeniu, za którym stał opuszczony ceglany budynek z pociemniałymi oknami, niemal całkowicie obrośnięty dzikim pnączem. Adam wysiadł z samochodu. Wilgotne powietrze obmyło go jak fala smutku. Mrużąc oczy w blasku słońca przyjrzał się kamiennej tabliczce, która wciąż jeszcze wisiała obok wejścia. STANOWY DOM DZIECKA STANU TENNESSEE.

Jedyny dom, jaki w życiu miał.

\*

Upał stał się nieznośny. Powietrze wewnątrz pensjonatu - gęsta, ciężka mieszanina dymu papierosowego, woni pasty do drewna i wilgoci - miało konsystencję masła. Po wyjściu Blue Adam pozostał w fotelu, ogłuszony emocjami, jakie w nim wzbudziła. Wokółupał rzucał cienie na ściany, upiory wpełzały ze swych kryjówek i wędrowały po domu w poszukiwaniu chłodniejszych miejsc - ciemnych półek w spiżarni, załamów śliskiej satynowej pościeli w łóżku właściciela pensjonatu, wanny na niedźwiedzich nogach w pokoju Adama. Kot właściciela wyciągnął się na perskim dywanie w salonie i lizał grzbiet delfina z purpurowego szkła.

Adam ze wszystkich sił starał się zapanować nad swoją reakcją na Blue, nad zmieszaniem, jakie czuł, ilekroć pomyślał o niej w związku z ojcem.

Po zmierzchu Holendrzy przebrali się w białe szorty i tenisowe skarpetki i hałaśliwie zbiegli ze schodów, zmierzając w nieznane - a konkretniej do jakiegoś baru, gdzie

będą mogli chlać amerykańskie piwo i wspominać Blue, aż stracą przytomność lub do chwili, gdy upał wreszcie zelżeje. Właściciel pensjonatu w towarzystwie kota ruszył na obchód budynku, zamykając okiennice, by odeprzeć nimi skradającą się ciemność.

- Nie można dopuścić, by zmrok wkradł się do domu - powiedział zapalając stojącą lampę z malowanym jedwabnym abażurem.

Adam udał, że go nie widzi i nie słyszy. Urażony jego obojętnością właściciel dołożył starań, by sprowokować go do jakiegokolwiek reakcji.

Spędziwszy w Knoxville kilka ubiegłych dni, Adam bez większego trudu poskładał w całość fragmenty historii Blue. Łatwo było ustalić fakty i nie budziły one większych wątpliwości. Jak na ironię, właśnie ich prostota pozostawiała pole dla spekulacji.

Blue była cudzoziemką. Pojawiła się w Knoxville w 1951 roku jako czternastoletnia, świeżo poślubiona żona wykładowcy wymarłych języków z Uniwersytetu Stanu Tennessee. On również był niewiadomego pochodzenia. Osiedlił się tu krótko po II wojnie światowej, przez lata mieszkał sam w Fort Sanders i uczęszczał na msze do Pierwszego Kościoła Baptystów przy głównej ulicy. W środy chodził do kina Bijou, potem samotnie jadł kolację w „S&W”. Był uprzejmy i grzeczny dla sąsiadów i współpracowników, lecz poza pracą nie miał żadnych znajomych i nigdy nikogo nie zapraszał do domu. Pewnego lata wziął urlop z uczelni i wyjechał na wiele miesięcy - na Wschód, jak oświadczył, tam, skąd język bierze początek. Z wyprawy przywiózł Blue.

Starszy o trzydzieści jeden lat Profesor zajął się poważnie edukacją młodej małżonki. Nauczył ją zasad życia w mieście i języka angielskiego w mowie i piśmie; kupował jej tuziny książek i suknie w domu towarowym Hessa (najlepszym w mieście), ale nie pozwalał samej wychodzić z domu, nadzorował każdy jej ruch i każdy kontakt. Ich małżeństwo od początku wydawało się dziwne. I tak zaczął się pierwszy akt tragedii.

Gdzieś pod koniec roku 1956 Profesor zainteresował się grupą świętych pielgrzymów i poczynaniami Małego Sama.

Przez jakiś czas uczęszczał na spotkania grupy, odbywające się w różnych miastach i miasteczkach Południa. Nie ufano mu i z początku go odtrącano: pochodził z zewnątrz, z innej klasy społecznej, na dodatek był cudzoziemcem. Grupa uświęcenia otworzyła przed nim swe podwoje dopiero wtedy, gdy Profesor przyprowadził na nabożeństwo młodą żonę. Była tak śliczna, że żaden mężczyzna z własnej woli nie pozabawiłby się jej widoku. Ponadto już za pierwszym razem wzięła do rąk węża i robiła to podczas każdej ceremonii. Nieustraszona ponad wszelkie pojęcie, mocowała się z węzami, których nikt inny nie śmiał dotknąć, piła nie rozcieńczoną truciznę i wkraczała w płomienie. Wyłaniała się z nich nie drażnięta i jeszcze silniejsza niż przedtem. Były to fakty, którym nikt nie mógł zaprzeczyć i które od samego początku zagwarantowały jej wysoką pozycję wśród wiernych. Po pewnym czasie Profesor stracił zainteresowanie grupą, jego żona wszakże nadal uczęszczała na spotkania i nie stroniła od ryzykownych praktyk.

Relacje Blue z Kościołem Bożym Świętych Pielgrzymów nigdy jednak nie były proste. Mały Sam powitał ją z otwartymi ramionami i przez jakiś czas otaczał najczulszą atencją. Nie odrywał od niej oczu, błogosławił ją w kazaniach, a jeszcze chętniej pobłogosławiłby i namaścił swoim

uświęconym ciałem. Niestety, Blue odtrącała jego awanse równie twardo jak ataki jadowitych węży. Im bardziej Sam się starał, tym zajadlejszy napotykał odpór. Blue rosła w siłę

i wkrótce stało się jasne, że Sam przenigdy nie zdoła jej okiełznać. Zawiedziony wycofał się i przyjrzał się jej w nowym, krytycznym świetle.

- Spójrzcie sami - powiedział kiedyś wiernym - ta kobieta mieszka w wielkim miejskim domu, pławi się w luksusie i oddaje próżności. Podczas nabożeństwa nigdy nie świadczy, nie mdleje i nie mówi językami. Nie interesują jej kazania, a jeszcze mniej przejawia zapału, by zaprosić Pana do swego domu i życia. Krótko mówiąc, jest ucieleśnieniem grzechu i występku. Jeśli wierzyć regułom uświęcenia, jeśli to moc wiary chroni człowieka przed ziemską krzywdą, powinna teraz rzygać krwią i jadem. Powinna zostać oślepią ogniem, sparaliżowana strachem, a jednak...

Sam urwał i zamyślił się na chwilę.

- A jednak - podjął - żongluje węzami częściej i bardziej bezkarnie niż ktokolwiek z Uświęconych, co może oznaczać tylko jedno i trzeba być ślepym, żeby tego nie widzieć.

Znów się zadumał.

- Albo zatem Pismo Święte kłamie - dokończył - albo Blue Kerdi jest diabłem wcielonym.

O ósmej wieczorem wisząca w powietrzu wilgoć nareszcie przybrała postać deszczu i zaczęła spadać wielkimi, powolnymi kroplami. Adam podszedł do okna i rozsunął żaluzje. Church Avenue była pusta. Naprzeciw świeciło się w zagraconym sklepie z „antykami”, który od przyjazdu Adama do Knoxville wciąż był zamknięty. Czarna kobieta w lawendowej sukience siedziała za biurkiem, przeglądając się w lusterku srebrnej puderniczki. Drzwi sklepu były uchylone, w witrynie wisiała tabliczka z napisem „OTWARTE” umieszczona tak, by widział ją każdy przechodzień.

Adam odwrócił się od okna i wyszedł z pokoju. Szklanka „czegoś lekkiego jak miłość z nieznanym” stała nietknięta w kręgu światła stojącej lampy.

Na zewnątrz krople deszczu uderzały o asfalt niczym ołowiane kule. Stanął pod markizą i zapalił papierosa. Murzynka w antykwariacie przestała się malować i rozmawiała teraz przez telefon. Siedziała wyprostowana za staroświeckim biurkiem, emanując wysokiej klasy profesjonalizmem. Otaczały ją pokryte wieloletnim kurzem śmieci - połamane krzesła, wyszczerbione półmiski, nagi manekin, książki, których nikt nie otwierał od wieków.

Deszcz ustał.

Adam ruszył w kierunku Walnut Street. Tory kolejowe biegły równolegle do ulicy Jackson, przecinały tutejszy Broadway i następnie skręcały ku Gay i Locust Street. Przez całą ubiegłą noc pociągi z gwizdem przejeżdżały przez miasto. Towarzyszyły mu, gdy palił jednego papierosa za drugim, nie mogąc zmrużyć oka. Minał go cadillac



wiozący trzy staruszki o podbarwionych na liliowo włosach, ubrane w jaskrawopomarańczowe pulowery Uniwersytetu Stanu Tennessee.

W okresie dorastania Adam mieszkał zaledwie o godzinę drogi od tego miasta, ale równie dobrze mogła to być inna planeta.

Skreślił z Market w Clinch Avenue i dalej do Fort Sanders. W oddali majaczyła ciemna bryła domu Blue. Okiennice były zamknięte. Zarośnięty chwastami ogród sprawiał wrażenie, że od dawna nikt tu nie mieszka.

Była dziewiąta. Adam czekał na przyjazd Profesora.

Pojawił się dokładnie dziesięć po dziewiątej w niebieskim chevrolecie z 1961 roku z białymi skórzanymi fotelami i chromowanymi zderzakami. Zderzaki pokryte były kurzem drogi. Profesor ścisnął kierownicę obiema rękami w pozycji „za dziesięć drugą”, jakiej uczy się początkujących kierowców. Wisiał nad przednią szybą, lecz z powodu niskiego wzrostu widać było tylko górną połowę jego twarzy. Wpatrywał się w drogę z wyraźną konsternacją, co pozwalało się domyślać, iż sam nie ma zaufania do własnych kwalifikacji za kółkiem.

Nadjechał Dziewiętnastą Ulicą, skreślił w prawo w Clinch i zatrzymał się przed domem. Potem siedział w aucie przez całą wieczność, nim w końcu wysiadł.

Był drobny i chudy, odziany w szary garnitur i kapelusz fedorę. Twarz miał bladą bledością ludzi, którzy nie widują słońca. Malował się na niej pusty wyraz żalobnika pogodzonego już z dotkliwą stratą. Był nie ogolony, lecz zadbany; jego czarne buty zaślśniły w mroku. Spojrzał w prawo, potem w lewo.

Gdy zobaczył Adama, zachwiał się, jakby otrzymał cios prosto w pierś. Prędko zamknął samochód i pospieszył po schodkach do domu.

Adam wypalił papierosa do końca. Oczyma duszy widział Blue idącą cichym, ciemnym korytarzem. Wyobrażał sobie wnętrza pokoi, niskiego mężczyznę w ciemnym ubraniu, który stoi przy zamkniętym oknie i zerka ze strachem przez szpary w okiennicy. Przypomniawszy sobie słowa Blue, że widziała go z okna sypialni. Jakie to dziwne, pomyślał, że właśnie Profesor dźwiga brzemień winy i wstydu, które powinno

przygniatać barki jego żony. Zachowywał się niczym zmartwiony ojciec trudnego dziecka; jakby bał się konsekwencji, które Blue miała za nic.

Wpół do dziesiątej miasto już spało. Adam odwrócił się i przeszedł na drugą stronę ulicy. Miał ochotę na drinka, na kojące ludzkie towarzystwo w gwarnym barze. Powinien wrócić do hotelu, wziąć samochód i poszukać zapomnienia w którejś z podmiejskich knajp. Naraz coś go tknęło. Odwrócił się.

Blue stała na chodniku za rogiem Osiemnastej. Odzież miała mokrą od deszczu, stopy wciąż bose. Z oddali wyglądała na smutną, zmęczoną, dziwnie zagubioną - jak ktoś, kto zbyt długo czekał na pociąg skreślony z rozkładu. Adam zdał sobie sprawę, że musiała iść za nim od pensjonatu, że obserwowała go, kiedy gapił się na jej dom i czekał na jej męża.

Chciała, żebym tu przyszedł, pomyślał. Chciała, żebym ją znalazł.

Jego świadoma decyzja okazała się fikcją. Przyszedł tu niczym golem przyciągnięty jej wolą.

Właściciel pensjonatu czekał na niego w drzwiach. Zmienił ubranie khaki na lekką indyjską pizamę haftowaną złotymi i koralowymi nićmi.

Jak cień wyłonił się z półmroku, sącząc martini.

- Wymarzony wieczór na przechadzkę - rzekł z ironią.

Na górze Holendrzy spali na pościeli w ubraniach, tak jak padli. Drzwi do pokoju Adama były uchylone - tylko troszeczkę, jak gdyby ktoś w nim był i chciał, żeby Adam o tym wiedział. Podeszedł do nich ostrożnie; zadziałał w nim nawyk wyrobiony przez lata spędzone w miejscach, gdzie dziennikarze często stawali się celem tajnych służb lub rewolucyjnych bojówkarzy.

Wewnątrz wszystko pozostało tak, jak było - nie pościelone łóżko, zmięte ciuchy wystające z leżącego na podłodze plecaka. Nawet popielniczka na nocnym stoliku pełna była petów. Miał jednak nieomyślne wrażenie, że pod jego nieobecność ktoś przeszukał pokój, że czyjeś ręce sięgnęły pod materac, wysunęły puste szuflady komody, obmacały kieszenie koszul w plecaku. Wentylator, nieruchomy, gdy wychodził,

teraz się kręcił, przy każdym obrocie wydając lekki brzęk. Adam sięgnął do kontaktu i wyłączył go.

- Będzie gorąco - dobiegł z dołu głos właściciela. - Lepiej niech pan zostawi wiatrak i otwarte okna.

Adam zatrzasnął drzwi, puszczając radę mimo uszu. Drzwi wiodące na balkon były otwarte, ale powietrze stało w bezruchu. Ściągnął koszulę i rzucił się na wznak na łóżko.

Miał wrażenie, że od jego wyjazdu z Bejrutu minął wiek. Tęsknił za popołudniową bryzą, za oszałamiającymi barwami Morza Śródziemnego, za miastem zbudowanym na skraju urwiska. Chciał znaleźć się w miejscu nie budzącym wspomnień, gdzie był obcy - zaciekawiony, lecz nie uwikłany.

Jakie to dziwne, że nikt w Knoxville - nikt z tutejszych mieszkańców, nikt z członków grupy, do których dotarł Adam - nie rozpoznał go; nikt nawet nie podejrzewał, że może stąd pochodzić.

W sierocińcu i później pozbył się akcentu, nauczył się zachowywać i myśleć jak człowiek z miasta. Może dlatego żaden jego rozmówca z ubiegłych paru dni nie przyjrzał mu się na tyle bacznie, by dostrzec w nim krajana.

Dziwne też, pomyślał, że choć widział Blue tylko przez krótką chwilę, udało jej się na zawsze zabarwić jego życie. Jak lawendowa farbka, którą Arabki na ulicach Bejrutu wlewały do balii z praniem: szczypta koloru w wielkim naczyniu czystej wody rozpląwała się jaskrawymi spiralami błękitu, malując wszystko świetlistą, niezapomnianą bielą.

\*

Adam nigdy nie opowiadał nikomu o swoich korzeniach. Po części dlatego, że się ich wstydził. Zresztą sam nie pojmował ich na tyle dobrze, by tłumaczyć innym. Apalachia, jak z czasem sobie uświadomił, rządziła się własnymi prawami. Powszednie przejawy kultury tak obcej i oddalonej od reszty świata gdzie indziej nie miałyby sensu. Była to klątwa Appalachtii, lecz zarazem jej siła: aby ją zrozumieć, należało prze-

być góry, przystanąć w jednej z tutejszych dolin i patrzeć, jak czas zwalnia; dać się oszołomić barwom krajobrazu, pulsującej ciszy, długim pustym drogom pradawnej dziczy, której nie zdołał podbić człowiek ni maszyny. Budząc się z kolorem rzeki w oczach i jej szumem w uszach, człowiek w niewysłowiony sposób czuł, że stał się częścią świata, w którym rzeczywistość ma własny sens.

Ojciec Adama, Mały Sam Jenkins, był kaznodzieją. Miłował dzieci Boże, ale nie czuł się „stworzony”, by zadbać o własne. W ciągu życia poślubił cztery kobiety i spłodził kilkanaścioro potomstwa, które następnie porzucił, idąc dalej swoją drogą - od jednej do drugiej burdy, nielegalnej gorzelni czy skleconej z paru desek kaplicy. Żył w nędzy, bez dachu nad głową, lecz natchniony duchem Pana i pragnieniem, by ponad wszystko szerzyć jego Słowo i z Jego pomocą pokonać szatana. Przez sześćdziesiąt lat głosił, że małżeństwo jest święte, rozwód zaś to grzech: powtórny związek nie znajduje uznania w oczach Pana, gdyż czyni człowieka „dwużenłą”. Przez sześćdziesiąt lat ronił łzy nad cudem Narodzenia i bawił się z latoroślami swoich wiernych, powtarzając rodzicom, że dziecko jest błogosławieństwem, że należy je piastować, karmić i uważać za dar Boży dla rodziny. Mimo to porzucał swoje dzieci nie poświęcając im nawet jednej myśli, a gdy tylko mógł - zapierał się ojcostwa. Mały Sam Jenkins nie był łgarzem ani hipokrytą. Wierzył w to, co głosił; wierzył gorąco i całym sercem. Albowiem po cóż by brał do rąk jadowite węże, wkładał głowę i ramiona w rozżarzone paleniska, a nawet zapowiadał setkom wiernych, że będzie chodził po wodzie w imię Pana? W przeciwieństwie do niektórych kaznodziei swoich czasów nie łaknął dóbr doczesnych, nie domagał się rekompensaty za ciężką pracę ani wygód, nawet na starość. Jednakże, podobnie jak wielu innym kaznodziejom, trudno było mu żyć w zgodzie z własnymi naukami.

Trudno mu było też oderwać wzrok od ładnej kobiety, od jej gołych nóg i pomalowanych paznokci - zwłaszcza gdy ta kobieta postawiła sobie za cel dowieść mu próżności wszelkich męskich postanowień wobec szatańskiej pokusy. Dlatego też w ostatnim dniu dziesięciodniowego zjazdu wiernych, jaki miał miejsce w roku 1935 w górniczym miasteczku Lynch w stanie Kentucky, znalazł się między udami młodej Clare

Watkins. Działo się to w tym samym namiocie, w którym przez dziesięć dni Sam mówił językami, tańczył przy muzyce cymbałów i gitar oraz mocował się z czterdziestofuntowymi węzami, prowokując je do ataku. Dwukrotnie został ukąszony - raz w lewą skroń i raz w przegub dłoni - ale to ani go nie wyłączyło z obiegu ani choćby nie przyhamowało: bez mrugnięcia zniósł ból, nie fatygując się nawet, by otrzeć krew sączącą się ze skroni albo wyjąć ząb, który drugi wąż, mokasyn, zostawił mu w nadgarstku. Nie przerwał kazania, choć głowa spuchła mu do rozmiarów arbuza i szczytniała jak jego buty. Później na jakiś czas stracił władzę w ręce.

- Bóg się o mnie zatroszczy - oznajmił członkom grupy, odmawiając przyjęcia pomocy lekarskiej, albowiem byłby to dowód małości jego wiary.

Potem zgromadzenie dobiegło końca i wierni rozjechali się swymi furgonami, do namiotu zaś weszła Clare - Clare, którą znał od małego; od czasu gdy ujrzał to roczne wtedy dziecko w zdezelowanym wagonie kolejowym stojącym obok torów w pobliżu Corbin Glow.

Matka Clare, Rose Watkins, nawrócona przez Sama na prawdziwą wiarę, mogła stanowić wzór: zaklinała węże, mówiła językami i tańczyła w transie aż do upadłego na każdym nabożeństwie, w którym brała udział. Jej pierwszy mąż, Cecil Watkins, przez dwadzieścia pięć lat pracował w kopalni węgla, po czym trafił do stanowego więzienia w Kentucky, gdzie został powieszony za zabicie brygadzysty. Pozostawszy sama, Rose poświęciła się wychowaniu dzieci na bogobojnych ludzi. Prała odzież górników po dwadzieścia pięć centów za toboł i recytowała Biblię, której co prawda nie umiała czytać, ale za to prawie całą znała na pamięć z kościelnych kazań. Wyszła za Małego Sama nie tyle z miłości, co z nabożnego szacunku i głębokiej wiary w jego świętość. Mogłaby więc uznać swoje życie za udane, mogłaby nawet przebaczyć Samowi jego szybkie odejście i powtórny ożenek, gdyby nie wstyd, jaki przyniosła jej córka.

Clare, co było widać już na pierwszy rzut oka, nie odziedziczyła pobożnej, ascetycznej natury Rose. Korzystała z każdej sposobności, by dać matce wgląd w swą grzeszną i niegodziwą duszę. Jako dziecko zawsze stawiała jej okoniem - wymigiwała

się od nabożeństw, w zamian chciała chodzić do szkoły; groziła, że ucieknie z domu do ojca, który siedzi w „twierdzy” we Frankfurcie (Cecil dawno już nie żył). Kiedy Rose poślubiła Sama Jenkinsa, Clare miała dwanaście lat i natychmiast wzięła się za ojczyrna. Muskała go ręką tam, gdzie mężczyzny nie wypada dotykać, ocierała się o niego, zagadywała, napełniając mu płuca swoim słodkim zapachem. Paradowała przed nim w krótkich kieckach, które szyła sobie wbrew sprzeciwom matki, i jedwabnych pończochach, które wyludzała od ekspedienta sklepu w Lynch. Mały Sam zaciskał zęby i w każdym kazaniu nawoływał do powściągliwości, ale nie mógł oderwać wzroku od Clare. Nie przestał o niej myśleć nawet po rozstaniu z Rose, gdy pojął za żonę śliczną epilepticzkę, która wniosła mu w posagu niewielki majątek i cygańską klątwę. Może właśnie siła jego modlitw, odmawianych późną nocą, gdy był sam na sam z Bogiem i nie wstydził się obnażać swojej pięćdziesięciojednoletniej grzesznej duszy, w końcu przywiodła do niego Clare.

Przez cały dzień igrał ze śmiercią, czując bliskość Pana. Kiedy wtulił twarz między młode dziewczęce piersi, jego rozkosz sięgnęła szczytu.

Najpierw patrzył, jak Clare zmierza ku niemu w kusej sukience i z gołymi nogami. Jej skóra miała zapach ryzyka, wypukłe różowe wargi były rozchylone i kusząco wilgotne. Uśmiechała się do niego, jakby chciała powiedzieć: „Nadeszła twoja chwila, korzystaj i ciesz się”. Mały Sam stał jak wryty, niezdolny się poruszyć. Chwilę później oplotła nogą jego udo, rozpięła bluzkę i położyła jego dłoń na swoich piersiach. Jedyne, co był w stanie uczynić, to powstrzymać się od wezwania na głos imienia Pańskiego, nim poddał się pokusie i rozgrzany niebezpieczeństwem, zanurzył w rozpuście.

To był początek i zarazem koniec.

Mały Sam zaczerpnął od Clare siłę i wigor, jakich mężczyzna może doświadczyć tylko mając w ramionach młode ciało. W zamian dał jej słodką, triumfalną świadomość, że potrafi zwieść z drogi cnoty najzagorzalszego Bożego proroka. Jenkins myślał, że na tym jego sprawa z Clare się zakończy. Ścieżki Pana jednak są niezbadane. Bóg miał inne plany i wcale nie zamierzał pozwolić Samowi tak szybko skończyć z

Clare. Po wielu miesiącach Jenkins zobaczył ją znowu, tym razem w Knoxville. Trzymała w ramionach niemowlę.

Weszła w chwili, gdy właśnie rozpoczął kazanie. Była blada, spięta i wcale nie w nastroju, by kogokolwiek kusić, a wyraz jej twarzy wróżył kłopoty. Mały Sam prędko policzył na palcach, ile miesięcy minęło od zgromadzenia w Lynch. Policzył też dzieci, które już miał i których nie był w stanie wykarmić - i natychmiast obrał jako temat kazania grzech cielesny; zwłaszcza w odniesieniu do kobiet. Przez dwie i pół godziny krążył po kaplicy mówiąc o ogniach piekielnych czekających te, które niosą na świat pokusę. Ilekroć wymawiał słowa „Jezabel” lub „diablica-kusicielka”, przystawał tuż obok Clare, tak by nikt z wiernych nie miał wątpliwości, iż celem jego przemowy jest właśnie ta młoda, krótko ostrzyżona kobieta z dzieckiem na ręku.

Przez cały ten czas Clare siedziała w ławce jak przymurowana, zbyt speszona, by zareagować, nawet gdy wierni tańczyli, śpiewali i wymachiwali wężami tuż obok niej. Potem wzięła dziecko i wyszła, nie śmiąc podejść do kaznodziei, który wciąż cytował biblijne wersety dotyczące upadłych niewiast.

Wróciła nazajutrz, potem następnego dnia i następnego, a za każdym razem była coraz bardziej wściekła. Z uporem pokazywała wiernym dziecko; mówiła, że ma na imię Adam, a jego ojcem jest Sam Jenkins. Mały Sam najpierw starał się ją ignorować. Potem zaczął wrzeszczeć, żeby przestała nachodzić jego świątynię i rozpowiadać kłamstwa. A im bardziej chciał się jej pozbyć, tym dokuczliwiej się go czepiała.

Nie mogła go zmusić do małżeństwa, bo był już żonaty - trzykrotnie, i tylekroć okazał się złym mężem. Raczej na pewno nie zależało jej też na nazwisku Sama, skoro poszukiwali go przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości i wierzyściele w kilku stanach. Trudno też przypuścić, aby była w nim zakochana, zważywszy na jego karłowatą postać, bulwiaste uszy, twarz i ciało zniszczone i usiane bliznami po licznych bójkach, noclegach pod gołym niebem oraz ponad trzystu ukąszeniach węży.

Być może, myśleli wierni, robiła to z zemsty. Może chciała, by Jenkins przywrócił jej utracone dobre imię. Niezależnie jednak od motywów Clare na długo przedtem,

nim w końcu się poddała, powinna była uświadomić sobie, że toczy z góry przegraną walkę. Może Sam naprawdę był ojcem jej dziecka. Być może istotnie zgrzeszył z córką swej drugiej żony i nie chciał wyznać grzechu. Dla sytuacji Clare nie miało to znaczenia: kto o niej słyszał, miał ją za bezwstydnicę, nie mogła więc liczyć na współczucie czy choćby sprawiedliwość. Któż zechciałby stanąć przy niej, żądając od świętego męża, by wyznał prawdę?

Clare pod wieloma względami stała się żywym dowodem na to, o czym mówi Biblia i co głosił Sam Jenkins: że grzech wiedzie do unicestwienia. Żyjąc bez Boga człowiek rzuca się w objęcia diabła, a ziarno zasiane przez matkę zbiorą dzieci. W przypadku Clare ziarno było zwyrodniałe i przeklęte, odkąd ktokolwiek sięgał pamięcią.

\*

Rodzina Clare przybyła tu z grupą białych osadników w połowie XIX wieku. Appalachee - najstarsze pasmo górskie w Ameryce Północnej, nazwane tak od zamieszkujących tu niegdyś Indian Appalachee, ciągnie się na odcinku tysiąca pięciuset mil od przylądka Gaspé w kanadyjskim Quebecu do Birmingham w Alabamie, daleko na południu Stanów. We wschodniej części Tennessee, w Kentucky i na granicy Wirginii noszą nazwę gór lub płaskowyżu Cumberland. Odwieczne skały, tkwiące tu od czterystu trzydziestu pięciu milionów lat, bogate w liczne minerały, zwłaszcza w węgiel, wznoszą się trzy tysiące stóp nad poziom morza. Pokrywa je cienka kamienista warstwa gleby, rwące potoki zaś pocięły masyw labiryntem wąskich, stromych, nieprzebytych dolin.

Pierwsi biali osadnicy w Appalachach przybyli z Irlandii, Szkocji i północnej Anglii w połowie osiemnastego stulecia. Część z nich stanowili protestanci, którzy dobrowolnie opuścili Europę w poszukiwaniu wolności wyznania, przygód i - jako że większość była uboga - majątku. Wielu nie przeżyło podróży przez ocean. Ci, którzy wysiedli na brzegu Nowego Świata, przywieźli ze sobą niezależność, poczucie odrębności i niechęć do scentralizowanej władzy, zarówno kościelnej, jak i państwowej.



Ostrożniejsi pozostali w Nowej Anglii, gdzie klimat i gleba były podobne jak w starym kraju. Inni - buntownicy nie przystający do schludnych statecznych kwakrów

- ruszyli dalej. Na zachodzie, jak słyszeli, są żyzne doliny o umiarkowanym klimacie. By jednak do nich dotrzeć, najpierw musieli przejść przez Appalachy.

Wielu zmarło lub zginęło w czasie przeprawy. Inni zatrzymali się w pół drogi, skapitulowali przed górami i osiedlili się w ciasnych wąwozach, gdzie życie było ciężkie a klimat zdradliwy. Byli to pierwsi biali mieszkańcy Appalachii, lecz nie ostatni.

Wkrótce pojawiła się następna grupa - bynajmniej nie z własnej woli. Byli to przymusowi robotnicy, biali niewolnicy sprzedawani amerykańskim plantatorom przez rząd brytyjski na siedem lat. Cierpiące na niedosyt taniej siły roboczej plantacje importowały niewolników z Afryki, ale gdy ich liczba okazała się zbyt mała, właściciele znów zaczęli spoglądać na Europę. Złodzieje, rabusie i dziwki, których pełne były brytyjskie więzienia; sieroty żyjące na ulicy, bezdomni włóczędzy rutynowo wyłapywani przez policję - zamiast żywić na koszt państwa, ładowano ich na statki i wysyłano do Ameryki.

Dziadek Clare trafił do więzienia w Anglii za drobną kradzież. W Ameryce odsłużył dwa lata wyroku, po czym zabił ekonoma kozikiem i uciekł w góry. W ciągu 1850 roku przeszedł pieszo z Pensylwanii aż do zbiegu granic Tennessee, Wirginii i Kentucky. Hrabstwo Harlan w Kentucky, w samym sercu gór Cumberland, wydało mu się dostatecznie odległe od świata, by stać się dlań bezpieczną kryjówką na wypadek, gdyby wymiar sprawiedliwości zechciał go szukać.

W owych czasach rosły tu wielkie dęby, orzechy, hikory, brzozy i klony. W ziemi kryły się złoża węgla - bezcenne, jak wkrótce miało się okazać. Ale gleba nie nadawała się pod uprawę, a klimat był wściekle ostry.

Nieliczne zamieszkujące okręg rodziny z trudem utrzymywały się przy życiu. Nie mogły nawet nazwać własną ziemi, którą z takim trudem starały się uprawiać. Ludzie budowali jednoizbowe chaty przytulone do stoku nad rzeką lub jakimś źródłem, spali na klepisku, gotowali na ogniskach pod gołym niebem - dwa lub trzy takie domostwa zajmowały wspólnie jedną kotlinę, oddzieloną górami od sąsiadów i reszty świata.

Żywili się kukurydzą i ziemniakami, uprawiali małe poletka tytoniu na własny użytek, hodowali świnie. Podróżowali pieszo lub konno wijącymi się łożyskami potoków, tworzyli lokalne szkoły, działające dwa, trzy miesiące w roku pod okiem prawie niepiśmiennych nauczycieli. I pewnie żyliby nadal w ten sposób, radzi ze swojej trudnej wolności, borykając się z klimatem i ziemią, lecz nie z ludźmi, gdyby nie spółki górnicze i leśne.

Jednym z pierwszych przybyłych tu spekulantów był Warren Delano, wuj Franklina Delano Roosevelta. Stworzona przez niego firma, Kentenia Corporation, zagnieździła się w okręgu Harlan. Tuż za nią pojawiła się spółka Kentucky Coal and Iron, a w ślad za nimi inni przedsiębiorcy ze wschodnich stanów i Anglii. Osadnicy - nieświadomi wartości ziemi, na której żyli, zwykle nie umiejący się nawet podpisać, a cóż dopiero zrozumieć takie słowa, jak „kontrakt” czy „podatek” - byli wobec nich bez szans.

Górale zaczęli sprzedawać ziemię ludziom z miasta po ćwierć dolara za akr albo po dolarze od drzewa. Zrzekali się wszelkich roszczeń nie tylko do powierzchni, lecz także do złóż kryjących się pod nią. Dawali kupcom prawo użycia „wszelkich środków” do eksploatacji węgla i innych bogactw; także prawo wytyczania dróg biegnących przez ich pola. Praktyka ta wkrótce doprowadziła do zagłady farm.

Tym, którzy nie chcieli sprzedać ziemi, została ona wydarta: w porozumieniu ze spółkami węglowymi rząd podniósł podatki gruntowe, odczekał rok lub dwa, po czym zaczął konfiskować farmy za nie zapłacone podatki.

Czasem osadników rugował po prostu głód: kopalnie niszczyły ziemię, na której pasły się ich zwierzęta, pocięte drogami pola stały się bezużyteczne. Przyszedł więc czas, gdy ostatni górale porzucili swe gospodarstwa i ruszyli szukać dla siebie nowego miejsca. Zdradzili ich miastowi mądrze, zdradził rząd, zdradziło prawo. Pozostały im tylko górnicze osady.

Ojciec Clare, Cecil Watkins, urodził się w osadzie górniczej we wschodnim Kentucky i pracował w kopalni, odkąd skończył cztery lata. Zaczął u boku matki, wybierając „kości” - płoną skałę - z worków węgla, które jego starsi bracia wynosili z szybu. Później ładowano je na muły i zwożono na pogórze do sprzedaży. W wieku lat sześciu

przeniósł się pod ziemię, gdzie dźwigał wodę i zgarniał węgiel, a nieco później wykuwał go ze ściany. Pracował czternaście godzin dziennie, leżąc na boku z workiem po kartoflach pod głową; woda ciekła mu ze stropu na twarz i szyję. Podkopywał żyłę węgla kilofem, następnie wylupywał go i zgarniał łopatą do worka, w którym węgiel opuszczał kopalnię. Cecil schodził pod ziemię, gdy było jeszcze ciemno, wychodził zaś grubo po zmroku. Światło dzienne oglądał tylko w niedziele, kiedy praca ustawała i szedł do kościoła. Gdy miał lat dziewiętnaście, poznał Rose Cunningham i ożenił się z nią. Po raz pierwszy ujrzał ją w obozie górniczym pod Corbin Glow - właśnie w kościele, gdzie siedziała w pierwszej ławce po kobiecej stronie, śpiewała głośniej i płakała rzewniej niż ktokolwiek inny. Jej ojciec zmarł przed kilkoma laty i na barki Rose spadła troska o matkę i pięcioro młodszego rodzeństwa.

Rodzina chodziła od jednej osady do drugiej w poszukiwaniu zarobku, aż tego właśnie roku Rose trafiła do kopalni, w której pracował Cecil.

W owych czasach wierzono, że kobiety w kopalni przynoszą pecha. Obwiniano je o eksplozje, zawały, zgony i okaleczenia. W niektórych częściach kraju pozwalano im pracować na powierzchni przy wyciąganiu, rozładunku i sortowaniu węgla, ale w większości kopalń nie dopuszczano ich nawet w pobliżu. Czasami, zwłaszcza zimą, kiedy ludzie nie byli w stanie wyżyć z ziemi i brakowało opału, młode dziewczęta przebierały się w męską odzież i podstępem przemykały do szybów, pragnąc zarobić choć tyle, by rodzina zdołała przetrwać zimę. Kiedy indziej - jak w przypadku Rose - chciwi zarządcy kopalń zatrudniali dziewczyny mimo sprzeciwu mężczyzn: pracowały dłużej za mniejsze pieniądze i przeważnie mieściły się w wyrobiskach za ciasnych dla mężczyzn.

Przez cztery miesiące tamtej zimy Rose Watkins ciągnęła sanie z węglem pod ziemią, nieopodal Cecila. Ubrana w męski kombinezon, od świtu do nocy pracowała zgięta w pół. Jej twarz oświetlała przyczepiona do czapki lampa - zwykły knot zanurzony w oleju. W przerwie na posiłek siadywała na uboczu, nie odzywała się do żadnego z mężczyzn i nie reagowała, gdy sarkali, że ściągnie na nich wszystkich nie-

szczęście. Pewnego dnia, gdy śniegi zaczęły tajać i rodzina Rose spakowała się, by ruszyć dalej, Cecil podszedł do niej i zapytał, czy zostanie jego żoną.

Pierwszych trzech chłopców urodziła w Corbin Glow. Za każdym razem pracowała w czasie ciąży, wdychając pył węglowy i ciągnąc sanie prawie do rozwiązania. Potem szła do domu, wypijała kubek wrzącej wody zmieszanej z czarnym pieprzem - żeby otworzyć łono, wbijała pod łóżkiem siekierę ostrzem w ziemię - żeby przeciąć ból - i nawet nie posyłała po akuszerkę, bo jej dzieci wydostawały się na świat szybko i zgrabnie, bez ponagrania ze strony matki czy położnej. Są w rękach Boga, powiedziała Rose do męża; niepotrzebne im ludzkie starania.

Kiedy urodził się ich trzeci syn, złoża w Corbin Glow były już na wyczerpaniu i Cecil zdał sobie sprawę, że musi się przenieść w inne miejsce. Przepracował już w kopalniach ponad dwadzieścia lat; targał nim paskudny kaszel, cierpiał na depresję i poczucie beznadziei wywołane pracą w ciągłej ciemności, w ciągłym zagrożeniu, bez możliwości ucieczki. Teraz robił odwierty, czasem nawet odstrzały, i z goryczą wspominał dni, kiedy góry były czyste i zielone - zanim górnictwo zmieniło je w zniszczone, niestabilne pustkowia, w każdej chwili grożące zawaleniem i pogrzebaniem pracujących i żyjących tam ludzi.

Pomimo to Rose Watkins uparcie twierdziła, że to nie ciężka praca ani trudne warunki pchnęły jej męża do mordy, tylko system wypłat w kopalni.

Podobnie jak w innych stanach obozami górniczymi w Kentucky zarządzały te same spółki, które prowadziły wydobywanie. Firma posyłała zarządcę, ten wybierał miejsce w pobliżu kopalni i najmował ludzi do budowy obozu. Trzeba było oczyścić teren nad strumieniem, by spływały nim ścieki z latryn i wspólnych pralni, oraz ściąć dostateczną liczbę sosen, topoli i dębów, z których budowano następnie kilka rzędów chat. Potem sprowadzano robotników.

Osady były przepełnione i brudne, zanieczyszczone studnie i potoki stanowiły ogniska zarazy. Większość górników żyła z dala od rodzin, które musieli opuścić, wędrując od jednej kopalni do drugiej w poszukiwaniu zarobku. Aby przywiązać ich do fir-

my i nie dopuścić, by kiedykolwiek stać ich było na rzucenie kopalni, płacono im w „blaszakach”.

Każda spółka biła własne monety z mosiądzu lub aluminium. Widniał na nich znak firmy. Można było nimi płacić wyłącznie w sklepach należących do tej samej spółki. Sklepy takie, mieszczące się w osadach, sprzedawały wszystko, od żywności przez odzież po prasę, oferowane przez nie towary były jednak niskiej jakości, za to ceny mocno zawyżone. Sprzedawano też na kredyt, na bardzo wysoki procent. Od każdej wypłaty odejmowano oczywiście koszt opału zużytego do ogrzania chat. W ten sposób górnicy ciągle tonęli w długach. Nigdy nie dostawali prawdziwych pieniędzy, toteż nie mieli po co - ani za co - zapuszczać się w dalsze strony. Jeśli usiłowali się zaopatrywać w sklepach nie należących do kopalni, byli zwalniani z pracy, bici, a nawet zabijani przez brygadzystów lub najętych przez firmę zbirów.

Cecil Watkins żył tak przez całe swoje życie, ale kiedy urodziły mu się dzieci, zaczął myśleć o porzuceniu kopalni i uwolnieniu się od długów. Powiedział Rose, że marzy mu się zielony kawałek ziemi, pod niebem, po którym fruwałyby ptaki, nad strumieniem, który nie byłby czarny od miazgi węglowej. Aby kupić ziemię, musiał mieć pieniądze, tymczasem wszystkie kopalnie w Kentucky płaciły tylko bezwartościowymi blaszakami. Słyszał jednak, że w Zachodniej Wirginii wydano prawo zakazujące spółkom takich praktyk. Kiedy Rose po raz czwarty zaszła w ciążę, Cecil zostawił ją z dziećmi w Corbin Glow, a sam wyruszył do Zachodniej Wirginii.

Dostał pracę w południowej części stanu, w kopalni należącej do sekretarza skarbu USA, Andrew Mellona. Cecil założył, że człowiek będący na samym szczycie rządowej hierarchii nie ma wyboru - musi przestrzegać prawa. Będzie więc płacił swoim robotnikom prawdziwym pieniądzem.

Na koniec miesiąca wszakże brygadzista wręczył mu garść blaszaków.

Kiedy stał czując, jak miedziane krążki palą mu dłoń, zaczęła się jego droga na szubienicę.

Wrócił do Corbin Glow w środku zimy. Jego dzieci chodziły bose i półnagie. Pod jego nieobecność Rose straciła pracę; zresztą brzuch miała już tak duży, że przestała się mieścić w uprząży sań. Żyła na kredyt, najstarszego chłopca posłała do pracy w kopalni, młodszy zbierał na szosie zabite pod kołami zwierzęta. Żywili się nimi, palili węglem zbieranym wokół torów. Rose chodziła teraz do kościoła częściej niż przedtem - w soboty i dwukrotnie w niedziele. Czekwała na cud, który wybawi ich z obozu.

Brygadzysta pozwolił mu wrócić do dawnej pracy, jednakże tylko na dwa dni w tygodniu. Oznajmił też, że Cecil musi mieć nowy świder.

Każde narzędzie używane w kopalni nosiło znak firmy, Watkinsowie wszakże byli zbyt zadłużeni, by prosić o kredyt w miejscowym sklepie. W niedzielę, kiedy Rose zabrała chłopców na nabożeństwo, Cecil wyszedł na szosę, podjechał okazją do pierwszego prywatnego sklepu i kupił świder na poczet dwudniowych przyszłych zarobków. Nazajutrz rano, kiedy wiercił nim w ścianie, brygadzysta zatrzymał go i polecił pokazać pieczęć.

Cecil Watkins wyciągnął świder ze ściany wyrobiska i z rozmachem wbił go w krtani brygadzysty.

Rose Watkins po raz ostatni widziała męża tego ranka, kiedy wyszedł do pracy z nie odciekającym świdrem. Od wielu nocy śniły jej się białe zjawy i kroczący w ciemności orszak zmarłych. Słyszała nawet śmiertelny charkot - ten szczególny głos konających, gdy wydają ostatnie tchnienie krtanią wypełnioną już przez śluz. Raz budząc się ujrzała kruka lecącego przez chatę - pewny znak czyhającej śmierci - ale choć się starała, zanadto oślepiła ją lęk, by mogła zobaczyć przyszłość w jej jawnej postaci, toteż nie zrobiła nic. Pozwoliła Cecilowi wyjść, wiedząc, że zmierza prosto ku nie-szczęściu.

Jeszcze przed południem usłyszała wrzawę. Wyjrzała przez drzwi. Ludzie biegli ku ich chacie. Nim ktokolwiek zdążył wyrzec choć słowo, Rose już wiedziała, że jej mąż ma kłopoty. Zaryglowała drzwi, zaciągnęła synków w najdalszy kąt i uklękła z nimi do modlitwy.

Brygadzysta jeszcze żył, gdy górnicy wynieśli jego okrwawione ciało z szybu i położyli je na czarnej ziemi. Nim jednak krew zaczęła krzepnąć, dostał drgawek i zmarł. Ludzie stukali do drzwi, wołali, żeby wyszła, lecz Rose nie przerywała modłów. Słyszała imię Cecila, słyszała wrzaski porządkowych, każących górnikom się cofnąć i wracać do pracy. Potem zaś usłyszała ciszę - potworną ciszę towarzyszącą jej mężowi, który szedł okryty krwią i węglowym pyłem, wciąż ściskając w garści fatalny świder. Szeryf wywiózł go na nizinę, do obcego miasta, które stało się miejscem jego kaźni.

Proces trwał jedno przedpołudnie. Cecil został skazany na śmierć przez powieszenie. obrońca z urzędu pouczył go, że ma prawo do apelacji, ale Cecil uważał, że porządny człowiek nie boi się ponieść konsekwencji swego czynu. Poza tym, rzekł, prosty góral, który nawet nie umie się podpisać, i tak nie wygra z sędzią. Przewieziono go do jedynej w Kentucky więzienia o zaostrzonym rygorze - do tak zwanej „Twierdzy” w Eddyville, gdzie miał oczekiwać na egzekucję.

Nazajutrz Rose wyrzucono z obozu. Bez pracy i bez mężczyzny, który by ją utrzymał, w ostatnim miesiącu ciąży, powlokła się wraz z dziećmi szukać jakiegoś schronienia. Za rozchybotanym starym mostkiem w Corbin Glow, nad potokiem, w którym woda miała kolor sadzy, znalazła zardzewiały wagon kolejowy, jakimi wywożono węgiel. Wykolejony, stoczył się z nasypu i pękł na pół. Końce wagonu były zaryte w ziemię, środkowa część nieco uniesiona; przez szczelinę w kształcie litery „V” wpadał deszcz i wiatr. Wnętrze było czarne od węgla i pełne rdzy. Rose podsadziła dzieci do środka, trzymając je mocno, by nie stoczyły się po pochylej podłodze wagonu. Postanowiła pozostać tam do rozwiązania, później zaś ruszyć dalej.

Zaczęła brać do prania usmolone koszule i kombinezony górników. Ładowała je w duże płócienne wory i liczyła sobie ćwierć dolara za toból. Codziennie chodziła do obozu, ciągnąc za sobą trójkę dzieci, brodząc po kolana w strumieniu i kalecząc stopy w dziurawych butach. Osypująca się wąska ścieżka biegła pod górę wzdłuż torów.

Po powrocie Rose czerpała wodę ze strumienia, grzała ją na palenisku zbudowanym z ustawionych w krąg kamieni i podsycanym węglem, który jej synowie zbierali przy torach. Prała ręcznie, używając szarego mydła, następnie wносиła mokre, ciężkie szmaty do tej części wagonu, która służyła za kuchnię, i wieszała na sznurze obok sterty drewna używanego do gotowania i ogrzewania. W miarę jak schły, ostry, kwaśny zapach mydła wypełniał wagon i przywierał do skóry i włosów Rose.

Późno w nocy siadywała w wagonie, czując, jak dziecko rwie się na świat, i wyobrażała sobie Cecila, który stoi przed sędzią w roboczym ubraniu, cuchnącym kwaśno zaschniętą krwią brygadzysty, i usiłuje znaleźć słowa, by opisać swą rozpacz, poczucie, że przegrał, nim jeszcze walka się zaczęła.

Gdybyż miał więcej wiary, myślała Rose.

Nie chciała, żeby Cecil umierał w brudnych łachach - zwłaszcza splamionych krwią innego człowieka. Uszyła mu więc po nocach nową koszulę i parę spodni. Następnie niosąc nowo narodzone dziecko poszła do kopalnianego sklepu, który pełnił również funkcję miejscowego urzędu pocztowego. Zapytała sprzedawcę, czy przypadkiem nie wie, gdzie trzymają jej męża.

- W Czarnej Dziurze Kalkuty - odparł ten bez złośliwości. - Podobno jest tam gorzej niż w piekle. Jeśli szczury cię nie zabiją, zrobi to szkorbut.

Zapytała, czy potrafi napisać coś pod dyktando.

- Tak, ale kto przeczyta mężowi twój list?

Rose uznała, że Bóg już się o to zatroszczy. Zaczęła dyktować:

Urodziłam dziewczynkę.

Pracuję.

Postaram się przyjść z dziećmi na egzekucję.

Pracowała ciężiej niż ktokolwiek jej znany, oszczędzała, jak tylko mogła, a mimo to wkrótce zdała sobie sprawę, że sama nie zdoła wykarmić dzieci. Zaczęła chodzić do kościoła jeszcze częściej i zawsze brała je ze sobą, bo tylko tam, kiedy po nabożeństwie wszyscy dzielili się jadłem, miały szansę na porządny posiłek.



Przez resztę czasu żywili się kukurydzianym chlebem i smalcem. Co roku późną jesienią ludzie bili świnie i wędzili mięso na zimę. Wycinano szynkę, resztę mięsa zaś wkładano do soli i zakopywano w ziemi. Po paru dniach odkopywano wieprza, mytogo, rozbierano i wędzono. Rose chodziła z dziećmi prosząc, by pozwolono jej chwytać kawałki słoniny, które odpadały z mięsa przy wędzeniu. Zbierała ją do garnka i w domu topiła na smalec. Wyławiała skrawki mięsa, które jedli z chlebem, część smalcu zostawiała do gotowania, a z reszty robiła mydło.

Mieszała smalec z wodą i popiołem z ogniska. Teżał w brunatną maź, śmierdzącą, lecz wystarczająco skuteczną na jej potrzeby. Dzięki temu mogła zaoszczędzić trochę grosza. Ubrania i pościel dla dzieci, a nawet bieliznę szyła z worków po mące farbowanych wywarami z roślin orzecha na brązowo, sasafrasu na czerwono, „żółtego korzenia” na żółto. Gotowała worek w wywarze, potem wykrawała i zszywała ubranka. Obywała się bez butów i nigdy nie wydała ani grosza na lekarza.

Dzieci kurowała sama. Na anginę nacierała im piersi tłuszczem z lampy, na ból brzucha dawała do jedzenia węgiel, a do picia sok z jeżyn. Wcierała sadzę z pieca w otwarte rany, by powstrzymać krwawienie. Krup leczyła wywarem z żółtego korzenia, gorączkę - imbirową herbatą na poty. Przy kłopotach z pęcherzem kładła na brzuch szmatę zmoczoną w wodzie z terpentyną albo kazała pić melasę z siarką, która oczyszcza krew. Użdlenia pszczoł opluwała sokiem z przeżutego tytoniu, zaziębienia leczyła okładami z cebuli, a chrypkę - żółtym korzeniem roztartym z naftą.

Pomimo to nie starczało im na żywność.

Błagała nowego majstra o pracę, jeśli nie dla siebie, to dla siedmioletniego syna, ale trudno było sądzić, że spółka zatrudni rodzinę człowieka, który zabił jej przedstawiciela.

Co niedzielę w kościele Rose chwaliła Pana, wyznawała swe grzechy i modliła się w intencji swoich dzieci. Pewnego razu podczas wspólnej wieczerzy napchała kieszenie kukurydzianym chlebem i mięsem kurcząt. Chłopcom kazała zrobić to samo. Po powrocie zawinęła skradzione jadlo w kawałek płótna i dała je najstarszemu,

Harveyowi. Następnie wysłała go w drogę z robotnikami, którzy szli do najbliższej kopalni szukać pracy.

- Nie przyznawaj się, kim był twój ojciec - przestrzegła synka. - I wróć, kiedy będziesz miał pieniądze.

Patrzyła za nim czując, że pęka jej serce.

Harvey przysłał wiadomość, że zahaczył się w kopalni odległej o dwie godziny drogi. Pracował jako „kanarek” w zamian za posiłek i miejsce do spania.

W pierwszych dekadach dwudziestego wieku największym zagrożeniem w górnictwie węgla były eksplozje, w których górnicy płonęli żywcem. Do czasu gdy wprowadzono elektryczne latarki zasilane z baterii, górnicy nosili na czapkach karbidowe lampy z otwartym płomieniem nieconym za pomocą krzesiwa. W pokładach węgla wszakże gromadził się metan - bezbarwny, bezwonny palny gaz, który wybuchał w ułamku sekundy. Często wystarczyła jedna iskra. Zmieszany w pewnych proporcjach z powietrzem, nie potrzebował nawet ognia.

Aby wykryć gaz, nim wszystkich pozabija, górnicy używali lampy Davy'ego. Była to zwyczajna karbidówka osłonięta gęstą drucianą siatką: metan docierał do płomienia i tam się spalał, ale ekran zapobiegał wybuchowi gazu poza lampą. Gdy stężenie metanu osiągało niebezpieczny poziom, płomień z żółtej zmieniał barwę na niebieską. W mniejszych kopalniach nie było lamp Davy'ego, a często nie wiadano, jak się nimi posługiwać. Górnicy brali więc na dół kanarki lub inne małe zwierzęta. Jeśli kanarek zdychał w wyrobisku, wiadomo było, że jest tam metan.

W niektórych obozach zarządca najmował ludzi - często małe dzieci - zwanych „kanonierami” lub właśnie „kanarkami”, zastępowali bowiem ptaki.

Harvey, syn Rose, przed rozpoczęciem każdej zmiany wysyłany był w głąb korytarza. Pełził nakryty mokrą płachtą, trzymając wysoko nad głową świeczkę, za pomocą której miał wykryć obecność gazu. Powiedziano mu, że metan nie ma barwy ani zapachu, lecz wydaje świst podobny do bzyczenia roju pszczół. Jeśli usłyszy taki dźwięk,

ma wiać co sił w nogach. Oczywiście nikt mu nie powiedział, że zanim „kanarek” zdąży usłyszeć syk metanu, płomień świeczki wywoła eksplozję.

Rose co dzień drżała o życie Harveya. Doszła do wniosku, że potrzeba jej więcej wiary. Aby ją umocnić, modliła się coraz częściej i wkrótce stała się prawdziwą Uświęconą. Jeździła słuchać kazań Shermana Sizemore'a, Lewisa Yorka albo Garretta White'a, którzy głosili słowo Boże w namiotach i szopach od Greasy Ridge przez Poły Lot do Sand Gap czy Hazel Green. Bywało, że osiem godzin tłukła się ciężarówką któregoś z wiernych, podtrzymując u kolan lub przy piersi śpiące dzieci. Przyjeżdżali akurat na poranne niedzielne nabożeństwo, podczas którego święty mąż jęczał, szlochał i mówił językami, przypisując całe zło świata - nędzę, głód, choroby i kłamstwa - działalności szatana i jego popleczników na ziemi.

Uświęceni obmywali sobie nawzajem nogi w dowód pokory, czoła zaś nacierali olejem na znak błogosławieństwa lub po to, by uleczyć chorobę. Wszędzie jednak napotykali niedowiarków, którzy z nich szydzili, ciskali w nich jajami bądź kamieniami, czasem nawet strzelali. Niewierni wyśmiewali się z odzieży i języka górali, wrzucali kamienie przez okna w czasie nabożeństwa albo wpuszczali do środka roje pszczół. Podpalali namioty i stodoły, w których odprawiano nabożeństwa (w paru przypadkach użyto nawet dynamitu). Nie odstraszona tymi atakami Rose widziała w nich próbę dla swojej wiary, toteż wszystkie myśli poświęciła Bogu. Pomimo to zima była równie długa i mroźna jak zwykle, a dzieci wciąż głodne.

Rok po odejściu Harveya wysłała z domu również młodszych synów. Uszyła im kurtki z worków, wręczyła całą posiadaną żywność, a następnie odprowadziła ich w górę strumienia i przez most do Lynch.

- Trzymajcie się razem - prosiła, wiedząc, że już ich nie zobaczy.

Potem wróciła do pękniętego wagonu, uklękła na podłodze i zaczęła się modlić. Klęczała tak przez dwa dni. Pewna kobieta z osady, dowiedziawszy się o odejściu chłopców, przyszła zajrzeć do Rose. Widząc jej rozpacz, zaparzyła korę wiązu i kazała Rose wypić. Potem uklękła obok i zaczęła się modlić wraz z nią.

Modliły się przez całe popołudnie. Małeńka Clare spała przy nich na podłodze. Deszcz padał do środka przez rozpruty dach, lecz one go nie czuły i nie ustawały w modlitwie. Tuż przed zachodem słońca Rose podniosła wzrok i zobaczyła, jak Bóg zstępuje ku niej w postaci niskiego mężczyzny w spłowiałym kombinezonie z podwiniętymi rękawami i grzechotnikiem owiniętym wokół szyi.

\*

Przodkowie Sama Jenkinsa byli osadnikami z Pensylwanii, którzy w latach trzydziestych XIX wieku ruszyli na południe doliną Shenandoah i w końcu osiedlili się w Tennessee. Jego ojciec, Jeremiah Jenkins, niepoprawny kobieciarz, latał za spódniczkami, nawet kiedy miał już żonę i dzieci. Jakby dla kontrastu matka była kobietą religijną i tak oddaną Kościołowi Bożemu, że kiedyś wysłała ostatnie pięć dolarów na budowę kaplicy. Obdarzyła męża dziesięciorgiem dzieci i była mu posłuszna do czasu, gdy - mając blisko osiemdziesiątkę i, co tu dużo mówić, stojąc nad grobem - porzucił ją dla innej.

Sam Jenkins nigdy nie miał metryki urodzenia. Prawdę rzekłszy, nigdy nie miał nic własnego. W późniejszych latach mawiał, że pochodzi z Wirginii, to znów z Zachodniej Wirginii lub z Kentucky; podawał także różne daty swych urodzin w zależności od tego, kiedy i z kim rozmawiał. W efekcie gdy Adam starał się z kawałków złożyć jego biografię, udało mu się jedynie ustalić, że Sam urodził się około roku 1885.

Nigdy nie urósł, ale był silny. Oczy miał przejrzyste, jasnoblękitne. Nie umiał czytać ani pisać; kiedyś przez trzy dni chodził do szkoły (jak wiele lat później zdradził swoim dzieciom), lecz wyrzucono go za złe zachowanie i więcej do nauki nie wrócił.

Odziedziczył po ojcu uwodzicielski urok; od młodości wykorzystywał kobiety do własnych celów i porzucał, kiedy się nimi znużył. Nic natomiast nie świadczyło o tym, by wziął po matce religijny zapał czy jej dyscyplinę w przestrzeganiu praw ustanowionych przez Pana. Cechy te przypadły jego siostram: Jane, pobożnej chrześcijance, i Bercie, głoszącej kazania w Kościele Bożym.

W dzieciństwie Sam wraz z matką i siostrami uczestniczył w nabożeństwach trzy, czasem cztery razy w tygodniu. Były to hałaśliwe, ludne zebrania pełne łez, potu i głośnych, chaotycznych okrzyków. Zbierano się wcześniej rano i późnym wieczorem.

W niedzielę, dniu wolnym od pracy, do kościoła przychodzili górnicy. Ich żony niosły dzieci i koszyki z jedzeniem na wspólną wieczerzę. Mężczyźni mieli na sobie czyste kombinezony, kobiety proste długie suknie. Przynosili gitary, bębny i tamburyny. Z reguły zjawiali się grubo przed czasem, niecierpliwie wyczekując swej jedynej rozrywki. Słuchali, jak pastor recytuje z pamięci Biblię (a w każdym razie to, co uważał za tekst Biblii), i modlili się, aby Duch przeniknął ich ciała, kiedy zaś to czynił, zrywali się z miejsc na miękkich nogach i unosili ramiona drżąc i płacząc, aż w końcu ze szlochem padali na ziemię i dopiero pastor ich cucił.

Sam Jenkins przyglądał się obrządkom i słuchał kazań, ale Duch Święty nie ożywiaił go, póki był młody. Stało się to dopiero wiele lat później, gdy miał już żonę i sześcioro dzieci, których nie potrafił wykarmić, dwie prace, których nie chciał wykonywać, i dom, w którym nie miał ochoty mieszkać.

Jeśli spojrzeć wstecz, nie ma nic zaskakującego ani nawet dziwnego w tym, że pijak, kobieciarz, przestępca taki jak Sam Jenkins stał się założycielem nowego odłamu wiary chrześcijańskiej w Ameryce. Jak wszystko w Appalachii, religia mieszkańców gór zawsze różniła się od religii ludzi z miasta.

Pierwsi osadnicy, którzy przybyli tu z Europy, tak podejrzliwie traktowali jakąkolwiek władzę, że nie wpuszczali między siebie nawet duchownych i nie akceptowali żadnych wpływów instytucji kościelnych tamtych czasów. Przez wiele lat nie mieli ustalonych miejsc kultu, duszpasterstwa ani szkolnictwa. Potem w górach pojawili się metodyści.

Metodyści krążyli po górskich osadach konno lub pieszo. Ich Kościół wypłacał im niewielkie stypendium, ale byli niewykształceni i przeważnie niepiśmienni, nie mieli przygotowanych kazań. Jednakże trudne warunki bytowania oraz to, że sytuację osadników znali z własnych obserwacji, pozwalało im utożsamić się z problemami życia w górach, mówić o nich jak o sprawach wielkiej wagi dla Boga i jego przedstawicieli na

ziemi - mówić językiem, który nie onieśmielał i nie zawstydział słuchaczy. Przemawiali godzinami w stodołach, izbach i pod gołym niebem, świadomi, że oceniać się ich będzie nie wedle problematyki kazań czy stopnia wykształcenia, lecz po głębi uczucia, które okażą.

Po metodystach przybyli wiejscy kaznodzieje Kościoła baptystów. Również niepiśmienni, nie otrzymywali płacy za pracę duszpasterską. Nie nosili też czarnych szat ani białych kołnierzy jak ich koledzy po fachu na wschodzie kraju. Ubierali się w źle skrojoną i niedbale uszytą samodziałową odzież, podróżowali w każdą pogodę, przeprawiali się przez rzeki i strumienie, spali pod gołym niebem na skraju drogi. Dotarłszy do osady, złożonej z choćby dwóch, trzech domów, zatrzymywali się i nauczali w zamian za strawę i nocleg. Rano odjeżdżali i wracali znów po kilku tygodniach albo miesiącach.

Podobnie jak metodyści kaznodzieje ci uważali własny Kościół za zbyt „frymuśny”, zajęty bardziej doczesną karierą niż cierpieniami zwykłego zjadacza chleba. Nie tyle przy tym odchodzili od kanonów swojej wiary, co wracali do jej pierwotnej postaci, tworząc tak zwane „grupy uświęcenia”, zakorzenione w osiemnastowiecznej filozofii Wesleya kładącej nacisk na pokutę jako drogę do chrześcijańskiej doskonałości.

Mówili więc o znaczeniu ascezy, o wadze prostego ubioru i rezygnacji z rozkoszy ciała. Pozwalali wiernym wypowiadać własne zdanie, ilekroć czuli taką potrzebę. Niczym dawni wędrowni aktorzy popisywali się sztuczkami z ogniem, czynili cuda, uzdrawiali chorych i oczywiście wskrzeszali umarłych.

Będąc formalnie członkiem Kościoła baptystów, Sam w istocie nigdy nie praktykował i jego członkostwo ustało, gdy miał około dwudziestu lat.

Rok później w Lenoir City poślubił pierwszą ze swoich czterech żon.

Esthera Parker była przystojną kobietą o wielkim nosie i beztroskim, pogodnym uśmiechu. Przeprowadziła się w ślad za mężem z Lenoir City do szopy na skraju farmy siostry Sama w Ooltewah koło Chattanooga. Mały Sam pracował przy wyrębie lasu albo w miejscowej kopalni, gdzie wydobywano rudę na barwniki. Właściciel kopalni lubił Sama, bo był niski i mieścił się w ciasnych wyrobiskach, ale Sam szybko

znudził się tą pracą i rzucił kopalnię w diabły. Przez następne dziesięć lat chlał, wdał się w bójki i utrzymywał głównie z pędzenia samogonu. Bywało, że znikał z domu na kilka dni, po czym wracał skruszony i obiecywał poprawę.

Wierna Esthera znosiła to wszystko cierpliwie. Urodziła mu kolejno szóstkę dzieci, jedno po drugim, i wychowywała je sama w głodzie i nędzy. Jakiś czas potem Sam skończył trzydziestkę i odnalazł Boga.

W wersji, którą później podawał swym wyznawcom, wędrował właśnie nieopodal Owi Holler, dwanaście mil na południe od Cleveland w stanie Tennessee. Był rok 1908 - a może 1911 lub 1914 - i na cały ziemski majątek Sama składały się połatana biała koszula oraz spodnie, które Esthera uszyła mu parę lat wcześniej. Przypadkiem trafił na spotkanie lokalnej grupy, która właśnie wybudowała sobie świątynię i naznaczyła już nawet datę jej poświęcenia. Podlegała ona Uświęconemu Kościołowi Zesłania Ducha Świętego z siedzibą w Cleveland. Mały Sam wszedł do kaplicy, by ulżyć obolałym nogom, i został w nadziei, że załapie się na wspólny posiłek po kazaniu.

Pastor zielonoświątkowców mówił o roli Ducha Świętego. Ludzie prawdziwej wiary, powiedział, doświadczają jej na trzech poziomach: Odrodzenia, Uświęcenia i Ochrzczenia Duchem Świętym. Odrodzenie oznacza uwolnienie od grzechu. Uświęcenie wstępują na nową drogę czystego życia, nacechowanego ascezą i zaparciem się samego siebie. Droga ta przygotowuje ich do końcowego stadium, kiedy to będzie im dane doświadczyć tego, o czym napisano w Dziejach Apostolskich:

„I wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym i zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić.”

Kaznodzieja rzekł dalej, iż Duch Święty daje człowiekowi moc zwalczania zła. Na dowód przytoczył ustęp z Ewangelii świętego Marka, słowa, które rzekł Jezus do swoich uczniów tuż przed wniebowstąpieniem: „W imieniu Moim diabły wyganiać będą, nowymi językami mówić będą; węże brać będą, a choćby co śmiertelnego pili, nie zaszkodzi im; na chorych kłaść ręce będą i uzdrawiać ich.”

Mały Sam wyszedł z kaplicy poruszony siłą przekonań kaznodziei i zaintrygowany znaczeniem cytowanego ustępu ze świętego Marka. Powróciwszy do Ooltewah, poczuł pragnienie modlitwy, ale uznał, iż dla tego powinien znaleźć się bliżej Boga.

Pewnego ranka wspiał się więc na szczyt White Oak Mountain, na skałę zwaną Tęczową, i wezwał Pana.

- Daj mi znak - poprosił. - Powiedz, co mam robić.

W tejże chwili ujrzał tuż przed sobą węża, jakby żywcem wziętego z kazania w Owi Holler.

„Wężę brać będą...” - mówił kaznodzieja - „a nie zaszkodzi im...”

Mały Sam spojrzał na gada - dwumetrowe cielsko pokryte siatką romboidalnych, żółto-brzegich łusek; zakończony grzechotką ostrzegawczo uniesiony ogon, otwarta paszcza ze sterczącymi zębami, gotowa do uderzenia. Sam uświadomił sobie, że wąż jest w istocie obrazem Szatana; jego rozdwojony język i całe pełzające jadowite ciało budzą w człowieku taki sam lęk jak upadły anioł Boży. Aby zwyciężyć diabła - i własny lęk - musi pokonać węża.

Schylił się i obiema rękami ujął gada.

Strach zatętnił mu we krwi, uderzył do głowy i serca, spłynął do rąk, które zlodowaciały i zaczęły drżeć. Wąż wił się i szarpał w jego uścisku, zadzierał łeb i demoniczną jadowitą paszczą omiatał twarz Sama. Grzechotka zaklekotała głośniejsze; z każdą mijającą chwilą wąż zdawał się cięższy, ale Mały Sam trzymał mocno i nie puszczał.

Wąż zaszamotał się silniej. Aby przezwyciężyć strach i zagłuszyć złowieszczy dźwięk grzechotki, Sam zaczął powtarzać cytaty ze świętego Marka, potem zaś nucić pod nosem zapamiętane z dzieciństwa pacierze. Po chwili usłyszał, że z jego ust dobywają się dziwaczne słowa, niezrozumiałe, lecz pełne mocy. Zdał sobie sprawę, że oto mówi nieznanymi językami. Dławiąca go zgroza ustąpiła miejsca triumfalnej potędze. Zmęczony walką wąż zaczął słabnąć, a Sam poczuł w żyłach chłodny strumień ekstazy.



Ruszył z powrotem, dzierżąc grzechotnika. Po drodze wstąpił do osady w Grashopper Valley. Tamtejszy kościółek był zaledwie chylącą się ku ruinie szopą, w której tuzin mężczyzn i kobiet modliło się w głos i śpiewało hymny. Sam przeszedł pomiędzy nimi, wciąż mówiąc nieznanymi językami, następnie stanął przed zaskoczoną trzódka Bożą i pokazał jej węża.

- Patrzcie! - wrzasnął. - Oto Szatan, który nie ma władzy nade mną!

Odpowiedziały mu zdumione spojrzenia wiernych. Ich strach wibrował w powietrzu. Mały Sam wyczuwał ich oszołomienie i odrazę; wiedział, że mają go za wariata i zastanawiają się, czy uciekać czy też podejść i przyjrzeć mu się bliżej. Czuł też jednak ich fascynację i pełnię swojej władzy nad nimi.

- Spójrzcie! - powiedział. - Prosiłem Pana o znak. Zesłał mi tę oto bestię i rzekł, iż mam zwyciężyć ją mocą swojej wiary.

Wierni siedzieli jak skamieniali.

Sam rozluźnił chwyt i szeroko rozłożył ramiona, jak Jezus na krzyżu. Stał nieruchomo, podczas gdy wąż owinał mu się wokół ręki i wpełzł na bark. Krople potu spadały z czaszki Sama na uszy i za kołnierz. Jego oddech, płytki i urywany, rozlegał się suchym, chrapliwym dźwiękiem, dzielonym długimi przerwami. Wąż sunął mu po karku, coraz wyżej, w końcu owinał się wokół głowy niczym korona. Sam czuł, jak kolana mu się uginają, przed oczyma latały mu czarne platy, lecz nie ruszał się i nie odrywał wzroku od parafian z Grashopper Valley.

Jeśli mnie ukąsi, umrę, pomyślał.

- Ten wąż mnie nie ugryzie - oznajmił wiernym. - Nie ugryzie mnie, ponieważ mam w sobie Ducha Świętego. Zaiste jestem napełniony Duchem Świętym i wiem, że Pan mówił serio, kiedy rzekł, iż jad ani trucizna nie powali człeka prawdziwej wiary.

Patrzył im w oczy, jednemu po drugim. Miał ich w swojej mocy, czuł to, i napawał się swoją władzą. Jeszcze bardziej wszakże podniecało go poczucie, iż jest nieustraszony, potężny, chroniony większą, wszechmocną dłonią.

- Grzesznicy i niedowiarki, odstąpcie! - krzyknął. Przypomniał sobie ustęp ze świętego Jana, który bardzo lubiła jego matka:

- „Albowiem Bóg tak umiłował świat, że dał mu swego jednorodzonego Syna i ktokolwiek weń wierzy, nie umrze na wieki, lecz będzie miał życie wieczne!”

Jakaś kobieta wstała, wyciągnęła ramiona, jakby chciała go objąć, i odkrzyknęła:

- Amen!

Zachęcony Sam postąpił dwa kroki ku siedzącym wiernym i mówił dalej. Mówił o strachu przed Szatanem i o miłości Boga, o swojej niechlubnej przeszłości, znaczonej bójkami, pijatykami i ciężką pracą. Grzechotnik zsunął mu się z głowy przez twarz na szyję i wpełzł za kołnierz koszuli, po czym owinał się wokół tułowia. Serce Sama jeszcze przyspieszyło, lecz nie przerwał kazania.

Wezwał wiernych, by podeszli i dotknęli węża; mówił im o rozkoszy, jaką sprawia Duch Święty napełniając ludzkie ciało; recytował ustępy z Biblii, sam nie wiedząc, skąd je zna - może z dzieciństwa; może zapisały mu się w mózgu, gdy wyrzaskiwała je matka napominając ojca, by zaniechał grzesznych uczynków.

- Baczcie! - wrzasnął słowami świętego Łukasza - Oto daję wam moc nad wężami i skorpionami i wszelkimi siłami Nieprzyjaciela: nic nie zdoła was dotknąć!

Złapał za koszulę i rozdarł ją, ukazując węża zwiniętego na piersi. Jednym błyskawicznym ruchem złapał go pośrodku, zerwał z siebie i rzucił na ziemię. Gad upadł z donośnym odgłosem, skurczył się i unióś łeb, by zaatakować. Mały Sam podniósł go i rzucił ponownie,

potem jeszcze raz i jeszcze, aż bestia zwiotczała i legła nieruchomo u jego stóp.

- Abyście wierzyli, że Jezus Chrystus jest Synem Bożym - zawołał, kopiąc martwego grzechotnika między wiernych - i że w imię Jego żyć będziecie!

\*

Dni ukrycia dobiegły końca. Mały Sam znalazł Boga i nie miał zamiaru pozwolić Mu odejść.

Wróciwszy do domu oznajmił Estherze, iż ruszają w drogę. Został oto napełniony Duchem Świętym, rzekł, i chce głosić Słowo i szerzyć Ewangelię w górach i wszę-

dzie. Będzie „wypełniał znaki” - gołymi rękami brał węże, wstępował w płomienie i pił wszelkie trucizny, a wszystko to na chwałę Pana i by dowieść siły swej wiary w Niego.

Esthera spakowała dzieci i ruszyła za mężem w tę nową drogę życia. Stanowili ucieśzny widok: tęga, kolebiąca się, stateczna Esthera, zaczerwieniona z wysiłku - zawsze bowiem niosła to czy inne z dzieci - sapiąc srodze bezskutecznie usiłowała dotrzymać mężowi kroku. On zaś szedł daleko w przedzie, nie troszcząc się, czy nadążają, a często w ogóle o nich zapominał. Miał na sobie białą połataną koszulę i czarne spodnie podwinięte u dołu, musieli bowiem przekraczać w bród strumienie. Buty, tylekroć nurzane w wodzie, wykrzywiły się i straciły kolor. Onuc Sam nie nosił. Zawsze trzymał Biblię w dłoni lub pod pachą i choć nie potrafiłby z niej odczytać nawet jednego wersu, często wznosił ją nad głowę i potrząsał nią, by w ten sposób podkreślić prawdziwość swoich słów.

Wędrowali pieszo od świtu do zmierzchu; żywili się jagodami i zbieraną z szos padliną oraz tym, co zdołali uzebrać po drodze. Sypiali w opuszczonych stodołach albo pod gołym niebem.

Byli brudni, obdarci i niedożywieni, dzieci chorowały i wiecznie płakały z głodu. Zdecydowany prowadzić żywot ascety, Sam przestał pić, a nawet obiecał Estherze, iż będzie unikał kobiet i burd. Jeśli człowiek żyje po bożemu, orzekł, Bóg uchroni go przed krzywdą. Gdy Duch Święty owładnie jego czystym sercem, żaden wąż nie ośmieli się go ugodzić.

Esthera oczywiście o tym wszystkim wiedziała, albowiem była gorliwą chrześcijanką na długo przedtem, nim jej mąż odkrył swoje powołanie. Tak ją wszakże cieszyła przemiana, jaka zaszła w charakterze Sama, że tylko uśmiechała się i słuchała jego peror robiąc zaciekawioną minę. Wiezorami, kiedy dzieci już spały, czytała mu ustępy z Biblii, a Sam powtarzał je z pamięci. Pomagała mu też formułować i interpretować reguły ubóstwa i prostoty. Nie zawracała mu głowy narzekaniem na głód, chłód, bolące nogi czy gorączkę. Tak posuwali się coraz głębiej w góry.

Ilekcroć natrafili na osadę lub choćby domostwo, obóz górniczy albo na wpół zawalony kościół przy krętej, zapomnianej drodze, robili postój. Esthera pomagała Samowi zebrać audytorium, po czym siadała i przysłuchiwała mu się żarliwie, jakby słyszała to pierwszy raz w życiu. Faktycznie, był doskonałym mówcą, z jego słów biło szczere przekonanie i nie bał się osądu innych. Z taką samą swadą głosił swe prawdy jednemu co dziesiątce słuchaczy; zmagął się z węzami sam i pośród ludzi i niezmiennie budził tak silne emocje, że wierni zaczęli mówić językami i podrygiwać w rytm jego słów, aż w końcu wyczerpani padali na ziemię.

W ciągu tego pierwszego roku Sam Jenkins stopniowo wyrobił sobie renomę kaznodziei, którego ludzie znają i poważają. Budził w wiernych dostateczną ciekawość, by przybywali doń z daleka, w niedowiarkach zaś dostateczny sceptycyzm, by ze wszystkich sił starali się mu dopiec.

A on stawał przed nimi i dawał im pokaz, od którego nie mogli oderwać oczu. Nie cofał się przed niebezpieczeństwem, lecz wychodził mu naprzeciw; wygłaszał górnolotne stwierdzenia i niemożliwe do spełnienia żądania; wyzywał każdego, by poddał go próbie, jeśli tylko się ośmieli, ponieważ ma oto przed sobą człowieka, który usłyszał wezwanie Pana i wie, czego Pan od niego oczekuje, a nie boi się spełniać Bożego dzieła.

Smarkacze śmiali się i rzucali kamieniami w jego węże. Starzy znajomi, bimbrownicy z gór, potrafili przejechać wiele mil, by podokuczać mu w trakcie kazania. Zarządcy kopalń wysyłali swoich zbirów, by rozpędzali wiernych i przegonili Sama na cztery wiatry, duchowni oskarżali go, że grzeszy kusząc los, a mimo to na każdego sceptyka czy wrogo nastawionego niedowiarka przypadało co najmniej kilku ludzi nawróconych przez Sama.

\*

Pewnego deszczowego dnia Sam zostawił Estherę i dzieci w opuszczonej chacie, w której spędzili noc, i wyszedł na samotną przechadzkę. Od rana czuł, że Duch Święty

go napełnia, wytropił więc węża i sam go okiełznał. Szedł niosąc w dłoni Biblię, a na szyi owiniętego jak szalik węża, kierując się w stronę osady górniczej, w której planował odprawić nabożeństwo. Przeszedłszy w bród brudny potok, w którym woda miała kolor sadzy, zobaczył wykolejony, pęknięty na pół wagon. Południe dawno już minęło, Mały Sam był przemoczony do pasa, mokre buty miał w strzępach, a dziurawa koszula nie chroniła przed chłodem. Zajrzał przez szparę w ścianie wagonu i zobaczył kobietę. Spytał, czy nie rozpaliby ognia, żeby mógł się osuszyć.

Rose Watkins pozwoliła, aby się schronił w wagonie, rozpałała ogień i pożyczyła mu czystą roboczą koszulę oraz kombinezon, które właśnie uprała dla pewnego Słoweńca. Usmażyła na smalcu resztkę sucharów i podała Samowi, choć oznaczało to, że wraz z Clare pójdą spać bez kolacji. Nawet nie zapytała, skąd się tu wziął ani dlaczego ma na szyi węża.

Sam usiadł i wyciągnął do ognia blade, kościste, pokaleczone stopy. Jego zmarznięte uszy, rozgrzawszy się, przybrały jaskrawoczerwony kolor. Zdjął z szyi węża i zostawił go na zewnątrz, wyjaśniając, iż zwierzę, czując jego rozluźnienie, mógłby wpaść na głupi pomysł, żeby zacząć kąsać. Potem zaczął jeść, nie podnosząc oczu na Rose.

Zapach tłuszczu obudził Clare. Podeszła bliżej, spoglądając na Sama karmelowymi oczkami i wydymając wiśniowe usteczka. Miała na sobie tylko kusy sweterek, była bez majtek i wyglądała jak małeńki aniołek zesłany przez Pana, by wskazać ludziom nowego proroka. Na widok talerza w dłoni Sama wyciągnęła rączkę. Rose ofuknęła ją, ale Sam się wtrącił, pozwolił małej zgarniać palcami smalec, a następnie posadził ją sobie na kolanach i powiedział, że może jeść, ile tylko zechce.

Patrzył z uśmiechem, jak półnagie dziecko wpycha sobie kawałki suchara do ust i żuje powoli, wpatrując się w niego jak w obraz. Rzekł do Rose, iż dzieci są darem Boga dla ludzkości, dowodem Jego chwały i nosicielami Jego miłości. Najedzona Clare podniosła rączkę i złapała go za ucho. Nie protestował. Wdrapała mu się na kark. Wstał i nosił ją wokoło na barana, a dziecko pękało ze śmiechu. Deszcz ustał, w kotlinie zaległa noc. Mały Sam opowiedział Rose o swym duchowym odrodzeniu, o znaczeniu walki z wężem i cudzie napełnienia Duchem Świętym.

- Kiedy człowiek jest napełniony - mówił - wszystko ma inny kolor. Ludzie wyglądają inaczej. Można widzieć przyszłość; można kłaść ręce na chorych i uzdrawiać ich; można nawet wskrzeszać zmarłych.

Rose mu uwierzyła.

Powiedział, że w stanie namaszczenia każdy może wziąć do ręki jadowitego węża. Przytoczył cytaty z Pierwszego listu świętego Piotra: „Aby próba waszej wiary, o wiele cenniejszej niż złoto, które ginie, choć też w ogniu je próbują, okazała się na sławę, cześć i chwałę przy objawieniu Jezusa Chrystusa.”

Rose pozwoliła Samowi zanoć i gościła go jeszcze przez dwa dni. Jadł jej suchary i bawił się z

jej dzieckiem, nie wspominając o własnej rodzinie, którą zostawił w przydrożnej chacie. Zresztą nawet gdyby wspomniał, dla Rose nie miałyby to znaczenia, uwierzyła już bowiem w jego świętość i nie ośmieliłaby się go osądzać wedle reguł stworzonych dla zwykłych ludzi. W niedzielę zaprowadziła go do obozu, by tam wygłosił kazanie.

Brudny, zaśmiecony, pełen much i smrodu latryn obóz górniczy w Corbin Glow nie wyglądał lepiej ani gorzej niż niezliczone podobne osady w południowej części łańcucha Appalachów. Rząd jednoizbowych chat dla rodzin, naprzeciw podobny rząd noclegowni dla samotnych mężczyzn przybyłych przeważnie z Rosji i Europy Wschodniej. Chaty zbite były z surowych desek, nie pomalowane, otoczone stertami śmieci i strumykami pomyj, które gniły na wolnym powietrzu. Latryny stały wzdłuż strumienia, ludzki i zwierzęcy gnój piętrzył się na brzegu, zatruchiwał ciek wodne i studnie. Cały obóz pokryty był warstwą pyłu węglowego, który mieszał się z dymem i osiadał na ścianach, ubraniach, pościeli i garnkach, na włosach, skórze i pod paznokciami.

Górnicy byli przepracowani, niedożywieni i posępni. Ich małżeństwa przeważnie się rozpadały, dzieci umierały w niemowlęctwie. Aby zagłuszyć ból, wielu szukało zapomnienia w szynkach, które ostatnio wyrosły w osadzie - pili, tańczyli, uprawiali hazard, nawet zadawali się z prostytutkami ściągniętymi przez zarządy kopalń na użytek samotnych cudzoziemców (owe panie zdołały zarazić chorobami wenerycznymi jedną trzecią wszystkich dorosłych mężczyzn). Liczba zabójstw drastycznie wzrosła

zarówno w Corbin Glow, jak i w całym okręgu Harlan. Ulubionym zajęciem stało się pędzenie samogonu.

Mały Sam Jenkins pewnym krokiem minął chaty górników. Niski, z wielką głową i bulwiastymi uszami, do tego stopnia nie rzucał się w oczy, że nikt nawet nie spostrzegł jego Biblii ani puszek po smalcu, w której niósł grzechotnika. Zauważył pniak sterczący przed noclegownią i wdrapał się na niego. W chwili gdy ludzie zwrócili na niego wzrok, zaczął mówić.

Mówił o dniu, w którym łono Ziemi pęknie i wyleją się z niego ogień, dym i krew, by potopić grzeszników. Mówił, że Bóg patrzy na ziemię i prowadzi rejestr tych, których ocali w owym dniu, i tych, których strąci w gorejące płomienie. Jeśli już teraz nie przyjdą do Pana, nie wyznają swych grzechów i nie odmienią swego życia, wszyscy będą się smażyć w piekle przez całą wieczność.

Dziesięć minut po rozpoczęciu kazania słuchał go już liczny tłum.

Sam powiedział, że sam był grzesznikiem, który jednak został napełniony Duchem Świętym i dołożywszy wszystkich sił, by przegnać ze swej duszy strach, zwątpienie i pokusę, został nagrodzony największym darem - mocą odpierania zła, tarczą chroniącą go przed zakusami szatana. Mówił o Szadraku, Mészaku i Abednego, o tym, jak wedle prorocstwa Danielowego zostali wrzuceni do gorejącego pieca: „A zgromadziwszy się książęta, starostowie, urzędnicy i hetmani królewscy oglądali onych mężów, że nie panował ogień nad ciałami ich i nie opalił się włos z głowy ich i nie naruszyły płaszcze ani zapach ognia ich nie przeszedł.”

Podobnie, rzekł Sam, każdy, kto wierzy dostatecznie mocno, mężczyzna, kobieta czy dziecko, oprze się śmierci i ranom.

W odpowiedzi na jego zapewnienia rozległy się śmiechy, z tłumu poleciało parę kamieni. Zarządca wyszedł ze swojej chaty i kazał Samowi spieprzać. Przez tłum przecisnęły się dwie prostytutki z cyckami na wierzchu. Sam wskazał na nie jako na obraz grzechu i powtórzył, że muszą odmienić swoje życie, natchnąć je świętością, której nie da się okupić srebrem ani złotem, ani żadną z rzeczy doczesnych.

Jedna z kobiet zaśmiała się pytając, czy pokaże jej, jak to jest z tą świętością.

- Jeśli będzie mi dana moc - odparł.
- Może trzeba cię nakarmić, żebyś nabrał sił? - zawołał drwiąco jakiś górnik.
- Moc pochodzi od Boga - rzekł Sam, po czym schylił się i otworzył puszkę.

Na widok węża tłum jęknął, ale Sam bez mrugnięcia sięgnął do puszek, wrzasnął i jednym ruchem wyszarpnął z niej węża tak gwałtownie, że ten zeszywniał niczym kij.

Sam wydał kolejny okrzyk i potrząsnął wężem. Gad zaatakował z szybkością błyskawicy i ukąsił go w język, nim kaznodzieja zdążył zamknąć usta.

Rose miała uczucie, że zaraz zemdleje. W tłumie zapanował chaos. Mały Sam wciąż trzymał węża w trzęsących się rękach. Język wystawał mu z ust, wszyscy mogli zobaczyć dwa zęby jadowe, które ułamały się i zostały w ciele - wokół nich spływała krew, język obrzękł i szerniał. Sam czuł, że się dławi; próbował przełknąć ślinę i krew, lecz język nie mieścił się w ustach. Kolana mu dygotały od działania trucizny, czarne plamy migwały przed oczyma i wiedział, że lada chwila straci przytomność.

Spojrzał na pobladłe twarze górników, na ich pełne niedowierzania oczy i ledwie mogąc poruszać ustami, wybełkotał:

- Abyście uwierzyli, że Jezus jest Chrystusem, Synem Bożym; a wierząc, abyście w imię Jego zyskali życie.

\*

Spotkanie z Samem zmieniło życie Rose.

Nie żeby wcześniej nie znała Boga; w Jenkinsie po prostu znalazła siłę przekonania, która dotąd nie wydawała jej się możliwa. Gotów był postawić życie w zakład o swą wiarę - i gotów był przegrać. Kiedy to ujrzała, wszystkie jej ziemskie troski straciły na znaczeniu. Pozostała w Corbin Głow, nie myślała już o przewodnicze; zakryła dziurę w dachu kawałkiem nasmołowanego płótna, żeby nie ciekło do środka. Czasem wiatr zrywał płachtę, czasem ustępowała pod ciężarem deszczu lub śniegu, ale Rose już to nie martwiło, ponieważ przed oczyma duszy miała cieplejsze, wygodniejsze miejsce.



Raz w tygodniu wieczorem i trzy razy w weekend - w sobotni wieczór i jeszcze dwa razy w niedzielę - brała Clare i szła modlić się z Małym Samem.

Baczyła na każdy swój krok i czyn, by nie dopuścić do siebie zepsucia. Z zapalem opowiadała o cudach, jakich była świadkiem na każdym zgromadzeniu, cytowała Biblię przy każdej okazji, brała do rąk węże, ilekroć Jenkins przynosił je na nabożeństwo. Zapuściła Clare włosy i nigdy ich nie strzygła, szyła sobie i córce prostą odzież z worków, których już nie farbowała, chcąc ustrzec się choćby krzty próżności. Za karę kazała Clare klęczeć na obranych kaczanach kukurydzy, aż krwawiły jej kolana. W nagrodę zabierała ją z wizytą do współwyznawców mieszkających w pobliskich górach.

Dlatego też była świadkiem, jak pewnego upalnego letniego dnia w Wallins Creek niejaki John Sherman, ewangelista z Path Fork w stanie Kentucky, wskrzesił małą Jean Stanton.

Mała Jean Stanton miała trzy lata i umarła we śnie poprzedniej nocy. Korzystając z chłodu poranka, rodzice umyli i ubrali ciało i położyli je na desce na stole do szycia w swoim domu. Bojąc się, że upał przyspieszy rozkład i zmusi ich do prędkiego pochówku, udali się w sąsiedztwo, gdzie Rose i inni zmagali się z węzami, prosząc, by przyszli pomodlić się za duszę Jean.

Okna i lustro w chacie Stantonów osłonięto czarną tkaniną, zegar zatrzymano na godzinie, w której dziecko wydało ostatnie tchnienie. Mała Jean leżała na środku stołu ubrana w długą białą sukienkę. Włosy, rozczesane i związane przez matkę, spływały jej aż do podłogi. Skóra, blada i sucha, już zaczynała się łuszczyć. Powieki dziewczynki przyciśnięte były miedzianymi centówkami, ręce złożone jak do modlitwy i nie było w niej więcej życia - jak później stwierdziła Rose - niż w stole, na którym leżała.

Święci pielgrzymi uklękli, otaczając ją kręgiem, i modlili się bez ustanku pomimo upału i wilgoci, przez którą co najmniej jedenastu wiernych padło zemdlonych na ziemię. Modlili się tak, aż późną nocą do domu Stantonów wszedł John Sherman.

Obudziwszy się tegoż ranka Sherman natychmiast poczuł, że ożywia go Duch Święty. Upadł na kolana i zapytał Boga, co każe mu czynić, Pan zaś odpowiedział, że ma do wypełnienia misję w Wallins Creek.

Przebył więc pieszo czternaście mil w kierunku, który wskazał mu Duch, a w chwili gdy zobaczył dom Stantonów, przez którego otwarte drzwi dolatywał trupi odór, zrozumiał, że ma przed sobą cel swojej misji.

Od śmierci małej minęło już dwadzieścia pięć godzin i jej ciało było zimne jak lód. Sherman zapytał Stantona, czy może pomodlić się za jego córkę. Następnie ukląkł, ujął rączkę dziecka i pograżył się w modlitwie tak głębokiej, że nikt i nic nie było w stanie jej przerwać. O brzasku, w porze gdy milkną nocne stworzenia, a duchy bledną, mała Jean Stanton otworzyła oczy i usiadła na desce. Potem sfrunęła na podłogę niczym anioł powołany do życia wołą Boga i zaczęła chodzić.

Mimo całej swej wiary w uświęcenie Rose nigdy nie zdołała jej zaszczepić własnym dzieciom.

W odległych osadach górniczych jej synowie, pijąc i łajdacząc się, stali się polecznikami diabła na tej ziemi. Harvey zginął wskutek wybuchu metanu w 1920 roku. Pozostali dwaj wstąpili do związku zawodowego i pomogli Matce Jones zorganizować strajk przeciwko spółkom węglowym w południowym Kolorado. Było to śmiałe i odważne przedsięwzięcie - zjednoczenie tysiąca dwustu robotników mówiących dwudziestoma czterema różnymi językami i zwiezionych do Stanów z zagranicy, by załatać niedostatek miejscowej siły roboczej. Związkowcy żądali bezpieczniejszych warunków pracy w kopalniach węgla i lepszych warunków bytu dla górników. Mieszkali na wozach, którymi jeździli w deszczu i śnieżycy do obozów założonych przez związek, gdzie mieli nadzieję znaleźć poparcie. Największy taki obóz mieścił się w Ludlow. Kiedy strajk zaczął się przeciągać, spółki węglowe skierowały przeciwko górnikom milicję, która otworzyła ogień do strajkujących.

Ostrzał trwał bez przerwy przez dwanaście godzin. Jeden z synów Rose spłonął żywcem w namiocie. Drugi zginął zasypany w wykopanej piwniczce, w której schronił się wraz z żoną i córką.

A jednak spoglądając wstecz Rose uznała, że nie śmierć synów, lecz życie córki zadało jej największy ból.

\*

Clare Watkins wychowała się w starym wagonie, otoczona czernią górniczej osady i apokaliptycznych poglądów matki. Jednakże ani nędza, ani odcięcie od świata, ani nawet cień Pana wiszący nad nią niczym ostrze topora nie zdołały z niej wypłenić żądz życia - i wszelkich innych grzesznych żądz. Jako mała dziewczynka chodziła z Rose na wszystkie nabożeństwa i słuchała cytatów z Biblii, których nie szczędziła jej matka. Zgodnie z jej nakazem nosiła długie włosy, wiedziała, czym jest piekło i potępienie, a nawet pomagała sprzątać świątynię po nabożeństwie, ale żadne z ówczesnych doświadczeń i starań Rose nie przyniosło oczekiwanych rezultatów.

Odkąd nauczyła się chodzić, Clare najbardziej lubiła biegać na pół goła, zbierać różne błyszczące, kolorowe śmieci i patrzeć na mężczyzn - również duchownych - tak że zaczynali się rumienić. Zdawać by się mogło, iż ponad wszystko pragnie być zauważana, za wszelką cenę zapisać się w ich pamięci. Lubiła widzieć swe odbicie w oczach mężczyzn; lubiła też wzbudzać gniew ich żon.

Kiedy trochę podrosła, chodziła z Rose po obozach, pomagając jej dźwigać ciężkie wory odzieży do prania. Nie miała butów, chodziła więc boso; zimą nogi miała sine, latem mokre i ubłocone. Wystarczyło jednak, by Rose choć na chwilę spuściła ją z oczu, a już znajdowała sobie towarzyszy. Wdrapywała im się na kolana, szczypała ich i ciągnęła za odzież, aż śmiali się zmieszani lub ściskali ją zbyt mocno.

W wieku lat sześciu odkryła szkółkę prowadzoną w osadzie przez zarząd kopalni.

Błagała Rose, by pozwoliła jej się uczyć. Ilekroć były w obozie, uciekała matce i wkradała się do klasy. Rose potrzebna była jej pomoc, a zresztą nie wierzyła, by w

szkole przy kopalni mogli uczyć czegokolwiek, co ma jakąś wartość. Clare jednak nie przestawała prosić, poduszczana przez nauczycielkę, starą pAnne, toteż w końcu Rose uległa.

Nauczycielka stwierdziła, że Clare jest najbystrzejsza z jej uczniów, że najlepiej czyta, najtrafniej rozumuje. Powiedziała Rose, że szkoła chroni dzieci od złych wpływów, pozostawiając im dość czasu na domowe zajęcia; że dzieci, które nauczą się czytać i pisać, mogą pewnego dnia znaleźć pracę poza kopalnią, zarobić prawdziwe pieniądze i ulżyć rodzinie w biedzie. Ale Sam Jenkins pouczył już Rose, że nauczycielom nie należy wierzyć. Teraz dodał jeszcze, że ta kobieta to zaiste Jezabel, ponieważ ma krótkie włosy, nosi obcisłe suknie i uczy dzieci, że Ziemia jest okrągła.

- Powiedziano w Piśmie, że stoją czterej aniołowie na czterech rogach Ziemi!- Jenkins wyrznął pięścią w pulpit. Było to podczas nabożeństwa w Harlanie, wkrótce po rozmowie z Rose o szczegółach edukacji jej córki. - Czy ktoś może mi powiedzieć, jakimże to sposobem miałyby Ziemia cztery rogi, gdyby była okrągła? Ludzie, którzy tak twierdzą, są wysłańcami Szatana! Diabeł posłał ich na ziemię, by zwodzili nasze dzieci i napełniali ich uszy kłamstwem!

Clare spędziła w szkole półtora semestru, nim matka stanowczo położyła temu kres, ale zło już się stało: nauczyła się czytać i nie miała zamiaru zapomnieć tej umiejętności.

Czytała napisy na workach po mące, z których matka szyła jej ubrania, i na puszkach po smarze, w których Rose przechowywała swoje rzeczy. Czytała stronice wydarte ze starych katalogów, którymi górnicy obijali ściany chat, i zblakłe tabliczki na wagonach, które wywoziły węgiel z gór. Nade wszystko jednak lubiła wystawać pod sklepem i czytać nagłówki w gazetach i czasopismach, nawet gdy nie rozumiała znaczenia słów. Tam też odkryła magazyn „Prawdziwe Zwierzenia”.

W 1917 roku wybudowano w Lynch obóz górniczy, w owym czasie największy w Kentucky. Miejscowy sklep pełen był nowinek, na których widok bogobojne niewiasty przenikał dreszcz zgrozy. Najgorsze były magazyny pełne opowieści o tragicznych romansach - historii udręk, tęsknot, rozstań i przeciwności losu. Drukowano tam rów-

niez opowieści o pasterkach, które wychodziły za „zamożnych dżentelmenów” i przenosiły się z wiejskich chat do czterdziestopokojowych rezydencji, a także o rozkapryszonych dziedziczkach rozkochanych w lokajach, które następnie umierały młodo z tej miłości. Heroiny, którym udało się połączyć z ukochanym, przeważnie opuszczały ten padół w połogu albo ich mężowie konali na galopujące suchoty. Pomiedzy jedną a drugą tragedią wszakże damy te kręciły włosy, malowały usta czerwoną szminką, całymi dniami przymierały balowe suknie i chodziły po domu w jedwabnych szatach i ręcznie malowanych pantoflach.

Przy pierwszym spotkaniu z „Prawdziwymi Zwierzeniami” Clare ledwie umiała czytać na tyle, by zrozumieć pojedyncze zdanie, cóż dopiero całą taką opowieść. Pomimo to wystawała w sklepie ze wzrokiem wbitym w rządki druku, świadoma, że stanowią one bramę do innego świata, możliwość dostępu do rzeczy jaśniejszych i godniejszych podziwu niż te, które znała. Doskonaliła więc sztukę czytania, codziennie po trochu, stercząc obok sklepowej lady, potrącana przez wchodzących i wychodzących górników. Sklep stał się jej azylem, gdy tylko matka odwróciła wzrok albo była zajęta pracą. Clare szybko się nauczyła, że jeśli skokietuje sprzedawcę, dostanie za darmo cukierka lub oranżadę; w zamian za śliczny uśmiech górnicy chętnie kupowali jej lody, zatrzymywali się i głaskali ją po głowie - tym chętniej, jeśli nakręciła włosy na palcu i przewiązała je kawałkiem wstążki lub choćby sznurka.

W wieku lat dziesięciu zbuntowała się na dobre: na każdym dosłownie kroku okazywała Rose nieposłuszeństwo i nie chciała żyć zgodnie z nakazami Ducha Świętego. Całymi dniami siedziała beczynnie przy wagonie; bosa stopy oblepione miała błotem, długie włosy splecione i pełne kołtunów. Nie robiła nic, żeby pomóc matce, co najwyżej piekła placki kukurydziane, które jadły na śniadanie z melasą, albo smażyła kartofle na smalcu i podawała je na kolację. Przez resztę czasu śniła na jawie o rzeczach i miejscach, których Rose nie znała i nie miała ochoty poznać, i szukała tylko pretekstu, by wymknąć się do obozu.

- To dziecko zmierza prostą drogą do piekła - ostrzegał Rose Sam Jenkins, ilekroć odwiedzał Corbin Glow. Mówił to z błyskiem w oku, nie spuszczając z Clare spojrze-

nia i czerwieniąc się aż po czubki kalafiorowatych uszu. - Powinnaś przyprowadzać ją do kościoła i modlić się, by o władnął nią Duch Święty.

Kiedy Clare w końcu zjawiała się w kościele, Sam do tego stopnia nie mógł się skupić, że atakował go każdy wąż, po którego sięgnął.

\*

Mały Sam przemierzał góry z Estherą, a jego sława rosła. Zwołał w Indianie zgromadzenie wiernych, które trwało trzynaście dni i przyniosło mu setki nowych wyznawców. Nabożeństwo w świątyni Czcicieli Najświętszego Sakramentu w Tennessee ściągnęło miejscową policję, a nawet prasę. Zachęcony tym Sam, pławiąc się w popularności, uwierzył we własną wszechmoc. Teraz obiecywał, że będzie czynić cuda. Nie wystarczał mu już jeden wąż: znosił je do kościoła tuzinami, rzucał na ziemię i stapał po nich boso albo łapał po parę w każdą rękę i wywijał nimi dotąd, aż zdychały lub atakowały.

Często znosił ukąszenia, lecz zawsze odmawiał przyjęcia pomocy lekarskiej, zawsze prowadził nabożeństwo dalej mimo bólu i obrzęków twarzy lub kończyn. W Owi Hollow obiecał grupie reporterów z lokalnych gazet (a nawet z jednej stanowej), że nazajutrz będzie chodził po wodzie. Gazety podały tę wypowiedź do wiadomości publicznej (relacjonowały już prawie każde słowo Sama) i nazajutrz dziennikarze zgromadzili się nad brzegiem rzeki Tennessee, w miejscu gdzie Sam miał dokonać owego cudu. Czekali dość długo; kaznodzieja pojawił się mocno spóźniony i oznajmił, że cudu nie będzie.

- Powiedziałem, że będę chodził po wodzie, jeśli napełni mnie Duch Święty - wyjaśnił - a dziś nie wypełnił.

Przeniósł się do Soddy w Tennessee, gdzie prowadził modły wspólnie z N.P. Mulkeyem. Potem ruszył do Harrisonu, a stamtąd do Dividing Ridge. W roku 1917 zwrócił się do Kościoła Bożego o certyfikat duszpasterski. W formularzu, który ktoś za niego wypełnił, kazał napisać, że nie ma wykształcenia, a na jego ziemski dobytek

składają się: koszula z pięćdziesięcioma łątami oraz dług w wysokości dwudziestu pięciu dolarów.

Przez cały ten czas Esthera trwała przy nim i rodziła mu dzieci. Sam lubił je płodzić, ale potem zaczynały mu przeszkadzać i wciąż namawiał żonę, żeby zostawiła je w sierocińcu, dzięki czemu mogliby podróżować swobodniej. Ta odmawiała, na co Sam wściekał się i upijał. Oskarżał ją, że stoi pomiędzy nim a Bogiem. Potem udawał, że nie widzi jej ani dzieci, albo znikał na długie okresy. Wracał skruszony, kazał żonie pakować się i wyruszali dalej.

Przemieszkiwali w lasach, na plebaniach, w kościołach, w których Sam wygłaszał kazania, jego rodzina zaś biwakowała w kącie odgradzonym od nawy wiszącym na sznurku kocem. Sam głosił Słowo Boże w całej dolinie rzeki Tennessee - bezdomny, obdarty i niedożywiony, ale coraz sławniejszy, coraz bardziej poważany. Wierna Esthera pewnie by pozostała, podróżowałyby z nim przez resztę życia, gdyby nie to, że Sam znów zaczął handlować samogonem i pewnego dnia postanowił się z nią rozwieść.

Żona i ośmioro dzieci, oznajmił, to za ciężkie brzemię dla człowieka powołanego do służby Bogu.

Esthera przeniosła się z dziećmi do Chattanooga, gdzie dostała pracę w fabryce. Przez wiele lat Sam nie dał jej znaku życia. Wreszcie pojawił się bez zapowiedzi. Oświadczył, że udało mu się pożyczyć samochód i chce zabrać dzieci na przejażdżkę.

Jeździł z nimi przez parę godzin. Zaraz potem pożegnał się i znów zniknął na dwadzieścia lat.

Jeśli ktoś pytał Sama o rodzinę, odpowiadał, że zostawił żonę i dzieci w dobrych rękach - pod opieką syna Charlesa, który był już na tyle dorosły, by zarabiać sporo pieniędzy, i na tyle odpowiedzialny, by zatroszczyć się o matkę i młodsze rodzeństwo. Charles miał wówczas dziewięć lat.

Mały Sam znów wziął się do pędzenia bimbru wspólnie z pewnym Murzynem i w roku 1923 został na tym przyłapany przez szeryfa. Wymierzono mu grzywnę w wysokości stu dolarów plus koszty sądowe oraz skazano na cztery miesiące więzienia. Odsia-

dywać je miał w obozie pracy w Silverdale, ponieważ jednak źle się czuł w zamknięciu, uciekł.

Przez jakiś czas ukrywał się w górach ponad farmą swojej siostry w Ooltewah. Ludzie szeryfa przeczesali cały ten obszar, ale Sam zawsze wyprzedzał ich o krok. Wkrótce trafił do Corbin Glow. Dwanaście lat po swej pierwszej wizycie w opuszczonym wagonie znów odwiedził Rose Watkins z prośbą, by go ukryła przed natrętnymi przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości.

Rose oczywiście go przyjęła, ponieważ całym sercem wierzyła w czyste intencje Sama, a także dlatego, że gotowa była na wszystko, byle zrobić na przekór ludziom i instytucjom, które odebrały jej Cecila. Prała odzież Sama, gotowała mu jadło i pozwalała spać w najsuchszym, najcieplejszym kącie wagonu. Po cichu zaś modliła się, by został na zawsze albo zabrał ją ze sobą w drogę, jak niegdyś Estherę. Trzy dni później Sam poprosił ją o rękę.

I od tego zaczęły się wszystkie kłopoty.

\*

W dniu, w którym Rose wyszła za Sama, Clare zawzięła się, że go uwiedzie. Miała już dwanaście lat i była świadoma własnej urody. Skróciła spódnicę najpierw do kostek, potem do połowy łydki, a następnie do kolan. Poszła do kopalnianego sklepu w Lynch. Naciągnęła sprzedawcę na lakier do paznokci i szminkę, przeschmuglowała je do domu i malowała się, ilekroć Sam był w pobliżu. To nic, że Sam udawał, że nie widzi, a Rose kazała jej myć twarz i ręce ługiem. Clare widziała, jak drżą ręce starszka, widziała pożądanie w jego wzroku i czuła już smak zwycięstwa. Pewien stary majster dał jej w prezencie jedwabne pończochy; nosiła je, chociaż były za duże i marszczyły się wokół kostek. Pewien górnik, Rosjanin, kupił jej pantofle na wysokich obcasach za całomiesięczną pensję, choć planował posłać ją żonie i dzieciom. Clare paradowała w nich przed Samem w kusej spódniczce, pytając, czy dobrze wygląda. Wybrała się nawet na przejażdżkę z zupełnie obcym mężczyzną - wsiadła do jego for-



da, świeżo kupionego za prawie trzysta dolarów i kazała się zawieźć na spotkanie Uświęconych, gdzie jak wiedziała, znajdzie matkę i Sama. Niespełna rok po ślubie Rose Watkins zdała sobie sprawę, że diabeł już-już dzierży w szponach jej córkę i męża, i poprosiła Sama, aby odszedł.

Odszedł w roku 1925. Potem jeszcze dwa razy wracał i w końcu rok później ostatecznie rozwiódł się z Rose. Jednakże kości zostały już rzucone, a los Clare przypięczętowany: zyskała pewność, że może skusić najbardziej oddanego sługę Bożego, złamać hart ciała, które oparło się atakom jadowitych węży i działaniu trucizny. Teraz była to już tylko kwestia czasu. Prędzej czy później zdobędzie Sama Jenkinsa.

\*

Mały Sam udał się do Ohio, by głosić swe nauki na zebraniach Armii Zbawienia. Był to rok procesu Johna Scopesa. Ten dwudziestoczteroletni nauczyciel z Tennessee został aresztowany za pogwałcenie prawa zakazującego nauczania teorii ewolucji. Proces relacjonowało stu reporterów; uwaga całego kraju skupiła się na dyskusji pomiędzy obrońcą Clarence'em Darrowem a oskarżycielem Williamem Jenningsem Bryanem. Scopes został uznany winnym przez ławę przysięgłych, którzy znali Biblię, nie znali natomiast „O pochodzeniu gatunków”.

Mały Sam Jenkins śledził doniesienia w tej sprawie i uświadomił sobie, że nie jest już ośrodkiem zainteresowania południowych stanów. Po ucieczce z więzienia przyczaił się na wiele miesięcy, lecz teraz wyszedł z ukrycia i znów zaczął przyciągać tłumy.

W Ohio poznał młodą dziewczynę z rodziny niemieckich luteran. Nazywała się Helen Kiessling. Liczyła sobie dwadzieścia dwa lata, a Sam - czterdzieści kilka. Helen miała jasną cerę, wijące się ciemnoblonde włosy, które czesała z przedziałkiem z boku, tak że spadały jej na twarz, nadając wygląd gwiazdy filmowej. Nosiła satynowe sukienki nad kostkę, bez rękawów, i wysokie obcasy, a siadając, wdzięcznie składała nogi. Powiedziała Samowi, że jej rodzice mają stuakrową dobrze prosperującą farmę w Cleveland, że wierzą w ciężką pracę i gorącą modlitwę. Wyznała mu też, że cierpi

na tajemniczą chorobę będącą skutkiem klątwy rzuconej przez pewną Cyganę, kiedy Helen była jeszcze w łonie matki. Nękały ją nagle omdlenia i opętania. Rodzice próbowali wszystkiego, lecz nie było na to lekarstwa.

Sam wziął Helen na spacer i oznajmił, że uleczył z opętania wiele młodych kobiet. Położył jej dłoń na czole, odmówił modlitwę wzywając Ducha Świętego, by wniknął w jej ciało. Następnie położył Helen na ziemi, wsadził rękę pod spódnicę i miętosząc uda, wyobrażał sobie inne jej powaby. Na koniec orzekł stanowczo, iż aby cud się spełnił, państwo Kiessling muszą wyrzec się wiary luterańskiej i przystać do zielonoświątkowców.

Pobrali się w marcu 1927 roku w Alliance w stanie Ohio. Po ślubie zamieszkali w Washingtonville, gdzie Sam znalazł pracę w kopalni i nadal nauczał wiernych. Oprócz tego pił, spłodził następną dwójkę dzieci i oglądał się za każdą mijaną kobietą - od młódek po matrony.

W najgorszym okresie Wielkiej Depresji wywiózł rodzinę do Malvern, sprzykrzyło mu się bowiem jej utrzymywanie, i znów ruszył w trasę. Helen zwróciła się do rodziców o pieniądze. W liście do matki napisała, że Sam to zły człowiek pełen niskich chuci. Z dała od wyznawców ani się nie modli, ani nie mówi o Bogu, ani nie obchodzi go los bliźnich. Jest za to żądny sławy; zaklina węże, dotyka przewodów pod napięciem, pije kwas akumulatorowy i strychninę tylko po to, żeby znaleźć poklask. Toteż piszą o nim w każdej lokalnej gazecie, a nawet w „New York Timesie”.

Sam udzielił także wywiadu w radiu. Apelowal w nim do władz terytorialnych, by zalegalizowały reguły wyznaniowe rządzące postępowaniem dorosłych członków społeczności. Nadal obowiązywał zakaz posługiwania się w obrządkach jadowitymi węzami, ale nikt go nie egzekwował.

Ludzie szeryfa, wysyłani na zebrania grupy, aby powstrzymać Jenkinsa, wracali jako jego zwolennicy lub wręcz nawróceni członkowie ruchu.

Jednakże gdy nabożeństwo dobiegało końca i wierni rozjeżdżali się do domów, pisała Helen, Sam zrzucał z siebie świętość jak niedopasowany kubrak.

„Nie możesz wszakże zaprzeczyć, moja droga" - odpisała jej matka - „że człowiek ten opiera się siłom natury i bez szkody znosi próby, jakim poddaje swoje ciało."

Mały Sam przeniósł się kolejno do Toledo, Pineville, Pennington Gap, Saint Charles. Gromadził wokół siebie bezrobotnych i głodnych, toteż wkrótce mógł się pochwalić większą trzódką niż jakikolwiek kaznodzieja w Appalachii. Szpetny, lecz złotousty, docierał do najnędzniejszych dziełek Bożych i dawał im nadzieję, pewność odkupienia, której nikt inny nie ośmielił się głosić. Rozpaczliwie pragnąc wierzyć, ludzie ci nastawiali ucha na jego słowa, odwracali zaś oczy od czynów.

- Postawię życie w zakład o moją wiarę! - wołał i widać było, że mówi serio. Dobiegał pięćdziesiątki, żył zatem dłużej niż średnio ludzie w górach, mimo to wciąż miał siły młodzieniaszka. Znosił ukąszenia węży nie przerywając kazania. Głowę i twarz usiane miał bliznami i zniekształcone wskutek działania jadu, ciało obrzękłe i poczerniałe, ale wciąż nauczał, wciąż podróżował. Cztery lata później napotkał w Lynch swoją byłą pasierbicę. Podeszła do niego na zgromadzeniu i zobaczył grzech płonący w jej wzroku.

\*

Clare opuściła dom mając lat szesnaście. Znudziły jej się pokrzykiwania matki i życie wedle ciasnych, krępujących reguł jej wiary. Oznajmiła wszem wobec, że jedzie na Północ - do Ohio, Pensylwanii lub Nowego Jorku. Znajdzie mężczyznę, który będzie jej kupował ładne sukienki i zabierał w miejsca, o których słyszała - gdzie można siedząc w samochodzie oglądać film, a nawet słyszeć dźwięk. Nie wpadło jej do głowy, że aby tam dotrzeć, musi mieć pieniądze lub jakąś pracę, toteż dwa tygodnie po opuszczeniu Corbin Głow skończył jej się prowiant i planowana wielka podróż dobiegła końca.

Zamieszkała z pierwszym mężczyzną, który zgodził się ją utrzymywać. Znalazła też grono innych przyjaciół i wielbicieli skłonnych wydać dwutygodniową pensję, byle

tylko zobaczyć zapowiedź uśmiechu w kąciku jej pomalowanych na czerwono warg. Im bardziej ich wykorzystywała, im bardziej przez nią cierpieli, tym silniej wierzyła w potęgę swej urody. Stawała się coraz zuchwalsza; rozkoszowała się względami, jakich nie szczydzili jej mężczyźni, i namiętnościami, jakie w nich budziła. Przenosiła się z osady do osady, zmieniając kochanków z krótkowzrocznością właściwą młodości, która nie wierzy w klęskę. Równie bezczelnie nagabywała duchownych i kaznodziei, chcąc dowieść świata i sobie, że nie sposób jej nie zauważyć; że ma moc silniejszą od wiary czy strachu i potrafi skusić sługi Boże do grzechu, za który będą się smażyć w piekle przez całą wieczność. Przede wszystkim jednak zagięła parol na Małego Sama Jenkinsa.

Jeździła za nim ze stanu do stanu, z osady do osady, na nabożeństwa i zgromadzenia. Często spotykała na nich swoją matkę. Rose rozwiodła się z Samem, lecz nie z jego grupą wyznawców, a w miarę jak przybywało jej lat i mistycznych doświadczeń, rosła jej wiara w potęgę Jenkinsa i zapął do walki z szatanem. Wiedziała, że Sam ożenił się z Helen i wkrótce ją porzucił, pozostawił własne dzieci na głód i poniewierkę; widziała też, jak dygocze za każdym razem, gdy w pobliżu jest Clare - Clare odziana jak ladacznica, w pantoflach na wysokich obcasach, z rozpuszczoną zwichrzoną czupryną spadającą w złotawych ciemnoblonde lokach na ramiona. Rose patrzyła na wszystko, ale nie winiła Sama Jenkinsa za to, że tracił głowę: prawdziwą winowajczynią była jej córka-kusicielka.

W kościele i wszędzie zawsze była pierwsza, żeby ją potępić. Krzyczała w głos: „Jezabel, opuść świątynię Bożą! Idź nad rzekę, zmyj z twarzy diabelską barwiczkę i dopiero wtedy wróc, gotowa przyjąć Ducha do swego serca!” Jej wysiłki jednak spełzły na niczym, modlitwy pozostały bez echa. W końcu Clare udało się uwieść staruszka. Jakby nie dość tego, urodziła mu dziecko.

Kiedy wydało się, że Clare jest w ciąży, jej chłopak wyrzucił ją z domu.

Miała już dwadzieścia cztery lata i sprzykrzyło jej się życie w górniczych osadach, chętnie więc ruszyła w dalszą drogę na północ. Dotarła autostopem do Richmondu,

gdzie przez tydzień sprzątała w taniej jadłodajni. Potem zaczęły ją boleć plecy, puchnąć stopy, rzuciła więc pracę, pewna, że musi istnieć łatwiejszy sposób na życie. Z pewnością istniał, lecz jakoś sam się nie objawił, a mężczyźni, którzy dawniej prześcigali się w ofertach, teraz umykali na sam widok jej wzdętego brzucha. Została bez środków do życia.

W szóstym miesiącu wróciła do wykolejonego wagonu pod Corbin Glow i na trzy miesiące poddała się rygorom narzuconym przez matkę i Uświęcony Kościół Boży. Urodziła Adama 10 czerwca 1936 roku - w dniu ostatniej publicznej egzekucji w stanie Kentucky. (Dwadzieścia tysięcy ludzi zgromadziło się tego dnia w Owensboro, żeby zobaczyć, jak wieszają Murzyna.) Tydzień później Clare spakowała parę rzeczy, wzięła dziecko i oświadczyła, że jedzie odnaleźć Sama Jenkinsa.

Nie była pewna, czego właściwie od niego chce, ale kiedy Sam udał, że jej nie zna, i wyparł się ojcostwa, zaczęło w niej tężeć postanowienie, by wywalczyć sobie miejsce w jego grupie. Przez trzy lata dotrzymywała mu kroku, gdy wędrował ze słowem Bożym na ustach i węzami w ramionach, dorabiając na boku pędzeniem samogonu. Jednakże w miarę jak Adam rósł, a Sam podróżował coraz dalej, w Clare narastała rozpacz. Nie była już tak pewna powodzenia swej misji. Wracała do Rose na dwa, trzy miesiące, pozwalając jej zajmować się wnukiem.

Rose kąpała dziecko w lodowatym strumieniu, brudnym i cuchnącym zgnilizną. Ubierała Adama w workowatą odzież, zabierała do kościoła i prosiła współwyznawców, by modlili się za jego duszę. Spał na skrzynkach, w których trzymała węże, i często był świadkiem, jak Rose podczas modlitwy pije strychninę, a potem wymiotuje trucizną i krwią. Patrzył na to wszystko ze zgrozą i oczekiwaniem, nie umiając jeszcze odróżnić prawdy od fikcji ani zła od dobra. Nie bał się tylko wtedy, gdy była przy nim matka.

Czepiał się jej z całą siłą zawartą w wątłym, niedożywionym ciałku. Zawsze miał uczucie, że Clare zniknie, jeśli tylko spuści ją z oka. Próbował czerpać pocieszenie z modlitw babki Rose. Kiedy Clare mówiła, że Sam Jenkins jest jego ojcem, także czuł ulgę; wierzył, że pewnego dnia fakt ten stanie się jawny i niepodważalny. Ale obietni-

ce Clare się nie spełniały, modlitwy Rose zawsze kończyły się szokującymi aktami autoagresji, a kaznodzieja, który miał uznać w nim swego syna i otoczyć miłością, traktował go jak powietrze.

Clare znalazła pracę w kopalni węgla i nowego kochanka i znów zaczęła jeździć na spotkania grupy od Florydy przez Alabamę po Ohio. Właśnie w Ohio kiedyś Sam wreszcie zatrzymał się przy Adamie i poklepał go po głowie.

- Oddaj go do sierocińca - doradził Clare.

Podał jej nawet adres.

\*

Stanowy Dom Dziecka mieścił się w pobliżu drogi numer 63, ledwie godzinę jazdy od Knoxville. Otaczały go rozległe pola uprawne, cętkowane z rzadka drewnianymi spichrzami i ciosanymi siekierą krzyżami zatkniętymi w ziemię. Wąska gruntowa droga biegła od szosy do wysokiego ogrodzenia z metalowej siatki. Za nim widać było zwirowane podwórze i wysoki ceglany budynek o niewielkich oknach i ciężkich drewnianych drzwiach okutych metalowymi taśmami. Po drugiej stronie budynku rozpościerał się trawnik, warzywnik i sad. Obok niższy i nowszy pawilon mieścił jadalnię, cztery sale lekcyjne i dodatkowe sypialnie.

Główny budynek był ciemny i cichy, choć zamieszkiwało go siedemdziesięciu chłopców. Nosili wystrzępione uniformy - drelichowe kombinezony i połatane białe koszule. W lecie chodzili po domu boso, w zimie tylko w skarpetkach. Poruszali się bezgłośnie, mówili szeptem, czytali w półmroku, nisko pochylając głowy. Pracowali w polu, gdzie uprawiali trzcinę cukrową, kukurydzę, pszenicę i tytoń. Przez trzy godziny dziennie brali udział w lekcjach prowadzonych przez wdowy z pobliskiej parafii metodystów, które wzięły na siebie moralny obowiązek ocalenia dusz dzieci porzuconych przez rodziców.

Przez resztę doby znosili tyranie nadintendenta, emerytowanego zastępcy szeryfa nazwiskiem Harris.

Wysoki, chudy, zawsze odziany w militarne barwy, Harris uczynił misją swego życia przeobrażenie potomstwa „najnędnieszych poddanych Bożych” - mieszkańców górskich osad, którzy w jego przekonaniu zajmowali na ziemi miejsce niższe od zwierząt - w „uczciwych obywateli”. Aby osiągnąć ów cel, wzorował się na regulaminie więzień o zaostrzonym rygorze. Wymagał absolutnej dyscypliny i bezlitośnie karał opornych oraz tych, których po prostu nie lubił. Nie lubił zaś słabych, tępych, aroganckich i bezbożnych. Przede wszystkim zaś niewdzięczników.

- Najmądrzejszym posunięciem waszych rodziców - powtarzał ciągle dzieciom pozostawionym jego pieczy - przypuszczalnie ich jedyną w życiu rozsądną decyzją było pozostawienie was tu, byście nie musieli żyć tak jak oni. Docieńcie to i bądźcie wdzięczni.

Z jednakową pogardą traktował cudzoziemców i „miastowych”, uważających, że są wyżsi nad prawa Boże i przeinaczających przykazania Pańskie tak, by odpowiadały ich celom. Największą wszakże odrazę żywił do zielonoświątkowców, którzy zamieszkiwali okolicę i często przejeżdżali obok sierocińca, całymi konwojami aut i ciężarówek dążąc z jednego zgromadzenia na drugie. Nie czynił wyjątku dla Małego Sama - wysyłał nawet grupy starszych chłopców, by rozpędzali spotkania jego wyznawców w pobliskich okręgach - nie miał więc powodu specjalnie się litować nad jakimś jego bękartem. Samowi Jenkinsowi imponował jednak porządek, jaki Harris utrzymywał w swoim domu, oraz to, że karmił podopiecznych nie żądając od rodziców pieniędzy. Dlatego też Sam propagował jego zakład, wywierając nacisk na pierwszą i trzecią żonę, a później i na Clare w nadziei, że uwolnią go od brzemienia ojcowskich powinności.

Z żonami jakoś nie miał szczęścia i początkowo wyglądało na to, że również z Clare mu się nie powiedzie. Górale dbali o swoje dzieci, a już Uświęceni przykładali szczególną wagę do świętości więzów rodzinnych. Tymczasem jednak pięć lat po urodzeniu Adama Clare była już zmęczona, zniechęcona. Wydawało jej się, że wyczerpała wszystkie możliwości. Dlatego też namowy Małego Sama - na pozór ser-

deczne i delikatne - trafiły na podatny grunt. Nabierały wagi z każdym mijającym miesiącem, aż w końcu Clare dała się przekonać.

Myślała, że zostawi go na jakiś czas - na tyle, żeby odpocząć, nabrać odwagi i przeprowadzić się do prawdziwego miasta z brukowanymi chodnikami i drzewami w parkach; takiego, w którym ludzie kupują węgiel na opał, a nie wykopują go z ziemi czy zbierają na nasypach kolejowych. Bez obciążenia stanie na własnych nogach, zamieszka gdzieś, gdzie kobiety kupują odzież, zamiast szyć ją z worków po mące, a dziewczęta mogą nosić spodnie i pastor nie wytyka ich z ambony krzyżąc, że „naśladują mężczyzn i zanim się obejrzyicie, wyrosną z nich zboczone lesbijki!” Wtedy wróci po Adama - była tego pewna - a kiedy wróci, nawet matka nie pozna jej w miastowych ciuchach i szykownej fryzurze.

\*

Powiedziała to do syna, gdy jechali okazją w kabinie ciężarówki (kierowca był za stary, żeby żądać w zamian jakichkolwiek usług). Trzymała Adama na kolanach, paliła papierosy i płakała, lecz opowiadała o sierocińcu jak o raj, w którym znajdzie prawdziwy, bezpieczny dom.

- Są tam czyste łóżka i porządny dach, który nie przecieka - mówiła. - Nikt nie ma sadzy za paznokciami ani nie kaszle krwią, dają trzy posiłki dziennie, a nawet uczą czytać i pisać.

Nie wspomniała tylko, że zostanie tam bez niej.

Pan Harris na początku polubił Adama, a raczej spodobała mu się Clare - jej usta świeże i czerwone jak wiosenne jabłuszko, twarz młoda, lecz smutna i piękna w pewien rozczulający sposób. Stąpała sztywno na wysokich obcasach, ciągnąc za sobą synka, który tulił się do niej kurczowo, wyraźnie pełen podejrzeń co do jej zamiarów i nieznanego otoczenia.

Harris kazał jej czekać pół dnia, nim ją wreszcie przyjął. Przez cały czas oczekiwania nie usiadła nawet na chwilę, choć była wyczerpana, głodna i musiały ją boleć nogi



w niewygodnych butach. Wkroczyła wyprostowana, zajęła miejsce na krześle i założyła nogę na nogę, jakby chcąc olśnić nadintendenta swymi manierami. Nie straciła zimnej krwi nawet wtedy, gdy Adam uparł się, że nie wejdzie do gabinetu, w którym królowało olbrzymie biurko.

- Zostawmy go - Harris uśmiechnął się pobłaźliwie. - W krótkim czasie nauczy się dyscypliny.

Zamknął drzwi, zostawiając Adama na korytarzu, po czym usiadł, aby pouczyć Clare o wadze jej decyzji. Oznajmił, że rodzicielstwo jest darem, który Pan zsyła na swoje sługi, pozostawiając zaś dziecko w sierocińcu, rodzic podejmuje zobowiązanie zarówno wobec Boga, jak i wobec ludzi. Takiego kroku nie wolno czynić lekko, albowiem nie da się go już cofnąć.

Dlatego właśnie, rzekł, każe matkom czekać, gdy przychodzą tu z dziećmi - żeby miały czas przemyśleć swą decyzję i zmienić ją, jeśli nie są jej pewne, ponieważ gdy raz oddadzą mu dziecko pod opiekę, nie powinny tu już wracać.

Znużony czekaniem Adam zasnął na gołej posadzce pod drzwiami. Otworzył drzwi, Harris przestąpił nad nim, po czym z galanterią podał dłoń Clare, by zrobiła to samo. Właśnie rozległ się gong na kolację. Chłopcy opuścili pokoje i w ciszy gęsiego pomaszerowali do jadalni w sąsiednim budynku.

- Niech pani odejdzie, póki śpi - rzekł Harris. - Kiedy się obudzi, wszystko mu wytłumaczę.

Wiele lat później, już jako dorosły, Adam często budził się w nocy z niespokojnego snu, przerażony, że Clare odeszła.

Pierwszego wieczoru płakał, aż całkiem ochrypł. Potem płakał nadal przekonany, że Clare usłyszy go i zawróci, wyłoni się z pustki, jaka ją pochłonęła w czasie, gdy on spał. Zrozumie jego tęsknotę i strach, przyjdzie po niego. Obdarci bosci chłopcy obstarpi go kołem, jeden nawet próbował go pocieszać, lecz Adam rozplakał się jeszcze żałośniej i wtedy włączył się pan Harris.

- Możesz spać w łóżku albo w kotłowni - rzekł - ale nie możesz tkwić w korytarzu i zakłócać porządku swoimi krzykami.

Kiedy w odpowiedzi Adam się rozwrzeszczał, Harris posłał jednego z chłopców po pejcz i wymierzył mu w obecności wszystkich dwanaście razy w siedzenie. Potem kazał go zamknąć w kotłowni. Było to ciasne, brudne pomieszczenie oświetlone żarówką zwisającą z sufitu, pełne rur i urządzeń, które sapały, pomrukiwały i wyglądały jak potwory.

Przerażony Adam próbował się wyrwać, lecz był mały i słaby z niedożywienia, a może też nie zdawał sobie sprawy, na co się porywa - w jednej chwili został uniesiony z podłogi i wrzucony do wewnątrz, w następnej zaś usłyszał zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

Przez całą noc krzyczał i kopał w drzwi. Rankiem, kiedy jedna z wdów przyszła go wypuścić na modlitwę, wyrwał się jej i uciekł.

Dotarł aż do szosy, przebiegł nawet kilkanaście metrów w kierunku, skąd przyjechali. Wtedy przystanął uświadomiwszy sobie, że nie ma dokąd ani do kogo uciec. Tam go dogonili i sprowadzili z powrotem. Otrzymał kolejny tuzin pasów i na trzy następne noce został zesłany do kotłowni.

Był najtrudniejszym wychowankiem Harrisa, jedynym, który nie dał się złamać, wyjątkiem od wszelkich reguł. Przez całą zimę roku 1941 i wiosnę 1942 opierał mu się, jakby walczył o życie, jakby to Harris stał między nim a matką. Adam był bystry, lecz uparty; bał się, ale nie zamierzał się poddać. Dopiero bliski śmierci głodowej zjadł pierwszy posiłek w sierocińcu. Spał na podłodze, nie w przydzielonym mu łóżku. Wiele nocy spędził w kotłowni, inkasował więcej batów niż najstarsi, najbardziej nieposłuszni chłopcy. I wciąż uciekał.

Harris doszedł do wniosku, że Adam jest „szczególnym przypadkiem” - jednym z tych, których trzeba utemperować, inaczej skończą na szubienicy. W tym celu wysłał go do pracy w polu, gdzie Adam nosił wodę w wiadrach starszym chłopcom, którzy sadzili i zbierali plony. Ograniczył mu też posiłki do jednego dziennie (składały się nań dwie chochle ziemniaków smażonych na smalcu i szklanka rozwodnionego mle-

ka). Za każde przewinienie bił chłopca do krwi, w mroźne noce nie wpuszczał go do budynku, żeby docenił zalety ciepłego łóżka.

- Twoja matka nie wróci, a ojciec nie chce nawet uznać cię za syna, miej więc świadomość, że tutaj jest twoje miejsce! Tu będziesz żył albo zdechniesz, wedle woli, ale nie próbuj mi się sprzeciwiać! - wrzeszczał na niego Harris. Na próżno.

Zaniepokojony destrukcyjnym wpływem Adama na innych wychowanków nadintendent nie sypiał po nocach, starając się opanować trawiącą go wściekłość. Wtedy jedna z wdów wetknęła nos w nie swoje sprawy i znalazła rozwiązanie, które dla wszystkich okazało się zbawienne: zaproponowała mianowicie, żeby posłać Adama do szkoły.

W klasie siedział skupiony, jakby zauroczony znakami, które pojawiały się na tablicy. Kołys go ciche głosy pań z rady parafialnej, zaciekawiało bogactwo nowych myśli, umysłowych wyzwania zmuszających go, by zapomnieć o sobie i swoim bólu. Oczyma duszy docierał do miejsc, które nie były straszne ani wrogie - na Północ z marzeń Clare, do miast, o których wciąż mówiła, a których dawniej nie potrafił sobie wyobrazić.

Podobnie jak Harris wdowy były zwolenniczkami ostrej dyscypliny - surowo sądziły uczniów, nieskłonne do pochwał lub choćby pobłażania. Nawet one wszakże nie mogły się nadziwić pojętności Adama i jego zdolności koncentracji - zwłaszcza gdy przychodził na lekcje pobity, ze świeżymi śladami bata na twarzy i rękach.

Zaliczył dwie klasy w ciągu roku. Umiejętność czytania przybliżyła mu matkę; miał uczucie, że jeśli będą robić to samo w tym samym czasie - odczytywać napisy na burdach ciężarówek pędzących szosą albo ręcznie malowane szyldy na kościołach - to będzie tak, jak gdyby znów byli razem. Co prawda babka Rose stwierdziła kiedyś, że to czytanie doprowadziło Clare do upadku, że szkoła robi z kobiet dziwki lub wariatki, ale przecież panie z rady parafialnej nie były ani jednym, ani drugim. Matka też nie była dziwką ani wariatką. Adam doszedł do wniosku, że byłaby dumna wiedząc, iż potrafi już czytać tak dobrze jak ona.

Stopniowo pogodził się z losem. W drugim roku rzadziej był karany chłostą i prawie nigdy nie sypiał w kotłowni. Trzymał się jednak na uboczu, nie pozwalał sobie na

zawarcie przyjaźni czy choćby rozmowę z którymś z chłopców. Bał się, że jeśli choć na chwilę dopuści do siebie myśl, że mógłby tu zostać, wówczas Clare o nim zapomni, zagubi się w mieście o brukowanych chodnikach i zostawi go w sierocińcu na zawsze.

\*

Clare pojechała do Akronu w stanie Ohio, znalazła pracę w fabryce opon i podewrwała ukraińskiego robotnika, który stracił trzy palce w wypadku w fabryce. Mieszkała z nim w jednym pokoju przy Siódmej Alei we wschodniej dzielnicy. W Akronie rządził wówczas przemysł gumowy, zakłady Goodyear i Firestone ściągały dziesiątki tysięcy imigrantów z Europy. Miasto podzieliło się na cztery sektory: Włosi opanowali South Hill, wykształceni biali trzymali się West Hill, pracownicy zakładów Firestone - South Akron, a Słowacy, Ukraińcy, Rosjanie i Murzyni gnieździli się w East Akron.

Mieszkające w tej samej kamienicy Polki sprzedawały w mieszkaniach nielegalną whisky i karmiły nawzajem piersią swoje dzieci, jeśli którejś brakło pokarmu. Rosjanie świętowali Boże Narodzenie siódmego stycznia i pili więcej niż jakakolwiek inna nacja. Ukraiński kochanek prawie w ogóle nie znał angielskiego, o istnieniu Clare zaś przypominał sobie dopiero, gdy zgasło światło. Rozmową w swym języku zaszczycał tylko mężczyzn. Posiłki jadł sam, zgodnie z tradycją, która kazała kobiecie żywić się resztkami pozostawionymi przez głowę domu. W otoczeniu Słowian Clare czuła się niepewnie - była tu obca, nic jej z nimi nie łączyło. Mówiono o niej, ale nigdy do niej; patrzono na nią z lekceważeniem jak na prowincjuszkę, góralkę, którą pozostała i miała pozostać, choćby nie wiem jak chciała zostawić za sobą przeszłość.

Rzuciła Ukrainca i zamieszkała z facetem poznanym w North Hill. Był to oczywiście Włoch ze złotym zębem i pierwszym modelem dodge'a. Dawał jej pieniądze na fryzjera i kiecki, ale bił ją, ilekroć się upił, od niego więc też uciekła. Wyniosła się chyłkiem 8 grudnia 1941 roku, kiedy siedział w aucie słuchając przez radio prezydenta Roosevelta, który mówił o japońskim ataku na Pearl Harbor.

Dotarła autostopem do Richmondu w Kentucky, zatrudniła się w szwalni i przysięgła sobie, że wróci po Adama dopiero wtedy, gdy zarobi dość pieniędzy, by utrzymać jego i siebie. Pracowała przez cały czterdziesty drugi i połowę czterdziestego trzeciego roku, ale jej zarobki zżerał czynsz, jedzenie i drobiazgi niezbędne dziewczynie, która chce się wyróżnić z tłumu jednakowych biednych, zmęczonych kobiet krążących po ulicach jednakowych miast. Jeszcze dwukrotnie zmieniawszy kochankę, trzykrotnie zaś pracę, opuściła Richmond z walizką pełną ciuchów i pojechała do Knoxville, żeby zobaczyć się z synem.

Przyjechała w niedzielę rano późną jesienią, dwa lata i dziewięć miesięcy po tym, jak zostawiła Adama śpiącego na korytarzu sierocińca. Była wychudła, lecz zdeterminowana, w sukni zniszczonej bardziej, niżby chciała; włosy spadały jej na twarz nierównymi strączkami bez śladu ondulacji. Harris dojrzał ją z okna i natychmiast wyszedł jej na powitanie. Cieszy się, że ją widzi, rzekł, prowadząc ją do pogrążonego w półmroku gabinetu - tego samego, w którym przyjął ją za pierwszym razem. Siadł za biurkiem i ujął nóż do papieru. Przez chwilę obracał go w dłoni patrząc, jak światło ślizga się po ostrzu.

Cieszy się, że ją widzi, powtórzył, ale nie pochwała tego rodzaju wizyt. Poświęcił wiele czasu, by ucywilizować swych wychowanków, i nie pozwoli Clare naruszać zasad, których przed dwoma laty zgodziła się przestrzegać.

Clare stała przed nim z rękami złożonymi na piersi, unikając jego wzroku. Nie usiadła, nie odezwała się ani słowem. Harris zdał sobie sprawę, że jest równie uparta i samowolna jak jej syn. Wstał zza biurka, podszedł bliżej, ujął jej spierzchniętą, szorstką dłoń i obrócił ją, by przyjrzeć się paznokciom czarnym od maszynowego smaru.

- Pozwolę ci zobaczyć chłopca - szepnął. Dwoma palcami uniósł jej podbródek tak, że ich spojrzenia się spotkały.

- Będiesz mogła popatrzeć na niego z okna. Nie dowie się, że tu jesteś.

Odwróciła wzrok i uwolniła rękę. Harris przeniósł dłoń z jej podbródka na kark, wplótł palce w jej włosy. Poczuł, jak Clare się odpręża. Zaraz ulegnie.

- Odpocznij - szeptał. - Zaraz przyniosę ci coś do jedzenia.

Kciukiem obwiodł jej twarz. Rozchyliła usta, odrobinę, tyle, by musnął palcem wewnątrz wargi, rozmazując szminkę. Drugą ręką objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. W chwili gdy już miał ją pocałować, wyrwała się i rzuciła do drzwi. Pobieгла korytarzem wykrzykując imię syna. Za nią biegł Harris i grupa zaciekawionych chłopców.

Adam był za domem, na trawniku, gdzie grabił śmieci i opadłe liście. Posłyszał wrzawę, nie zdając sobie początkowo sprawy, co ją spowodowało. Potem zobaczył, że inni patrzą na niego tak, jakby znów coś przeszkrobał, i nagle zrozumiał, że woła go czyjś głos, odległy, lecz znajomy. Bał się odpowiedzieć, bał się nawet poruszyć; zastygł z grabiami w rękę, drżąc na całym ciele. Tymczasem hałas się przybliżał.

Pod powiekami i na twarzy czuł palące łzy. Już myślał, że nie zdoła postąpić choćby kroku, kiedy z budynku wypadła Clare i porwała go w objęcia.

Pojechali pociągiem do Wirginii. Stamtąd zabrali się z pewną ubłaganą przez Clare rodziną do Nortonu. Spędzili trzy noce w opuszczonym budynku stacji benzynowej tuż za miastem. Ameryka prowadziła wojnę w Europie: od maja 1942 roku benzyna we wschodnich stanach była na kartki, co utrudniło podróże samochodem. W grudniu kartki na benzynę wprowadzono w całym kraju, a dwa miesiące później, w lutym 1943 roku reglamentacji zostały poddane także obuwie i puszkowana żywność. Zrozumiało więc, że każda rozsądna osoba - jeśli nie wyznał jej w drogę ważny powód - powinna siedzieć w domu i wspomagać wysiłek wojenny swego kraju pracując w jakiejś fabryce, a nie włóczyć się bez celu poszukując szczęścia. Jednakże Clare nie miała ani domu, ani pracy. Za to po raz kolejny postanowiła wyrwać się losowi, który był jej przeznaczony. Toteż tułała się po drogach z Adamem, zebrała o jedzenie lub miejsce do spania, wynajmowała się do różnych prac i przez cały czas czekała na mężczyznę, który ją ocali. Po dwóch miesiącach tułaczki poddała się i wróciła do matki.

Włosy Rose były długie, białe i szorstkie jak liście kukurydzy, plecy pochylone od wieloletniego zginania się nad balią, lecz natychmiast poznała Adama i powitała go z otwartymi ramionami.

Przytulił się do niej, wdychając zapach ługu i krochmalu. Przez koszulę czuł szorstkość jej palców. Potem podniósł głowę i zobaczył, że oczy Rose są zamglone, pełne łez - i wtedy jemu też zachciało się płakać. Miał ochotę wtulić twarz w jej podolek i opowiedzieć o chłóście, o samotnych nocach spędzonych w kotłowni. Zamiast tego poczuł wzbierający mu w piersi i w gardle gniew. Musiał się odsunąć, żeby zaczerpnąć tchu.

Jedli ziemniaki i kukurydziane placki smażone na smalcu. Rose pokazała im swoje węże, mokasyny, trzymane w skrzynce i butelkę ługu „Red Devil”. Potem oznajmiła, że obmyła swoje dzieci w Krwi Baranka i namaściła Słowem Bożym, stąd jest pewna, iż jej synowie umarli znając Pana. Smołowana plandeka służąca jako dach rozdarła się w paru miejscach i wpuszczała do środka zimny mroźny wiatr. Co wieczór Adam obejmował matkę za szyję i usypiał przy żarzących się bryłach węgla. Co rano budził się przerażony, że znów go zostawiła. Zwykle zniknęła na całe dni - szukała pracy albo po prostu chciała uciec od rygorów i morałów matki. Często wracała z rozmazanym makijażem, w jej oddechu czuć było whisky.

- Ta dziewczyna dąży prostą drogą do zagłady - powtarzała Rose każdego wieczoru czekając, aż Clare wróci z całodziennej włóczędzy. Klękali z Adamem na podłodze wagonu i modlili się za jej duszę, a potem szli do sąsiadów i dalej się modlili.

- Ukazał mi się mój nieboszczyk mąż - mówiła Rose. - Widziałam kruka, który leciał przez nasz wagon. To znak bliskiej śmierci. Wspomnisz moje słowa: jeśli twoja matka nie zwróci się do Boga, spotka ją coś strasznego.

W niedzielę poszli na nabożeństwo, podczas którego Rose wypła całą szklanekę rozcieńczonej wodą strychniny. Szła odwilż, potok wezbrał topniejącym śniegiem z gór, toteż powrót do domu zajął im więcej czasu niż zwykle, ale Clare wciąż nie było.

Tej nocy Rose śniło się, że idzie przez salę obwieszoną białymi draperiami kryjącymi ściany i okna.

- To drugi omen. Śmierć czyha w pobliżu - powiedziała.

Adam uklęknął przy posłaniu i modlił się do Boga, by zwrócił mu matkę żywą.

- Mam wizje - słyszał głos Rose w ciemności. - Pan zwiastuje mi zgon córki, a ja nic nie mogę zrobić, by mu zapobiec.

Pamiętał, że prosił wtedy Boga, by zamiast Clare zabrał babkę. Składał mu za to tysiące przysięg. Kiedy dwa dni później Clare wróciła, pomyślał, że Bóg wysłuchał jego modlitw.

Miała sińce na twarzy i ramionach, wybity ząb i krew w ustach.

- Facet, który tak cię urządził, następnym razem cię zabije - ostrzegła ją Rose.

Przez cały tydzień Rose widziała krążące po wagonie duchy zmarłych. Umarła w poniedziałek rano, po śniadaniu.

Adam zastał ją siedzącą z otwartymi oczyma i rękami złożonymi na kolanach. Z początku w ogóle nie zdał sobie sprawy, że coś jest nie tak - tyle że na twarzy miała dziwny wyraz, zdumiony, jakby ktoś sprawił jej miłą niespodziankę. Po chwili zauważył, że się nie porusza. Podszedł bliżej i dotknął jej dłoni. Była lodowata. Raptem zrozumiał, co się stało.

Biednej Rose nawet nie przyszło do głowy, że to ją skosi czająca się w pobliżu śmierć.

Clare znów nie było. Adam pobiegł do sąsiadów, wołając o pomoc. Sąsiad przyszedł, wziął Rose na ręce i zaniósł do własnego domu, gdzie wraz z żoną opatrzyli ciało. Zdjęli drzwi z zawiasów, oparli je na dwóch krzesłach i położyli na nich Rose, aby ją umyć. Kończyny zmarłej zaczęły już sztywnieć i sąsiadka zużyła mnóstwo gorącej wody, by rozprostować jej nogi. Następnie przywiązali je do deski, żeby nie zginały się z powrotem, ramiona złożyli na piersi i podwiązali brodę chusteczką. Zamiast miedziaków, które ktoś mógł ukraść, położyli jej na powiekach kamyki.

Przez cały dzień modlili się nad ciałem i czekali na powrót Clare. Adam szukał jej w pobliskich domach i sklepach. Wypytywali go, czy nie mówiła, dokąd się wybiera, i na jak długo zwykle znika. Do wieczora ciało zmieniło kolor i zaczęło wydawać



dziwne świsty - rezultat działania kwasów żołądkowych. Po domu krążyły koty, czyhając na oczy trupa, by je pożreć i w ten sposób skraść mu duszę. Sąsiedzi trapili się, że do zwłok zbiegnie się robactwo, a przy tym upale odór śmierci wrośnie w ściany na zawsze. Kiedy do rana Clare się nie zjawiała, oznajmili Adamowi, że muszą pochować jego babkę.

Posłali go do wagonu po czarny całun, który Rose przed laty sama sobie utkała i skrupulatnie wietrzyła każdej wiosny, by nie zjadły go mole. Po powrocie pomógł sąsiadowi zbić trumnę z paru desek. Owinęli zmarłą w całun i włożyli do trumny, a następnie wykopali grób tuż obok wagonu. Pochowawszy Rose, zatknęli na mogile prowizoryczny krzyż.

Potem czekali dalej. Minęła kolejna doba i następna. Słońce nadal wschodziło i zachodziło, dni mijały, a o Clare wszelki słuch zaginął. Adam szukał jej sam i z pomocą sąsiadki, wypatrywał jej tak usilnie, aż oczy go piekły, a ręce drętwiały. Spoglądał na walizkę zostawioną w wagonie i pocieszał się, że matka wróci - jeśli nie po niego, to przynajmniej po sukienki.

Potem beształ się w duchu: na pewno nie zostawi go ponownie, nie po to przecież przyjechała z Północy i zabrała go z sierocińca. Sąsiedzi zerkali na niego spod oka, rozmawiali o nim szeptem i uśmiechali się, kiedy mówił, że Clare na pewno wkrótce wróci - widocznie zatrzymali ją w pracy. Karmili go i brali ze sobą do kościoła, a kiedy sprzykrzyła im się opieka nad cudzym dzieckiem, wsadzili go do samochodu i odwieźli do sierocińca.

Powiedzieli mu, żeby sam zdecydował: czy pójdzie błagać pana Harrisa, by przyjął go z powrotem, czy ruszy w świat.

\*

Nie odszedł. Chciał, ale nie miał dość odwagi.

Nienawidził przytułku, lecz miał tam jedyny trwały dom, jedyne prawdziwe łóżko, w jakim kiedykolwiek sypiał. Dwukrotnie porzucony przez matkę i osierocony przez

Rose, dziewięcioletni Adam nie potrafił sobie wyobrazić życia bez żadnych więzów. Równocześnie nie mógł się pogodzić z myślą o powrocie do sierocińca. Bał się tego, co zrobi z nim Harris, gdy z własnej woli znów znajdzie się w jego mocy.

Stał więc na skraju drogi i modlił się o to, by zapaść się pod ziemię i zniknąć bez śladu. Patrzył, jak nadchodzi zmrok, i walczył ze łzami, które zbierały mu się w oczach i spływały na policzki. Nie odważył się obejrzeć, lecz czuł, że Harris przygląda mu się z okna gabinetu. Czeka. Wie, że Adam stchórzy, że sam do niego przyjdzie. Zapadła ciemność, na niebie pojawiły się gwiazdy, a on wciąż stał na poboczu. Przejeżdżające samochody zwalniały na jego widok, po czym przyspieszały i niknęły w mroku. Kierowcy ciężarówek, często mijający sierociniec, wiedzieli, że nie warto się tu zatrzymywać.

Idź, powiedział sobie, ale nogi nie chciały go słuchać, a ręce zastygły zwinięte w pięści. Potem usłyszał wieczorny gong i zdał sobie sprawę, że jeśli zaraz nie wejdzie do budynku, będzie musiał spędzić noc na dworze. Ruszył biegiem w stronę płotu.

Pan Harris czekał na niego w drzwiach. Sama jego bliskość przeraziła Adama. Sylwetka mężczyzny, choć zupełnie nieruchoma, wydawała się spięta do skoku, jakby atak miał nastąpić lada chwila, a drapieżca był już pewien łupu. Z góry wiedziałem, że tu wrócisz, zdawał się mówić, choć nie poruszał ustami. Niektórzy nie wracali, lecz Adam był inny. Teraz stał przed Harrisem, zdany na jego łaskę i niełaskę.

Nigdy sobie tego nie wybaczył. Nigdy nie uwolnił się od złości, jaką poczuł do siebie za to, że nie miał dość odwagi, by iść dalej. Dlatego gdy dorósł, nigdzie nie zatrzymał się na dłużej. Podejrzewał, że z tego samego powodu jego matka także tułała się przez całe życie - aby pokonać dystans między miejscem, w którym została porzucona przez Boga, a tym innym, o którego istnieniu była przekonana, choć nigdy nie widziała go na oczy: tym, do którego została stworzona, na które zasługiwała. Nie chodziło tu o akceptację swojego miejsca na tym świecie i tęsknotę za lepszym w zaświatach. Chodziło o naprawę pewnego kardynalnego błędu, nawet jeśli oznaczało to rezygnację z domu, z życia, ze wszystkiego,

Jak na ironię właśnie sierociniec dał Adamowi szansę, by ruszyć naprzód.

Stracił w przytułku prawie dwanaście lat życia, ale zyskał całkiem przyzwoite wykształcenie. Zyskał też dach nad głową, strawę, która pozwoliła jego ciału rozwinąć się i dojrzeć, oraz różne umiejętności, dzięki którym był w stanie sam się utrzymać.

Rano chodził na lekcje, po południu pracował w polu. Orał, siał, zwoził zbiory do spichrza. Zimą doił krowy. Nauczył się prowadzić ciężarówkę i traktor, zabijać świnie. Przede wszystkim zaś nauczył się uprawiać tytoń.

W umyśle Adama tytoń nierozłącznie sprzęgł się z poczuciem ulgi. Jego barwy koily wzrok; rozległe, oddalone od budynków pola stały się jego azylem. Tu w upragnionej samotności - z dala od Harrisa i jego pejcza, z dala od innych chłopców, których sama obecność przypominała mu, że nie ma na tym świecie nikogo - miał czas na myślenie, na uporanie się ze swoim bólem.

Każdy zbiór tytoniu wymagał trzynastu miesięcy starań. W grudniu wysyłano grupę chłopców, by wybrali miejsce nad rzeką, oczyścili je z drzew, krzaków i śmiecia, a następnie wypalili, aby zdezynfekować glebę. Potem pole orano, siano maleńkie ziarna tytoniu - inną odmianę na cygara, inną na papierosy - i osłaniano je płachtami, żeby ochronić młode kielki przed mrozem.

Wiosną kielki szybko rosły. Kiedy osiągnęły wysokość ośmiu cali, Adam wykopywał je z ziemi, którą ponownie orał, po czym sadił je z powrotem. Doglądał ich, plewił, obrywał dzikie pędy, a także czubki roślin w porze kwitnienia. Codziennie oglądał liście i zbierał z nich zielone, tłuste trzycalowe liszki, które rozdeptywał na ziemi.

W porze zbioru rozkrawał wzdłuż każdą łodygę zakrzywionym nożem, potem zaś ścinał ją tuż nad ziemią. Kiedy zwiędły na słońcu, znosił je do stodoły i wieszał na długich drągach. Tytoń przeznaczony na cygara wysychał na powietrzu, przybierając jasnobrązową barwę. Papierosowy był cięższy i trzeba go było suszyć nad ogniem. W żarze rozpalonego w stodole ogniska liszki, które przeoczył, skręcały się i spadały na ziemię jak deszcz.

Przez cały listopad doglądał schnących łodyg. W grudniu obrywał z nich liście i sortował je według barwy.

Gotowe paki ładowano na ciężarówkę lub wysyłano pociągiem na miejsce aukcji. I natychmiast trzeba było wybrać nowy kawałek ziemi i przygotować go pod następny plon.

Adam co roku pracował przy tytoniu i po pewnym czasie zorientował się, że Harris specjalnie powierza mu tę działkę, bo potrzebny mu jest ktoś pracowity, bystry i zdolny skoncentrować się na robocie dostatecznie długo, by doprowadzić ją do końca. Uświadomił sobie też, że nadintendenta złością jego postępy w nauce. Ilekroć któraś z wdów napomknęła, jak dobrze czyta albo jak łatwo przyswaja sobie nowe wiadomości, Harris znajdował powód, żeby go ukarać. W wieku lat dwunastu Adam opanował cały zasób posiadanej przez wdowy wiedzy i teraz pomagał im uczyć młodsze dzieci.

Jedna z nauczycielek, pani Kelsey, wdowa po żołnierzu, który zginął w Europie, zaproponowała, by posłać Adama do miejscowego gimnazjum. Pani Kelsey była młodą, pulchną kobietką o olbrzymim biuście, jasnych oczach i uroczym uśmiechu. Nie miała dzieci, bo jej młody małżonek ledwie tydzień po ślubie wyjechał na wojnę i już nie wrócił. Nie mogła też ponownie wyjść za mąż - pastor w jej kościele orzekł, że powtórny związek to bigamia, a zatem śmiertelny grzech.

Pani Kelsey była zachwycona inteligencją Adama, a przy tym na tyle naiwna, że sądziła, iż Harris ucieszy się na wieść o uzdolnieniach chłopca. Podsunęła mu więc myśl, by pozwolił Adamowi uczęszczać do szkoły w mieście.

- Może kontynuować naukę - perorowała z uśmiechem nieświadoma szkód, jakie czyni - i służyć za przykład innym chłopcom.

Pan Harris odparł na to, że kobiety powinny trzymać język za zębami i nie obnosić się ze swoją głupotą. Potem posłał po Adama.

Pejcz leżał na biurku. Harris chodził tam i z powrotem po gabinecie z rękami splecionymi za plecami. Podciągnął żaluzje, aby ci z chłopców, którzy mieli dość odwagi, mogli ich podglądać. Robił tak tylko wtedy, kiedy planował wymierzyć komuś chłostę.

Adam stał na baczność ze wzrokiem wbitym w ziemię. Przysłuchiwał się krokom Harrisa, widział czubki jego wypolerowanych do połysku butów, kostki w przetartych

ciemnych skarpetkach i odprasowane mankiety wojskowych spodni. Te chwile ciszy, nim Harris zaczął mówić, złudny spokój, nim chwycił bicz, zawsze najbardziej prze-  
rażały chłopców. Ale Adam się nie bał.

Już od pewnego czasu ilekroć znalazł się sam na sam z Harrisem, czuł wściekłość, którą ledwie mógł opanować. Znosił razy i wyzwiska, głód i zamknięcie, którymi nadzorca karał nawet najłżejsze jego przewinienie, lecz teraz już nie czuł się pokonany. Przeciwnie: gniew dodawał mu odwagi. Śmiało patrzył tamtemu w oczy, nie odpowiadał na pytania i nie okazywał, że czuje ból. Wyobrażał sobie, że rzuca się na Harrisa; śnił, że zabija go ostrym nożem jak ongiś dziadek brygadzystę w Kentucky - i największą satysfakcję sprawiał mu własny chłód, kompletny brak strachu lub wyrzutów sumienia na myśl o tym, co mógłby zrobić.

- Pani Kelsey prosiła mnie, żebym ci pozwolił chodzić do szkoły w mieście - rzekł zimno Harris.

Adam oderwał wzrok od podłogi i spojrzał na niego.

Harris przeszedł się po pokoju, zawrócił. Jego obcasy skrzypiały na gołych deskach. Zatrzymał się przed biurkiem i obrócił do Adama, czekając na odpowiedź. Kiedy się jej nie doczekał, dodał:

- Twierdzi, że to jej pomysł.

Adam patrzył na niego szklanymi oczyma. Bez emocji. Bez strachu.

- Jej zdaniem wyszłoby ci to na dobre. Jeśli mnie uderzy, myślał Adam, oddam mu. Harris musiał chyba zwietrzyć jego furję, a w każdym razie poczuł się niepewnie, bo znów zaczął chodzić, tym razem odgradzając się od chłopca biurkiem. Kiedy dystans między nimi się zwiększył, Adama ogarnęła ulga. Na ułamek sekundy prawie się rozluźnił, już był bliski wypuszczenia tchu, który wstrzymywał od chwili, gdy w jadalni wywołano jego nazwisko.

Harris bez ostrzeżenia porwał pejcz z biurka i uderzył nim Adama w twarz.

Adam posłyszał chłaśnięcie rzemienia, który rozciął mu skórę i zanurzył się w głąb policzka, otarł o kość. Przez ułamek sekundy pozostał w ciele; trysnęła krew, zalewając mu oko. Potem Harris cofnął ramię; bat świsnął znowu, wrywając krwawy kawa-

łek mięśnia i pozostawiając na twarzy Adama półcalowej szerokości ranę, biegnącą od kącika oka aż do podbródka.

Czuł pieczenie, lecz nie ból. Krew kapłała z pejcza na podłogę i biurko, lała się po twarzy Adama plamiąc koszulę, potem spodnie. Harris spojrział na niego triumfująco.

- To za to, że myślałeś, że uda ci się mnie podejść - syknął.

Adam stał nieruchomo, bez słowa. Patrzył na leżący na biurku pejcz.

Harris zasiadł za biurkiem, oparł czubki palców na blacie i odchylił się z krzesłem do tyłu.

- Możesz odejść - rzucił, lecz głos nagle mu zadrżał, a oczy rozszerzyły się ze zgrozy, zobaczył bowiem, jak Adam pędzi w jego stronę, wspina się na biurko niczym dzikie zwierzę i ląduje mu na piersi całą masą dwunastoletniego ciała.

Krzesło zważyło się do tyłu. Miażdżąc kolanami żebra Harrisa Adam złapał go za skronie, uniósł jego głowę i z impetem wyrzucił ją o podłogę. Potem zrobił to ponownie, i jeszcze raz, i jeszcze. Byłby go zabił - obaj wiedzieli, że jeszcze parę uderzeń będzie kosztować Harrisa życie - gdyby drzwi się nagle nie otwarły. Wpadli przez nie chłopcy, którzy podglądali przez okno, i odciągnęli Adama.

Harris spędził dwa dni w szpitalu. Wrócił z posiniaczoną twarzą, podbitymi oczyma i trzema złamanymi żebrami. Bezlitośnie sprzął Adama w jadalni w obecności wszystkich, zamknął go na dziesięć dni w kotłowni i ograniczył posiłki do jednego dziennie. Potem, ku ogólnemu zaskoczeniu, pozwolił mu uczęszczać do gimnazjum w mieście.

Może, rozmyślał później Adam, Harris w końcu zaczął się go bać tak samo, jak Adam bał się jego. Może do starego żołnierza przemówiła manifestacja siły i łatwiej mu było zaakceptować atak dwunastolatka niż łyzy pięciolatka.

Być może też pan Harris rzeczywiście widział zbawienie w nauczaniu; może czuł, że edukacja sierot to jedyny sposób, by dać im szansę. Ta właśnie myśl prześladowała Adama przez wiele lat, gdy opuścił przytułek i wyzwolił się z rąk Harrisa: że ten sam człowiek, który zatruł mu dzieciństwo swoją mściwością i okrucieństwem, dał mu również jedyną szansę ucieczki z gór.

\*

Jego ocaleniem stała się nauka, którą przyswoił sobie bardzo wcześnie: że tęsknota za bezpieczeństwem jest największą słabością człowieka, a potrzeba kontaktu wiedzie do upokorzeń.

Czerpał tę naukę patrząc na usiłowania Clare, by nawiązać kontakt z Jenkinsem, lub całymi nocami czekając na jej powrót do domu. Uczył się tego od Rose, która nie pokładała wiary ani w ludziach, ani w żadnych rzeczach doczesnych i w ten sposób oszczędziła sobie rozczarowań. Nauczyło go tego własne doświadczenie zdobyte w wojnie z Harrisem: prawdziwi zwycięzcy idą do walki wiedząc, że nie mają nic do stracenia.

W gimnazjum izolował się od innych i odtrącał każdy serdeczniejszy gest. Cztery godziny dziennie spędzał na zajęciach, meldował się w sierocińcu na lunch, a następnie ruszał do pracy w polu. Nie opowiadał w szkole o przytułku, nie wspominał o matce-uciekinierce ani ojcu-kaznodziei. Jeśli ktoś mówił o Jenkinsie, Adam udawał, że to nazwisko jest mu całkiem obce. To nie kłamstwo, mówił sobie w duchu. Nigdy nie miał nic wspólnego z Małym Samem, a teraz nie miał nic wspólnego również z Clare.

Podjął świadomy wysiłek, by odgrodzić się od ludzi oraz wspomnień, które ocieniały jego przeszłość. Spostrzegał, że rośnie, że rosą jego ręce, a ciało nabiera siły. Był z tego rad, ale przede wszystkim cieszyło go uczucie oderwania od wszystkiego, co tak długo raniło go i przerażało. Po owym pamiętnym dniu Harris nigdy więcej go już nie uderzył. Pani Kelsey - ta z wielkim biustem, której mąż zginął na wojnie - machała mu ręką za każdym razem, kiedy mijał jej klasę, lecz Adam nie czuł wdzięczności ani do Harrisa za to, że go nie zauważa, ani do nauczycielki za jej życzliwość. Gdyby wzbudził w sobie jakiegokolwiek uczucia, znów zdałby się na ich łaskę. Nauczył się żyć sam - bez nazwiska czy błogosławieństwa, bez wiary, bez modlitwy i na dłuższą metę również bez matczynej miłości.

Dlatego kiedy Clare w końcu po niego wróciła, Adam nie chciał jej znać.

\*

Było to w pewne czerwcowe południe na tydzień przed zakończeniem roku szkolnego. Adam miał wówczas szesnaście lat. Na poboczu drogi numer 63 zobaczył kobietę w znoszonej taftowej sukni i podartych czarnych pończochach. W jednej ręce trzymała papierosa, w drugiej bukiet przywiedłych azalii. Uśmiechnęła się do Adama grzecznie jak do obcego. Zapytała, czy mógłby zaprowadzić ją do syna, który najprawdopodobniej mieszka jeszcze w przytułku.

Widząc ją, czując skwaśniały odór niespełnionych marzeń, porzuconych nadziei i przegranych walk, które mu ją odebrały, Adam pomyślał, że jego matka jest ostatnią z plemienia biblijnych tułaczy, którzy jak mawiała babka Rose, przemierzać będą ziemię aż po kres wieczności. Szybko odwrócił wzrok. Przypomnił sobie słodkie karmelowe oczy, wypukłe wargi, płowe kosmyki spadające Clare na czoło i okrągłe policzki, które nadawały jej wygląd dziecka, nawet gdy już dawno przestała być dzieckiem. Straciła większość przednich zębów i stała tak, jakby bolały ją nogi. Towarzyszył jej stary mężczyzna w miejskim ubraniu, kuśtykający za nią na drewnianej nodze. Być może do niego należał samochód zaparkowany na poboczu po przeciwnej stronie szosy.

Zapytała Adama, czy też mieszka w sierocińcu. Kiedy nie odpowiedział, zirytowanym tonem powtórzyła pytanie. Potem przyjrzała mu się uważniej i ręce zaczęły jej się trząść. Wypadły z nich azalie, w oczach zebrały się łzy. Szeptem powtarzała jego imię, nie śmiąc podejść ani kroku bliżej. Zrozumiała, że przyjechała za późno.

Nie mógł jej uwierzyć; nigdy więcej nie zdołałby jej zaufać. Niepotrzebnie wróciła - być może szukała przebaczenia albo nawet miłości, lecz już wiedziała, że są poza jej zasięgiem, od dawna zmarnowane i przepadłe.

Kilka miesięcy później mężczyzna z drewnianą nogą przyjechał jeszcze raz, żeby powiedzieć mu, iż Clare nie żyje. Utonęła w pianistych wodach rzeki Cumberland w



miejscu, gdzie wpada ona do Ohio. Fale wyrzuciły jej ciało na brzeg, jakby chciały dowieść, że nie zdoła uciec z gór nawet w śmierć.

\*

Ostatni rok w średniej szkole spędził przygotowując się do odejścia. Wiedział, że Harris wypuści go po ukończeniu osiemnastego roku życia, i wyczekiwał tej chwili. Równocześnie jednak nie miał pojęcia, gdzie się podzieje ani czym się zajmie, stanąwszy na własnych nogach. Biuściasta pani Kelsey wciąż go wypytywała, czy będzie miał pracę poza sierocińcem i gdzie zamieszka, kiedy „dojdzie swych lat”, ale jej pytania tylko podsycaly trawiący Adama niepokój. Pewien znajomy chłopak wozil węgiel po półtora dolara za kurs i obiecał, że pomoze mu się zatrudnić w tej samej firmie. Dyrektor gimnazjum spytał, czy nie chciałby nauczać pierwszych klas. Jedna z nauczycielek napomknęła o swoim bratanku, który pracował w dużej chicagowskiej gazecie i być może byłby w stanie załatwić tam Adamowi jakąś pracę.

W dniu, w którym Adam skończył osiemnaście lat, Harris wezwał go do swojego gabinetu.

Z biegiem lat postarzał się i wychudł, rzadziej perorował, o wiele rzadziej krzyczał. Wydawał się znużony, zniszczony; nie tak chętnie dążył do konfrontacji i udowodnienia swojej wyższości. Wciąż wszędzie nosił ze sobą pejcz i brał go do ręki, ilekroć Adam był w pobliżu.

Wskazał pejczem papier leżący na biurku.

- Twoje świadectwo urodzenia - rzekł cicho. Adam wziął dokument nie czytając go. Czuł na sobie spojrzenie Harrisa, ale sam unikał jego wzroku. Stali zwrócenii do siebie twarzami, w milczeniu. Dzielilo ich krzesło, na którym siedziała Clare owego dnia, gdy pierwszy raz przyprowadziła tu Adama.

- Możesz zatrzymać odzież - rzekł w końcu Harris. - Wszystko inne jest własnością stanu Tennessee.

Odszedł jeszcze przed południem. Zabrał tylko metrykę i świadectwo ukończenia szkoły średniej i opuścił sierociniec nie mówiąc do widzenia nawet pani Kelsey. Starsi chłopcy byli w klasach; nie zatrzymał się, żeby ich pożegnać. Dwaj malcy zerkali na niego z warsztatu na podwórzu. Nawet im nie pomachał ręką.

Na podjeździe obejrzał się i po raz ostatni popatrzył na budynek. Chciał dokładnie zapamiętać tę chwilę, to miejsce. Nie wiedział jeszcze, dokąd się uda. Wiedział tylko, że już nigdy tu nie wróci.

Pojechał autostopem do Kentucky. Tam zatrudnił się na stacji benzynowej za dolara dziennie i miejsce do spania. Żywił się resztkami z miejscowej jadłodajni, w której po pracy mył podłogi i wnosił towar na zaplecze. Po kilku tygodniach zadzwonił do nauczycielki z gimnazjum. Poprosił ją o adres i numer telefonu bratanka z Chicago. Powiedział, że spróbuje go odszukać i „załapać się” w gazecie. Przedtem jednak, rzekł, chce po raz ostatni zobaczyć ojca.

\*

Małżeństwo Sama z Helen Kiessling nie trwało długo. Przyniosło Samowi tylko kolejną czwórkę dzieci i furę długów, których nie był w stanie spłacić. Nie udało mu się też wyleczyć Helen z cygańskiej klątwy ani przekonać jej o szczerości swojej wiary w Boga. Odesłał ją wraz z dziećmi na farmę Kiesslingów, gdzie dziadkowie mogli ubrać i wyżywić wnuki, Helen zaś znalazła pracę w pobliskiej fabryce pończoch. Wytrzymała tam tylko kilka miesięcy, po czym wróciła na farmę. Nasilające się i coraz częstsze ataki wkrótce położyły kres jej życiu.

Mały Sam otrzymał wiadomość o śmierci Helen w drodze na zgromadzenie w Georgii. Posłał wiadomość, by dzieci, jeśli się da, umieścić w sierocińcu albo pozostawić pod opieką dziadków do chwili, gdy dorosną i będą mogły rozpocząć własne życie. Wkrótce potem ożenił się po raz kolejny.

Przez całe lata pięćdziesiąte w prasie regularnie ukazywały się artykuły o nim i wywiady; występował nawet w radiu, gdzie głosił swoją wersję wiary chrześcijańskiej

słuchaczom nie obznajomionym z jego ruchem. Podawał sprzeczne wersje własnej przeszłości, unikał rozmów na temat byłych żon i dzieci, ale nigdy się nie zachwiał w swoich poglądach na Biblię i drogi działania Pana.

Adam znalazł go w Jamesboro w stanie Kentucky na zgromadzeniu, w którym brało udział pięćset osób. W dniu ceremonii drogi prowadzące do miasteczka były tak zatłoczone, że rozstawieni po okolicy zastępcy szeryfa musieli kierować ruchem. Od wczesnego ranka wierni gromadzili się wokół namiotu, w którym Sam miał wygłosić kazanie; grali na cymbałach i gitarach i śpiewali hymny. Wokół kręciły się grupy gapiów. Kobiety o włosach długich aż za kolana krzątały się nakrywając stoły do wspólnej wieczerzy.

W namiocie szeryf odgrodził liną przednią część, zarezerwowaną dla zaklinaczy węży. Zatrzymał dwunastoletniego chłopca, który próbował przecisnąć się do przodu.

- Dzieciom nie wolno! - huknął. - Tak stanowi prawo i należy go przestrzegać.

Zawiedziony chłopiec usiadł obok Adama. Mruczał coś gniewnie pod nosem spozierając na zrobiony z desek pulpit i stojące wokół skrzynki z węzami. Potem obrócił się do Adama i rzekł, że da świadectwo wiary pomimo zakazu szeryfa.

- Prawo Boże jest wyższe nad ludzkie prawa - oznajmił. Coraz bardziej podniecony, zacierał dłonie i kiwał się w tył i w przód. - Człowiek musi walczyć z szatanem, jeśli chce żyć w Duchu Świętym - dodał.

Chłopiec miał na sobie pożółkłą koszulę zapiętą z przodu na jeden guzik - inne były poodrywane - spodnie związane w pasie sznurkiem i wyraźnie za duże buty. Jego prawą dłoń, przegub i ramię pokrywały blizny. Poparzył się przed rokiem w Jolo, kiedy próbował dać świadectwo wstępując w płomienie.

- Byłem napełniony Duchem Świętym - wyjaśnił - ale kiedy wsadziłem rękę do pieca, przestraszyłem się, a strach otwiera duszę diabłu i dlatego się poparzyłem.

W czasie tego samego obrządku zmarli od ukąszeń węży dwaj wędrowni robotnicy rolni, bracia, z których każdy miał rodzinę na utrzymaniu.

Nazajutrz na pogrzebie ich ojciec trzymał grzechotnika nad trumnami synów.

Chłopiec nagle przestał rozcierać ręce i usiadł prosto.

- Idzie - rzekł, ruchem głowy wskazując kaznodzieję.

Adam poczuł ciężar na sercu. Nie podniósł wzroku; chciał najpierw opanować podniecenie na myśl, że znów zobaczy Sama, powściągnąć emocje, by móc patrzeć nań z chłodnym obiektywizmem.

Mały Sam ubrany był w tę samą połataną koszulę, którą nosił, gdy Adam był małym chłopcem. Niski jak karzeł, w podwiniętych u dołu spodniach, wyraźnie utykał. Twarz miał czerwoną i opuchniętą po ostatnim ukąszeniu, palce pełne blizn i powykęcane od jadu, ale emanował taką samą groźną mocą jak wtedy, gdy Adam widział go po raz ostatni. Teraz był jeszcze na dodatek sławny, co sprawiało mu widoczną przyjemność.

Przeszedł przez namiot, wyciągając ramiona do wiernych, którzy na sam jego widok wpadli w szal radości. Ścisnął im dłonie, rozdawał pocałunki, gapiów zaś napominał, by uklękli i pomodlili się do Boga. Nerwowy nastolatek skoczył na równe nogi.

- Bracie Samie!

Jenkins podszedł i poklepał go po głowie. Następnie ujął chłopca za obie ręce, spojrział mu głęboko w oczy i odmówił modlitwę, po czym odszedł.

Muzyka w namiocie była tak głośna, że Adam miał ochotę zatkać uszy i uciec.

Aż z Charlestonu przybyli dwaj lekarze pragnący zbadać Sama w nadziei, iż znajdą klucz do tajemnicy jego niewytłumaczalnej odporności na toksyny. Pokazał im szklanekę ługu, który zamierzał dziś wypić, zachęcił, by sprawdzili jego stężenie i też się napili, jeśli poczują, że ożywia ich Duch Święty.

- Jam jest apostoł Paweł - oznajmił. - Sieję ziarno, które inni będą uprawiać.

Szeryf zapowiedział, że aresztuje każdego, kto złamie prawo albo zacznie wszczynać burdy. Mały Sam poparł go, mówiąc, by tak uczynił w imię Pańskie. Potem zaczął kazanie.

Przemawiał przez siedem godzin. Cytował Biblię, mówił o znakach otrzymanych od Pana. Spacerował pomiędzy ludźmi, czasem przerywał w pół zdania, by zapytać

kogoś o zdrowie rodziny. Parokrotnie usiadł, żeby odpocząć. Potem zrywał się gorączkowo i mówił dalej. Dwa razy zatrzymał się przed Adamem.

Za pierwszym pogłaskał po głowie stojącego obok chłopca i zwrócił się wprost do Adama:

- Ten oto Jimmy Ray został zrodzony w Słowie Bożym i ma w sobie Ducha Świętego, odkąd go znam - rzekł. - Kroczy przez życie w Duchu i umrze w Duchu jako gorliwy sługa Boży.

Za drugim razem, lekceważąc zakaz szeryfa, podał Jimmy'emu węża. Adama nie zaszczylił niczym więcej niż tylko przelotnym spojrzeniem i należało wątpić, czy poznał w nim własnego syna.

\*

Blue czekała na niego przed domem w Fort Sanders, jak gdyby wcześniej się umówili. Włosy miała zaczesane do tyłu, na sobie śnieżnobiałą sukienkę zakrywającą ramiona, nogi i dekolt. Wyglądała, jakby wcale nie czuła upału, jakby przed chwilą wyłoniła się z bryły lodu, który topniał w słońcu, odsłaniając stopniowo zakłęta w nim piękność.

Adam zaparkował tuż przed domem, wysiadł, obszedł wóz dokoła i oparł się o drzwi po stronie pasażera. Znów doskwierało mu poczucie, że oddaje się w jej ręce, że jego rzekomo świadoma decyzja, podyktowana chęcią wyjaśnienia okoliczności śmierci Sama, jest niczym więcej jak odzewem na bezgłośnie wezwanie Blue.

Przyglądał jej się przez długą chwilę. Jego oczy tęsknie biegły krzywizną jej karku, linią pleców, zatrzymały się w miękkim zagłębieniu w zgięciu ramienia. Wyobraził sobie, że Blue uśmiecha się do niego tak, jak uśmiechnęła się do hotelarza z Michigan, kiedy przyniósł jej słodycze.

- A gdybym tak opowiedziała ci o węzach? - zapytała.

Wytrąciła go tym z równowagi. Chwilę trwało, nim zrozumiał pytanie, zważył w duchu słowa i spróbował odczytać ukrytą w nich treść. Wciąga mnie w jakąś grę, pomysłał. Wciąga mnie w pułapkę.

Wzruszył ramionami.

- I cóż takiego miałbym od ciebie usłyszeć? Odrzucone do tyłu włosy odsłoniły linię jej dolnej części

twarzy i delikatną, niemal przejrzystą skórę za uchem. „Biała porcelana.” Usłyszał kiedyś te słowa z ust arabskiego taksówkarza w Bejrucie jako wyraz najwyższego uznania dla urody kobiet Zachodu. „Jasna i delikatna jak biała porcelana.”

- A jeśli opowiem ci, dlaczego to robię?

Ręce wciąż wetknięte miał w kieszenie spodni, ciało w niedbalej pozie oparte o samochód, ale serce już biło mu jak oszalałe z gniewu i wysiłku, by ów gniew okiełznać.

- Co to za różnica? - sarknął, choć doskonale wiedział, że to ma znaczenie, w każdym razie dla niego. Nie ufał zaklinaczom węży, nienawidził ich wszystkich bez wyjątku i choć niekoniecznie chciałby się do tego przyznać, sama świadomość, że Blue bierze udział tych praktykach, czyniła ją podejrzaną w jego oczach.

Ona także zdawała sobie z tego sprawę.

- Nie chodzi o to, co chcesz sobie udowodnić - warknął - lecz o to, na co narażasz innych.

- Na co narażam Sama - poprawiła go. - Chodzi konkretnie o Sama.

- O Sama i o innych. - Adam ponownie wzruszył ramionami.

Blue uśmiechnęła się pobłaźliwie. W jej oczach skrzyło się rozbawienie, ciało miała wolne od napięcia, które dostrzegł ubiegłego wieczoru, kiedy podążała za nim w deszczu. Zeszła z trzech stopni na chodnik i zbliżyła się tak, że mogła przyjrzeć się każdej z drobnych zmarszczek wokół jego oczu, prześledzić bieg szpecącej twarz blizny. Nie dotykając Blue, czuł chłód jej skóry, świeżość oddechu, który sączył się z jej ust jak kojący balsam.

- Moja znajoma, Anne Pelton, pamięta cię z dawnych czasów - szepnęła.

Adam poczuł, że krew ucieka mu z twarzy.

- Zmaga się z węzami już prawie czterdzieści lat - ciągnęła Blue. - Znała Jenkinsa od samego początku. W głosie Blue nie było złości. Nie chciała go zawstydzić ani przestraszyć. Rozwiązuje zagadkę, pomyślał, by z jej pomocą rozwikłać większą tajemnicę.

- Anne mi opowiadała, że dwa razy u niej byłś. Za pierwszym razem twoja twarz wydała jej się znajoma. Za drugim zdała sobie sprawę dlaczego.

Anne Pelton była siedemdziesięcioletnią wdową z Pineville, która chełpiła się, że wie o Bogu wszystko, co można o Nim wiedzieć. Jej mąż zmarł od ukąszenia węża wiele lat wcześniej w Alabamie. Córka wyjechała do Nashville, klnąc się, że zostanie gwiazdą muzyki country, choćby miało ją to kosztować życie. Anne modliła się głównie w jej intencji.

- Podobno twoja matka była bardzo piękna. Wszyscy do dziś ją pamiętają. Anne mówi, że masz taką samą twarz, taki sam kolor oczu.

Adam spojrzał na nią drwiąco.

- Ciekawe, że w tym wieku jeszcze cokolwiek widzi - prychnął.

Nie był z natury zły. Chciał tylko zyskać na czasie, nim coś postanowi. Założył z góry, że nikt nic o nim nie wie. Tymczasem rozpoznano go, mówiono o nim.

- W każdym razie - dodał - na twoim miejscu nie przywiązywałbym większej wagi do bredni rozgłaszanych przez tę starą wariatkę.

Ostre słowa. Nieomal czuł w ustach smak upuszczonej przez nie krwi, kiedy przechodziły mu przez gardło. Blue nawet nie mrugnęła.

- Anne uważa - dokończyła spokojnie - że możesz być synem Małego Sama.

Pani Roscoe z przeciwka obserwowała ich z progu swego domu. Blue była świadoma jej obecności, lecz nie zaszczyciła jej nawet spojrzeniem. Nie czuła się skrepowana tym, że ma świadka.

- Jedź ze mną do kościoła - rzekła cicho.

Kiedy nie odpowiedział, obeszła samochód dookoła i siadła za kierownicą.

Pojechali na zachód drogą międzystanową numer 40, następnie na południe siedemdziesiątą piątą, w stronę Chattanooga. Adam, uziemiony na miejscu pasażera, ćmił jednego papierosa za drugim, wyrzucał niedopałki przez okno i ponuro gapił się przed siebie.

Droga biegła na przełaj przez otwarte pola. Wokół teren był płaski, szmaragdowo-zielony. Szosa wyglądała jak gładka, lśniąca wstążka - cicha, nieruchoma i powolna niczym sen. Adam myślał o ironii własnego postępu: w konfrontacji ze świadectwem Anne Pelton usiłował zaprzeć się przeszłości, ukryć swój związek z Clare i Rose Watkins, a zwłaszcza z Małym Samem. Ogłuszony wstydem, oniemiały z gniewu tętniącego mu w żyłach, zrobił to samo, za co zawsze winił ojca.

Blue zatrzymała się w Sweetwater i zapukała do pierwszych z brzegu drzwi. Zza domu wyszedł chłopak w obciętych pod kolanami spodniach. Popatrzył na samochód, potem na Blue.

Zapytała, czy wie, gdzie ma się odbyć dzisiejsze spotkanie świętych pielgrzymów.

Chłopiec nie odrywał od niej wzroku. Był boso, bez koszuli, brudny i wyraźnie niedożywiony.

- Pani jest tą kobietą - rzekł po chwili. Blue skinęła głową.

Chłopak znów zagapił się na samochód, potem na własne dłonie.

- On nie jest stąd - mruknął.

Blue z uśmiechem zerknęła na Adama.

- Mieszkał tu kiedyś - oświadczyła z pobłażaniem. - Może znowu zamieszka.

Chłopak pokiwał głową. Potem wskazał na wschód i powiedział, żeby szukali stodoły bez dachu. Miała przed nią stać tablica z napisem: „Przygotujcie się na przyjście Pana”.

Było wpół do piątej, gdy odnaleźli stodołę. Na polanie zebrała się już grupa wiernych. Mężczyźni mieli gitary i bębny, grali i śpiewali „W niebie każdy jest młody”. Kobiety przyniosły ze sobą prowiant i wykladały go na zbite z desek stoły ustawione na tyłach szopy. Sam ich widok, świadomość, że cofnął się o dwadzieścia lat, że wró-



cił do ludzi, których przysiągł sobie nigdy więcej nie oglądać - przyprawiły Adama o skurcz żołądka.

Był tam John Dewey, niegdyś niemy, który odzyskał mowę za sprawą Sama, i Li-ston Cuningham, której córka zmarła po wypiciu łągu w kościele. Był John Sherman, który siłą swej wiary wskrzesił dwoje ludzi. Był Bob Reynolds, bliski już osiemdzie-siątki, który świeżo zaślubił czternastoletnią wnuczkę przyjaciela z dzieciństwa. Na pierwszą (i jedyną) randkę Bob zabrał ją do McDonalda w Pineville. Zgodziła się za niego wyjść, bo był miły i kupił jej wtedy aż dwa koktajle mleczne.

Młoda pani Reynoldsowa pierwsza zauważyła Blue w samochodzie i wskazała ją innym. Głowy zaczęły się obracać, rozmowy milknąć. Mniej niż dwa miesiące po śmierci Sama, podpisawszy w obecności szeryfa i prokuratora zobowiązanie, że już nigdy więcej nie tknie węży, Blue wróciła. Co więcej, sprowadziła obcego mężczyznę.

Silnik pracował na jałowym biegu. Blue siedziała za kierownicą i spoglądała na wpatrzonych w nią ludzi.

- Nie wejdę tam z tobą - powiedział Adam. Odwróciła się do niego, jak gdyby chcąc zrozumieć.

Zobaczył, że zagryza dolną wargę. Ręce leciutko jej zadrżały. Na chwilę zapomniał o złości, jego oczy złagodniały. Potem uświadomił sobie, co będzie się działo w tej stodole. Cofnął się. Przywiozła go tutaj, żeby zrozumiał, wciągnęła go do swojego świata, żeby spojrzeć nań od wewnątrz; stracił dystans, obiektywizm, wolę rozgrani-czenia dobra i zła.

- Nie zrobię tego - powtórzył.

Chciał powiedzieć: opuściłem tę grupę osiemnaście lat temu i przysiągłem sobie, że moja noga już tam więcej nie postanie - ani dla ciebie, ani przez wzgląd na Małego Sama, ani nawet po to, żeby napisać reportaż.

Nie wypowiedziane słowa wpadły w ciszę jak jesienne liście.

Blue weszła sama.

Nie wyglądała jak tamci, pomyślał; różni się od nich każdym słowem, ruchem, czynem. Patrząc na nią stwierdził w duchu: oto istota przyzwyczajona do tego, że jest inna. Wie, że nie tu jest jej miejsce, że nigdy nie będzie tu dla niej miejsca.

Przypominała bajkowe skrzydła na plecach dziecka, które marzy o tym, by odfrunąć - zaskakujące, urzekające i całkowicie nie na miejscu.

Podeszła do nich bez wahania, bez śladu strachu lub obronnej postawy kogoś, kto spodziewa się ataku. Adam wiedział, że Blue się boi. Wyczuł to, zanim wysiadła z samochodu, zauważył w ruchu dłoni, gdy sięgała do klamki.

A jednak wydawała się wyniosła, silna i skłonna przyjąć każde wyzwanie.

Przesiadł się za kierownicę i powiedział sobie, że powinien odjechać, zostawić ją tu z bandą pomyleńców pośród węży oraz wszystkich kłamstw i złudzeń, w imię których żyli i umierali ci ludzie. Wciąż miał ją przed oczyma - dumnie weszła do szopy, znośząc wrogie, podejrzliwe spojrzenia współwyznawców, które paliły ją w plecy. Spodobała mu się jej zuchwałość. Wyobraził sobie, jak wstaje wraz z innymi, śpiewa z nimi w chórze. Nie pochylił głowy przed ludźmi, którzy nią gardzą. Nie ustąpi, choć tamci pragną, żeby znikła.

Patrzył, jak słońce zachodzi za polami, a do samochodu zaczyna wsączać się mrok. Przez opuszczone okno dolatywał dźwięk muzyki, niezrozumiałe słowa mężczyzn i kobiet w transie. Jakiś czas potem ujrzał wychodzące z kaplicy cienie - jedne wciąż z pieśnią na ustach, inne milczące, emocjonalnie wyczerpane po obrzędku. W takich chwilach - kiedy patrzył na grupy ludzi, których coś łączyło: więzy krwi, przyjaźni lub wspólnej wiary - zawsze czuł się najbardziej podle. Samo ich istnienie przypominało mu, że nie ma nikogo, że jest i na zawsze pozostanie samotny.

Poszukał wzrokiem Blue.

Wyszła sama. Jaśniała w mroku niczym biały płomień. Przystanąła tylko na chwilę, by uścisnąć Anne Pelton i zamienić z nią kilka słów. Nie patrzyła w stronę samochodu, nie szukała Adama wzrokiem, lecz zdawała się świadoma jego obecności. Czuł, że myślała o nim przez całe nabożeństwo, błagała go w duchu, by został, zaczekał na nią,

był tam, kiedy wyjdzie. Wydała mu się zarazem bliska i straszliwie odległa - jak paląca ongiś tęsknota, która stała się niezmywalnym wspomnieniem.

Podeszła do samochodu i wsiadła na miejsce pasażera. Adam poczuł, że serce mu przyspiesza, i wstrzymał oddech, aby pokryć ulgę. Skóra Blue jakby jaśniała w ciemności, a złożone na sukience dłonie wydawały się małe i zziębnięte. Zapragnął je ogrzać. Odwrócił wzrok.

Przyglądała mu się przez chwilę.

- Dziękuję - powiedziała.

Wiedziała, dlaczego na nią czekał. Zrozumiała, że chciał stanąć obok niej - przy niej - kiedy będą ją oskarżać.

Nie patrząc na nią przekręcił kluczyk i włączył bieg. Położyła mu dłoń na ramieniu. Czekala, aż zbierze odwagę, żeby na nią spojrzeć.

Wtedy dotknęła ustami jego policzka, językiem musnęła kącik ust i zaczęła go całować.

\*

Miłość z nią przypominała jazdę po omacku przez górskie przełęcze, gdzie droga wisi w powietrzu, w pół drogi między uniesieniem a unicestwieniem, pokonywana bardziej siłą wiary niż rozumem, a siłą obłędu bardziej niż siłą wiary. Adam kilkakrotnie pokonywał takie drogi. Przemycano nimi ludzi i broń przez granice ogarniętych wojną krajów na Bliskim Wschodzie. Kryminaliści i więźniowie polityczni opuszczali w ten sposób ojczyznę: bezksiężycowa noc, samochód ze zgaszonymi światłami, pasażer skulony z tyłu, a kierowca wciska gaz do dechy i modli się, by ich nie doścignęto. Milczą obaj - kierowca i pasażer - związani lękiem przed wykryciem, świadomością, że w razie schwytania czeka ich pewna śmierć. Wyruszają w drogę modląc się, by nie osunęła się spod kół; prowadzi ich instynkt, pamięć, nie wzrok. Minuty ciągną się w nieskończoność, słyszy się uderzenia cudzych serc. Na każdym

zakręcie zalega cisza. Potem, gdy pasażerowie uświadomią sobie, że wciąż żyją, słychać tylko westchnienie, jedyny znak radości przechodzącej ludzkie pojęcie.

Znajdowali się w grocie położonej dokładnie naprzeciw kaplicy, w jednej z podziemnych komnat wiodących do Zaginionego Morza.

Zawiózł tam Blue zaraz po nabożeństwie, sprowadził ją do jaskini i kochał się z nią na stojąco. Oparł ją o chłodną skalną ścianę, zdarł z niej sukienkę i tulił tak, jakby od początku należała do niego, jakby nareszcie wrócił się o nią upomnieć.

Jeden błędny ruch i zgubi się w liniach ciała tej kobiety, zamota w jej włosach. Oślepią go jej ręce błądząc po jego obliczu, jakby chciały zachować wspomnienie jego skóry, zgubi uległość, z jaką wtuliła twarz w zagłębienie jego szyi i szepnęła:

- Adam...

Jak życzenie, które wypowiedziane się nie spełni, imię zawisło między nimi otwierając tamę pytaniom, na które nie potrafił odpowiedzieć. Odsunął się od niej, spojrzał na białą postać na tle czarnej skalnej ściany.

Kobieta naga jak nadzieja, odkryta przed jego wzrokiem, bezbronna, lecz zarazem dziwnie nieulekła.

Wrócili w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w drogę wiodącą ich przez pola, a później labiryntem wąskich uliczek i ślepych zaułków Fort Sanders. Dziewiętnasta Ulica opustoszała. Clinch Avenue trwała w mocy klątwy złej czarownicy i tysiąca lat milczenia. W domu Blue świeciło się jedno żółte światło za frankami salonu, którego okna wychodziły na ulicę.

Profesor czekał na żonę.

\*

Właściciel pensjonatu siedział na balkonie pokoju Adama, sączył brandy i palił cygaro. Zostawił uchylone drzwi, by zaanonsować swą obecność. Na twarzy miał ten sam ironiczny uśmiech i udawaną obojętność, z jaką zawsze witał Adama.

- Cóż to? - zapytał Adam od drzwi. Tamten uniósł brew, udając zdziwienie.

- Jak to co? Brandy - odparł i pociągnął kolejny łyk. Miał na sobie białą płócienną koszulę i spodnie khaki,

miękkie skórzane buty. Pachniał piżmową wodą kolońską. Starał się zamaskować sympatię i przykuć uwagę Adama, nie będąc zmuszony o nią prosić.

- Kieliszeczek? - spytał wciąż z sarkazmem w głosie. Adam nie był w nastroju, żeby podjąć grę. Czuł się

wykończony, zmieszany i oszołomiony spotkaniem z Blue. Część jego duszy łaknęła spokoju, w którym mógłby to i owo przemyśleć. Druga część rada była, że coś lub ktoś odrywa ją od natrętnych myśli.

Wszedł do pokoju i usiadł na łóżku.

- Czym mogę panu służyć? - rzucił. Właściciel uśmiechnął się złośliwie.

- Hmm... - zadumał się. - Na początek moglibyśmy się pokochać.

Adam oparł się o wezglowie i skrzyżował nogi.

- Czym jeszcze? - spytał, nie patrząc tamtemu w oczy. Na stoliku nocnym miał butelkę Jacka Danielsa. Zapalił papierosa i rozejrzał się za szklanką.

Człowiek z Michigan przyglądał mu się w milczeniu.

- Spodobałeś mi się od pierwszego wejrzenia - rzekł miękko, kiedy wreszcie wzrok Adama zetknął się z jego wzrokiem. Po chwili dodał zwykłym szyderczym tonem: - To znaczy, zanim otworzyłeś buźkę!

Adam przybył do pensjonatu z plecakiem i trzydniowym zarostem, potwornie zmęczony, śmierdzący papierosami i zapachem lotnisk. Poprosił o pokój nie patrząc na właściciela, zapłacił za tydzień z góry, nie przeliczył reszty. Hotelarz, prowadząc go na górę, pomyślał: „Książę z bajki w krainie zatrutych jabłek, które odbierają sen”. Dopiero później, kiedy Adam zaczął wypytywać go o Blue, zaczął mieć się przed nim na baczności.

W pokoju nie było szklanek. Adam pociągnął łyk whisky z butelki i postawił ją otwartą obok siebie.

- Nazywam się Isiah Frank - przedstawił się właściciel. - W razie gdybyś chciał wiedzieć.

Adam kiwnął głową, nie siląc się na odpowiedź, i ponownie podniósł butelkę do ust. Hotelarz spojrzał na niego ze zgorzeniem.

- Jednego nie można jej zarzucić: że cię ucywilizowała
- zauważył.

W oczach Adama zobaczył iskrę napięcia. Wystraszony założył nogę na nogę i zerknął na czubek swojego cygara. Trafiłem za blisko, pomyślał, dotknąłem żyły, która może w każdej chwili eksplodować i utopić go we krwi.

- Znam ją od lat - rzekł, sięgając po gałązkę oliwną. Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie dźgnąć nią jeszcze raz: - Znam też jej męża.

Adam przygwoździł go wrogim spojrzeniem. Frank raptem stracił pewność, po co tu przyszedł, co miał nadzieję uzyskać od tego mężczyzny, który tak wyraźnie nie odwzajemniał jego zainteresowania.

Noc jest ciemna i wilgotna, myślał, i nikt mnie nie kocha. W sumie chciałbym tylko móc spokojnie zasnąć w tym świecie szklanych zwierząt i przeklętych książąt - zasnąć samotnie, lecz wiedzieć, że gdy umrę, komuś będzie mnie brakowało.

Z trudem zmusił się, by spojrzeć Adamowi w oczy.

- To niezwykła kobieta - powiedział głosem wyzutym nagle z ironii. - Jeśli ją złamiesz, rozetnie ci ciało aż do kości.

Adam nie spał przez całą noc. Pił whisky i szkicował w myśli zarys reportażu. Ostatni raz dzwonił do redakcji z Frankfurtu. Nie mieli jak go złapać, nie wiedzieli, gdzie jest i kiedy znów się odezwie. Powinien się obawiać o swoją posadę, ale jakoś wcale się tym nie martwił.

Napisze opowieść o Małym Samie i setkach mężczyzn i kobiet, dla których gdy żył, jego słowo było prawem Bożym i jest nim nadal po jego śmierci. Napisze o węzłach, które nie zabijają, i o dłoniach, które leczą wiernych. Nie wspomni tylko o Blue ani o tym, jak Sam Jenkins rozstał się z życiem.

Blue będzie zawarta w każdym wierszu, wpleciona w każde słowo, opisana przez swą nieobecność. Będzie tam, choć nie wymieni jej imienia.

Uświadomił sobie, że chce ją chronić. To przstraszyło go bardziej niż wszystko inne.

Powiedział sobie, że musi wyjechać - jutro, kiedy przejaśni mu się w głowie i zdoła zebrać wolę, by opuścić to miasto, znaleźć lotnisko i odlecieć dokądkolwiek. Powiniennem odejść, póki jeszcze mogę, myślał, póki jeszcze chcę.

A jednak uwiodło go to miasto, senny rytm jego życia w zaklętym pierścieniu gór. Zadawało kłam jego wspomnieniom z dzieciństwa. Został więc; mijał dzień za dniem, a on snuł się po Knoxville, nosząc pod powiekami obraz Blue, i z trudem powstrzymywał się, by do niej nie pobiec.

Tamtej nocy, zanim wysiadła z samochodu i znikła w domu swego męża, odwróciła się do niego i popatrzyła na jego ręce, jakby się zastanawiała, czy mogą ją ocalić.

Trzymał się z dala przez trzy dni. Potem pojechał do Fort Sanders w nadziei, że ją zobaczy.

Długo siedział w samochodzie, paląc jednego papierosa po drugim. Czuł się ubezwłasnowolniony, zaklęty, związany z Blue namiętnością, lecz w równym stopniu gniewem. Nie mógł - i nie chciał - odejść.

Czyżby widział w niej własny los, tylko na opak?

Teraz stał pod domem pani Roscoe z pięściami wepchniętymi w kieszenie dzinsów, jakby chciał ukryć swoje pożądanie, patrzył na zblakłe, łuszczące się niebieskie ściany, na zetlałe markizy i zachwaszczony ogród. Wyobrażał sobie Blue bezszelestnie krążącą po pokojach, jedzącą obiad z mężem na starej porcelanie i białym obrusie. Widział ją, jak czeka, aż Profesor skończy czytać, jak siedzi w łóżku i przygląda mu się, gdy się rozbiera. Potem leżą obok siebie z otwartymi oczyma i szepczą do siebie. O czym? Nikomu nic do tego.

W chwili gdy wysiadł z wozu, na parterze zgasło światło. Cień Profesora poruszył się za firanką i opuścił żaluzje, potem obszedł dom, żeby sprawdzić, czy okna są pozamykane, rygle zasunięte, a słuchawka zdjęta z widełek - czy natręctwo Adama nie zakłóci im snu.

Pani Roscoe wyszła z domu i na widok Adama zmarszczyła brwi.

- Lepiej niech pan stąd odejdzie - powiedziała ostrzegawczym tonem. - W tym domu mieszka diabeł. Może w pana wstąpić, zanim się pan obejrzy.

Wsiadł do samochodu i wrócił przez śpiące miasto o ślepych latarniach. Nie oglądał się za siebie, nie przystanął, by poczekać, lecz przez cały czas czuł, że Blue zbliża się do niego w ciemności.

\*

Isiah Frank z uśmiechem otworzył jej drzwi.

- Zakochana jesteś jeszcze piękniejsza - rzekł, po czym odsunął się i patrzył w ślad za nią, gdy wchodziła na piętro.

Zanim zmarła moja córka, zastanawiałam się nieraz, co jej powiem, kiedy będzie już duża i spyta, skąd pochodzę, dlaczego nie mogę tam wrócić ani nawet wskazać na mapie swego kraju.

Stała przy drzwiach prowadzących na balkon zwrócona do niego twarzą, ale nie patrzyła mu w oczy. Adam, oparty o wezglowie, machinalnie wodził palcami po ciśniętej na łóżko sukience. Studiował linie ciała Blue - smukłe, zwarte, oszczędne, jakby nakreślone pewną ręką na papierze. Wiszące naprzeciw okna lustro w ciemnej drewnianej ramie odbijało jej białą postać w aureoli złotorudych włosów.

Nie wiedziałeś, że miałam dziecko, prawda? Gazety pisały o mnie i o węzach, ale nigdy nie wspomniały o śmierci mojej córki. To nie temat na artykuł; mała dziewczynka, która pewnego spokojnego popołudnia podeszła zbyt blisko ogniska. Płomień objął ją w jednej chwili... Biegła do mnie z wyciągniętymi rękami, bez krzyku, nawet bez jęku, a ja stałam jak wryta, niezdolna się poruszyć.

Czy gdybym ocknęła się ułamek sekundy wcześniej, ocaliłabym jej życie?

Gazety o tym nie pisały; także tu, w mieście, wypadek przeszedł bez echa. Dla tych ludzi zawsze byłam obca - najpierw dlatego, że przyjechałam z zagranicy, potem ze względu na grupę uświęcenia i jej praktyki. Oglądali się za mną i mówili o mnie, ale



zawsze byłam dla nich tylko dziwaczną, wręcz nierealną postacią. Dlatego łatwo im było przeoczyć najpierw narodziny mojej córki, a potem jej śmierć.

Upadła na ziemię tuż przede mną. Płomienie unosiły się z czubków jej białych paluszków. Rzucając się na nią, by zdławić ogień, już wiedziałam, że ją straciłam.

Tak więc mieszkańcy Knoxville nie wspominają mojej córki, a członkowie grupy, którzy znają tę historię, też rzadko o niej mówią. Nie potrafią wyjaśnić, jak coś takiego mogło spotkać pięcioletnie dziecko. A ponieważ nie pojmują, nie nadają temu znaczenia większego niż smutkom i nieszczęściom, które sami przeżyli. Reagują więc w jedyny znany im sposób: godzą się z wolą Bożą i żyją dalej.

To jest istota religii, powtarza zawsze Profesor: nie zadawać pytań, nie buntować się. Mówi, że dlatego członkowie grupy natchnęli mnie swoją wiarą, choć nie jestem jedną z nich-nie mówię, nie postępuję i nie żyję tak jak oni. Patrzą na mnie, gdy trzymam w ręku węża, na resztę zaś moich dziejów zamykają oczy. Dlatego aż do dziś większość z nich nie wie, że nie urodziłam się w wierze chrześcijańskiej.

Pewnie wyjawiałabym prawdę, gdyby ktokolwiek spytał. Powiedziałabym, że moja matka była żydówką, Profesor też jest żydem. Ale oni nie chcieli wiedzieć, prawda pozostała więc ukryta przed ludzkim wzrokiem i tam, w ukryciu, nabierała wagi, aż stała się kłamstwem, które musiałam zataić.

Córka zadałaby mi to pytanie. Wiem, bo właśnie w ten sposób córki tworzą więź z matkami - instynktownie, zadając trywialne pytania, lecz pragnąc też poznać najgłębiej tajone sekrety. Przez całe dzieciństwo gromadzą fakty, nie wiedząc, co z nimi poczyna. Tymczasem każde słowo, każde wspomnienie zaczerpnięte od matki staje się przęsłem mostu, który nieświadomie zaczęły budować. Pomimo rozstań, przeciwności losu ten niewidzialny most stoi pewnie, sięgając aż w wiek dorosły. Jest tym dłuższy, im dalej zawędruje córka. I gdy pewnego dnia przystanie, policzy lata i uświadomi sobie, że też jest kobietą, może wrócić do matki po moście ze słów i wspomnień zbudowanym w dzieciństwie.

Mam opowieść, którą chciałam przekazać swemu dziecku. Przygotowałam ją i przechowałam, aż rozrosła się w bezgraniczne pustkowie, w którym na próżno szukam śladów córki.

\*

Kiedy byłam dzieckiem, mama brała pędzelek z włosia siwych koni i maczała go w hennie. Wczesnym rankiem, ledwie zaczynało świtać, siadała na dworze, u podnóża skalistych azjatyckich gór Zagros, i malowała różności we wnętrzach swoich dłoni.

Mama miała talent, póki była przy zdrowych zmysłach, a później, gdy oszalała, malowała jeszcze piękniej. Starzy ludzie z wioski mówili, że to żydowska krew zmąciła jej rozum. Ponoć wszyscy Żydzi nawiedzeni są przez diabła, który każe im mówić i robić dziwne rzeczy. Wiele lat później, w Ameryce, znów to usłyszałam.

Ojciec mojej matki był grajkiem na dworze perskiego księcia Ziła as-Sultana w mieście Isfahanie, gdzie stał pałac ze szkła. Był pięknym mężczyzną o kuszącym głosie i legendarnym wprost szczęściu. Na imię miał Salomon, nazywano go zaś Salomon Człowiek - tak mówiła mi matka, choć sama nigdy go nie widziała. Sypał wokół złotem, a jeszcze szcudziej dzielił się miłością. Podbijał kobiety, te zaś - niczym okręty stojące na kotwicy na spokojnym morzu - bez oporu wpadały w jego pirackie ręce. Nawet gdy był już żonaty, wciąż wypuszczał się na długie, niebezpieczne wędrówki do Egiptu czy Indii, gdzie szukał sławnej piękności kobiet, o których wieści dotarły doń w kraju. Tak też poznał moją babkę - znalazł ją w roku 1893 w kurdyjskiej wiosce, leżącej w tej części świata, którą teraz zwą Irakiem; blisko miasta Mosulu, gdzie żyje wielu Kurdów.

Tutaj nikt nie słyszał o Kurdach czy Kurdystanie, trudno więc im wyjaśnić, że to kraj zawarty w innych krajach, rządony przez zbyt wiele rządów; naród, którego imię nie pojawia się na mapie. Gdybym miała go opisać mojej córce, powiedziałabym, że to widmowa kraina w barwach Boga - ziemia srebrnych skał i liliowych równin, czar-

nych wiatrów, bursztynowych dróg i szafranowożółtych zachodów słońca - tak pięknych, że nikt nie ośmielił się rościć sobie do nich prawa.

Posadziłabym ją sobie na kolanach w tym samym pokoju, w którym Profesor udzielał mi lekcji; na tym samym krześle, na którym siadałam ucząc się czytać, a później poznając historię mego ludu. Rozłożyłabym mapę Azji - rdzawo-brązowy arkusz, na którym całe kraje drzemią zmniejszone do rozmiarów piąstki dziecka, milczące i wieczne, nie zdradzając nikomu swych tajemnic.

- Popatrz - powiedziałabym - to góry Taurus. A to Morze Czarne.

Wzięłabym ją za rękę, powiodłabym jej paluszek skrajem gór aż w głębinę morza.

- To rzeki Araks i Eufrat - mówiłabym dalej. - To Dżebel Hamrin. To Mezopotamia, armeńska Anatolia, legendarna góra Ararat... Pomiędzy nimi, na obszarze rozdartym przez pięć różnych państw, mieszka dwadzieścia pięć milionów ludzi, którzy nazywają się Kurdami.

Dziwny to lud, ci Kurdowie - potomkowie baśniowych dzinnów i prawdziwych kobiet. Pięć tysięcy lat temu król Salomon nakazał dzinnom będącym w jego służbie, aby przeszukały wszystkie cztery strony świata i przywiodły mu najpiękniejsze dziewice spośród żywych.

Dziny zajrzały w każdy zakątek ziemi, lecz nim sprowadziły piękne panny do króla, ten umarł, a duchy powietrza same zakochały się w dziewczynach. Wzięły je za żony i spłodziły z nimi potomków, którzy nie należeli ani do tego, ani do tamtego świata. Odtąd ich przeznaczeniem było tułać się, nigdzie nie zagrzewając miejsca.

Najpierw żyli w jaskiniach. Potem w wioskach i miasteczkach. Wielu było koczownikami, przebywali wielkie odległości w poszukiwaniu pastwisk dla swoich stad. Mówili różnymi narzeczeniami tego samego języka, hołowali różnym obyczajom, czcili nawet różnych bogów, ale jedno mieli wspólne - zawziętość i siłę. Wszyscy byli świetnymi wojownikami, tak mężczyźni, jak i kobiety. Dlatego udało im się przetrwać wieki i dlatego nigdy nie zaznali spokoju.

Mieli w sobie indoeuropejską krew, choć w ciągu wieków podbijali ich Partowie, Arabowie, Mongołowie, Turcy i Persowie. Po pierwszej wojnie światowej znaleźli się

we władzy ludzi Zachodu. Ci zaś, poduszczeni pychą zdobywców, wzięli pióra i zaczęli nimi kreślić linie na mapie Azji, tworząc państwa tam, gdzie przedtem ich nie było. I tak już na zawsze podzielili kraj Kurdów.

Wioska mojej babki nazywała się Sandor i była zamieszкана przez kurdyjskich żydów. Do tejże wioski wjechał raz na pysznym koniu mężczyzna imieniem Salomon i skradł serce mojej babki. Mężczyzna ów posiadał był już tysiąc dziewic i spłodził wiele nieślubnych dzieci, lecz matka mojej matki nie chciała uwierzyć, że mógłby ją porzucić.

Porzucił ją, a jakże.

By złagodzić jej ból nagłego rozstania i zadośćuczynić za zmarnowane przez niego życie, Salomon Człowiek przysłał mojej babce sto złotych monet oraz bransoletę w kształcie węża.

Kupił tę bransoletę w Egipcie, gdzie przez jakiś czas żył z czarną kobietą biegłą w sztukach tajemnych. Była to złota spirala zwinięta trzy razy, zakończona główką węża z rubinowymi oczyma. Nabył ją specjalnie dla mojej babki - egipska kochanka zapewniała go, że klejnot ów przynosi szczęście - ale babka nie mogła się pogodzić z myślą, że Salomon ją opuścił. Owinęła więc złotego węża na kostce swojej córki. Później splotła jej włosy w sto warkoczy i na każdym uwiązała jedną złotą monetę. Zakazała dziewczynce rozplatać warkocze, dopóki ojciec nie wróci.

Moja matka dożyła w stu warkoczach lat dwudziestu, nim w końcu znużyło ją czekanie. Salomon nie wrócił; zamiast niego pojawił się jej przyszły mąż.

Był Kurdem, sunnitą, nie znającym spokoju koczownikiem na szybkim koniu, który przez całe życie walczył to w tej, to w innej partyzanckiej armii, to w tym, to w innym powstaniu. Niezmiennie ponosił klęski, lecz nie przyjmował ich do wiadomości, pogodzenie się z porażką oznaczałoby bowiem konieczność rezygnacji z jedyne go życia, jakie znał. Między pierwszą a drugą wojną światową walczył w trzech wielkich powstaniach. Każde z nich upadło. Patrzył, jak ćwierć miliona jego rodaków ginie w bitwach albo we śnie z rąk tureckich żołnierzy. Widział, jak Turcy palą setki kurdyjskich wiosek i nie pozwalają Kurdom używać ojczystego języka. Pewnego ranka w

roku 1937, po kolejnej przegranej wojnie, przypadkiem trafił do zapadłej wioski w sercu gór Zagros. Jechał wąską uliczką pełną dzieci i owiec, mijając domy z żółtej i czerwonej gliny przylepione tarasami do stoku, tak że dach jednego domu niemal dotykał progu następnego. Małe okna pomalowane na jaskrawoniebieski kolor otwierały się do środka, ukazując bielone ściany malowane w kwiatowe wzory. Wewnątrz młode dziewczęta przędły bawełnę albo tkwały dywany na krosnach.

Na końcu uliczki ojciec się zatrzymał. Ciemnozielone drewniane drzwi otwierały się do dużej izby ze stropem z drewnianych belek. Jedną jej stronę zajmowały owce. Druga, przeznaczona dla ludzi, zagracona była pościelą i garnkami. Na środku stał duży piec wkopany w polepę. Z sufitu zwisały girlandy ususzonych w ciągu zimy owoców i warzyw. Mniejsze drzwi, dokładnie naprzeciw wejściowych, prowadziły na zalane słońcem wewnętrzne podwórko.

Stała na nim moja matka, paplając z córką sąsiadów. Plecami zwrócona do drzwi, nie zauważyła wędrowca. On zaś stał za nią i patrzył na jej ciało spowite w kilka warstw kolorowych tkanin, na jej ciemne, gładkie włosy splecione w trzy rzędy warkoczy, z których każdy zakończony był złotą monetą. Kiedy poruszała głową, warkocze kołysały się, migocząc złotem.

Zakochał się w niej, jak później opowiadał, nie widząc jej twarzy. Potem się odwróciła.

Miała jasną skórę, ciemne oczy, czarne rzęsy i najmiłszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widział. To też go w niej ujęło - że uśmiecha się tak łatwo, nie jest nieśmiała ani wyniosła i nie boi się obcych. W przeciwieństwie do innych ludów Bliskiego Wschodu Kurdowie nie każą kobietom zasłaniać twarzy ani mówić szeptem. Ojciec zapytał, czy wskaże mu drogę do herbaciarni. Odparła, że może pożywić się u niej. Podała mu miód, świeży jogurt i stuletnie wino, które było zakopane w ziemi.

Tego roku ojciec odwiedzał ją jeszcze wiele razy. Jego intencje były wyraźne, ale źle ulokował uczucia: żydom i muzułmanom nie wolno było się pobierać. Ponadto dziewczyna wychowana w wiosce nie zniesie ciężkiego życia koczowników. Ale moja matka była odważna i uparta. Szła za głosem serca. Spotykała się z ukochanym nocą

w górach za wioską; pozwoliła mu zdjąć swój czerwony szal i całować się w usta. Powiedziała mu, że ma dwie możliwości: albo będzie czekał na nią dotąd, aż oboje postarzeją się i zgorzknieją, albo też może posłużyć się uświęconym przez tradycję sposobem - porwać dziewczynę, której pragnie.

Porwał ją o północy, kiedy wioskę zaległy księżycowe cienie. Rankiem sąsiedzi ujrzeli, że łóżko dziewczyny jest puste, jej honor pogwałcony. Ale moja matka była już daleko, w namiocie na stepie.

Kobiety z plemienia mojego ojca tkwały wełnę czarnych kóz na poziomych krosnach, a następnie zszywały długie pasy tkaniny w gigantyczną kopułę. Każdego lata rozpięły ją na trzymetrowych słupach, boki zaś osłaniały splecionym ze słomy płótem, który sięgał brzegów tkaniny. Wewnętrzna strona płotu malowana była w jaskrawe, czerwono-żółto-niebieskie geometryczne wzory. Ziemię pokrywały barwne dywany utkane przez dziewczęta z plemienia. W każdym takim namiocie żył cały klan wraz ze stadem owiec - dziesiątki ludzi związanych przez krew i okoliczności. Ich ojcowiznę stanowiło tylko te parę namiotów, ledwie widocznych w stepie na irańsko-tureckiej granicy.

Żony koczowników pracowały i podróżowały wraz z mężczyznami. Dziewczęta uczyły się jeździć konno i strzelać. Rodzice nadawali synom imiona po walecznych matkach. Ale ich związek z ziemią był ulotny; gdy nadchodziła jesień, w ciągu jednego ranka zwijali namioty, troczyli je do siodła i ruszali z gór Iranu w doliny Iraku, gdzie spędzali długą zimę w kamiennych domostwach wzniesionych na skalistej, nieurodzajnej glebie.

Widzisz, nie poznałam kraju mojej matki. Stał się dla mnie baśniowym królestwem, w którym mężczyźni o jasnych głosach wyruszali konno na poszukiwanie pięknych kobiet.

Znam tylko krainę mego ojca, w której urodziłam się i wychowałam. Pamiętam namiot, pamiętam kamienny dom w Iraku. Jeszcze dziś, choć odeszłam stamtąd tak daleko, że z trudem rozpoznaję się we wspomnieniach, pamiętam wczesne ranki na stepie, gdzie obozowaliśmy, gdy byłam dzieckiem. Widzę kolor wzgórz na wiosnę,

miliony kwiatów ścielących się aż po horyzont i tysiące gwiazd spadających rześście z nocnego nieba. Po tylu latach wciąż słyszę ciszę gór, słyszę mowę plemienia żyjącego w świecie, w którym nikt obcy nie postawił stopy. Byliśmy wolni; przekraczaliśmy granice, nigdzie nie zapuszczając korzeni. Pamiętam głęboki po kolana śnieg na górskich przełęczach; podtrzymywana przez matkę nachylałam się z konia, żeby dotknąć białego puchu. Pamiętam powietrze falujące w skwarze nad nagimi skałami; znajdowałam strumień wezbrany od topniejących wiosną śniegów i rzucałam się do niego w ubraniu. Był to świat piękna i swobody - a jednak ta dzika, spokojna kraina, którą tak ukochałam, zniszczyła moją matkę.

Gdy tylko dotarli na miejsce, zrozumiała, że popełniła błąd. Była kobietą osiadłą, przywiązaną do swego domu, urodzoną i wychowaną w miejscu, gdzie od pokoleń grzebano jej przodków. Nie mogła znieść życia w ciągłym ruchu. Wśród koczowniców czuła się zagrożona. Była dla nich obca - nie uznali żydówki za swoją, powątpiewali w jej pochodzenie i czystość intencji, które pchnęły ją w ramiona ojca. Zapewne chciała odejść, wiedziała wszakże, iż ziomkowie nie przyjmą jej po tym, jak została porwana czy też raczej uciekła z człowiekiem innej wiary. Wiedziała też, że nie przeżyje drogi przez góry, a bez pomocy męża nie odnajdzie swojej wioski. Została więc. Tkała dywany, strzygła owce, piekła chleb i krążyła po wzgórzach w poszukiwaniu leczniczych ziół, które mogłyby ukoić jej smutek. Kiedy spostrzegła, że jest brzemienna, postanowiła pogodzić się z losem i stworzyć dom dla siebie i swojego dziecka. Uplotła nowy płot ze słomy, by odgrodzić swoją część namiotu, i pomalowała go w kwiaty i ptaki Sandoru, stworzenia zapamiętane z dziecinnych baśni, czujne oczy i ochronne amulety własnej tradycji. Utknęła kolebkę z delikatnej bawełny, pas lśniącego jedwabiu, by zawinąć mnie, kiedy przyjdę na świat, i nowy miękki dywan, na którym będzie kładła mnie do snu.

Potem zaczęły się jej śnić węże.

Zjawiały się każdej nocy i na początku wcale jej nie przerażały: złociste węże leżały w jej pościeli, pełzały po jej udach, patrzyły na nią rubinowymi oczyma. Opowiedziała sny plemiennej akuszerce. Dowiedziała się od niej, że urodzi dziewczynkę: wąż we

śnie mężczyzny zapowiada bogactwo; we śnie kobiety -przyjście na świat potomka płci żeńskiej.

Matka się ucieszyła. Dziewczynka, pomyślała, będzie jej najlepszą przyjaciółką, stałą towarzyszką, tą jedyną osobą na świecie, która ją zrozumie. Ale z nocy na noc węże ciemniały i stawały się coraz groźniejsze. Miały po kilka głów, czaiły się w mroku i kąsały ją znienacka. Przypomniały jej opowieść, którą słyszała w dzieciństwie - o złym królu Zahhaku, który zabił własnego ojca, żeby odziedziczyć dziesięć tysięcy koni. Kiedy Zahhak objął władzę nad siedmioma ziemskimi królestwami oraz krainą wrózek i gigantów, odwiedził go demon, który pocałował króla w ramię. Z każdego miejsca, którego dotknęły wargi diabła, wyrósł wąż na dowód czarnych myśli króla i jego złych uczynków.

Co noc zrodzone z diabelskiego pocałunku węże nawiedzały moją matkę we śnie. Przerazona budziła się z krzykiem i bała usnąć z powrotem. Po jakimś czasie zaczęły ją nachodzić na jawie.

Spostrzegala je w jaskrawym słońcu i w cieniu, uciekała krzycząc i błagając o pomoc, choć prócz niej nikt ich nie widział. Kiedyś, usiłując strząsnąć węża, który zatoił zęby w jej ciele, rzuciła się w ognisko i poparzyła sobie nogę. Innym razem złapała nóż i rozcięła sobie ramię aż do kości, żeby -jak mówiła - wycisnąć jad.

Aby uleczyć koszmary, mój ojciec wziął ją na pielgrzymkę do grobu świętego męża nieopodal miasta Sakkez. Matka wetknęła kij w ziemię obok grobu, powiesiła na nim swój czerwony szal i zaniósła błagania do ducha świętego mędrca. Gdy tylko się odwróciła, kij zmienił się w dwugłowego węża i zaatakował ją.

Udali się w drugą pielgrzymkę, tym razem do pewnego duchownego w Iraku. Człowiek ten uwarzył magiczną polewkę i uderzał w ceremonialny bęben, by wypłoszyć demony zamieszkujące duszę mojej matki. W owym czasie była już w ósmym miesiącu ciąży, plemię zaś przeniosło się z zimowych siedzib do namiotów na turecko-irańskiej granicy. Na jakiś czas węże znikły.



Urodziłam się w namiocie. Matka tuliła mnie w ramionach i śpiewała mi do snu, nosiła mnie w węzełku na plecach i przemawiała do mnie tak, jakbym mogła ją zrozumieć. Pewnego ranka spojrzała prosto w słońce. Zobaczyła, że niebo pęka na tysiąc kawałków i sypie się z niego grad czarnych węży.

\*

Przez całe dzieciństwo wypatrywałam u niej znaków narastającego obłędu. Tkałam dywany i pasłam stado, prałam odzież w potoku i gotowałam jadło. Od dziecka byłam silna, silniejsza niż inne dziewczynki w plemienu, a nawet niż wielu chłopców, pracowałam bowiem za oboje rodziców, kiedy ojciec szedł na wojnę, a matka była chora. Nie nauczyłam się czytać ani pisać, ale znałam się na leczniczych ziołach, umiałam przyjąć źrebię od rodzącej klaczy i walczyć.

Często biłam się z innymi dziećmi, gdy dokuczały mi nazywając dziwaczką, córką obłąkanej. Skakałam do oczu ich rodzicom, którzy traktowali moją matkę jak zwierzę, i szarpałam się z ojcem, gdy zrozpaczony wracał ze swoich przegranych wojen i widział w matce kolejnego wroga. Podczas ataków przywiązywał ją do słupa podtrzymującego namiot, a ona szamotała się, wyła i błagała, żeby ją uwolnić, aż w końcu wyczerpana traciła przytomność albo zębami rozrywała więzy i uciekała w step.

Żyliśmy pośród ciągłych przemian. Nasze bezpieczeństwo zależało od woli Boga, kaprysu żywiołów, łaski dalekich królów i zdobywców, którzy krzywym okiem patrzyli na niepodległość Kurdów i starali się nas okiełznać, zmusić do przyjęcia ich prawa, ich warunków.

Kiedy rozpoczęła się druga wojna światowa, ojciec dołączył do kolejnej powstańczej armii i zniknął na wiele miesięcy. Wrócił z płucem przestrelonym przez syryjskiego policjanta. Potem cierpiał na duszności i nie mógł długo jeździć konno.

W duszy mojej matki okresy spokoju przeplatały się z okresami opętania. Całymi miesiącami była dla mnie opoką i bezpieczną przystanią, po czym pewnego ranka bez ostrzeżenia zniknęła z domu i uciekała w góry, gdzie błąkała się przez wiele dni nie

dbając o mój los, dopóki ojciec nie sprowadził jej z powrotem do namiotu. Trzymała mnie na kolanach i mówiła do mnie, nim jeszcze nauczyłam się mówić, kładła obok siebie i kołysała do snu, ale potrafiła też cisnąć mną w drugi koniec namiotu, żeby uchronić mnie przed ukąszeniem wymyślanego węża.

„Jej duszą zawładnęły dżinny”-mawiali starcy plemienia i starali się ją uleczyć znanymi od wieków sposobami. Odmawiano modły, wypisywano i wieszano jej na szyi talizmany. Zabijano ofiarne zwierzęta, których krwią smarowano dłonie i stopy matki. Rozpalano ognie, w których płonęły imiona jej wrogów. Dżinny na jakiś czas opuściły jej ciało, po czym znów wracały.

Pomiędzy atakami szału matka malowała na swoich dłoniach.

Raz na kilka tygodni budziła się przed świtem i chwytła pędzelek. Czułam, że wstaje, bo spałam tuż obok niej. Patrzyłam, jak miesza z wodą ciemny proszek, po czym siada na ziemi przed namiotem. Nieczuła na poranną mgłę czy chłód zimy, rysowała cierpliwie, z wielką precyzją, ani na chwilę nie podnosząc wzroku. Szłam za nią, wdrapywałam się jej na kolana, ale matka mnie nie dostrzegała. Nie odpowiadała na nawoływania ojca. Inne kobiety, biorąc się do codziennych prac, wzywały ją do pomocy i ganiły za lenistwo, lecz była głucha na ich słowa.

Słońce wstawało i zachodziło, zapadała noc. Tylko dłonie matki jaśniały w świetle księżyca.

Nazajutrz gdy henna wyschła, matka pokazywała mi rysunki. Miała piękne ręce, białe, smukłe i gładkie. Mój mąż twierdzi, że to niemożliwe - kobieta pracująca na co dzień przy krosnach, stryżeniu owiec i budowie namiotów miałaby pokaleczoną, zgrubiałą skórę.

Mój mąż może sobie rozumować logicznie. Ja wiem, co pamiętam - co chcę pamiętać.

Rysunki były tak maleńkie i tak zawikłane, że zwykle musiałam wpatrywać się przez dłuższą chwilę, nim zorientowałam się, co przedstawiają. Zaczynała od końców palców posuwając się ku wnętrzu dłoni, a potem wzwyż od nadgarstka, tak że obraz koncentrował się wokół umieszczonej w środku postaci. Za każdym razem malowała

co innego - wioskę z kozami i końmi, łańcuch gór, z których spływał potokami topniejący śnieg, dom o wielu komnatach i dziedzińcu wypełnionym ludźmi. Każdy miniaturowy element odtworzony był precyzyjnie, ze wszystkimi szczegółami. W samym centrum, otoczona ścianami i barierami, których nie mogła pokonać, widniała niezmiennie samotna kobieta o zdziwionych oczach, w koronie ze złotych monet.

Z wiekiem zdałam sobie sprawę, że rysunek jest labiryntem, że kobieta szuka wyjścia na zewnątrz, poza dłoń. Chcąc jej pomóc, wodziłam palcem wzdłuż linii, cofając się wielokrotnie ścieżkami wyobraźni mojej matki, ale każda prowadziła z powrotem do centrum, każdy wylot był ślepy, a pozornie oczywiste drogi rodziły tylko złudne nadzieje.

Znalezienie drogi wyjścia stało się dla mnie sprawą najwyższej wagi. Miałam uczucie, że matka chce tego ode mnie, że pokazując mi pomalowane dłonie prosi, bym pomogła jej znaleźć wyjście z labiryntu. Szukałam bez tchu, łzy rozpaczony płynęły mi z oczu, a matka, widząc me rozczarowanie, zaciskała pięści każąc mi przestać.

Kochałam jej ręce i kochałam te rysunki, mimo że były wyrazem beznadziei, mimo że inni widzieli w nich dzieło dzinnów zamieszkujących duszę mojej matki, mimo że ojciec, który w to wierzył, a może po prostu za wszelką cenę chciał ją ratować, pewnego dnia połamał pędzelki, henne zaś wrzucił do rzeki. Żadna z kobiet plemienia nie знаła mojej matki tak jak ja. Nawet ojciec, który zapewne ją kochał - a w każdym razie myślał, że jej miłość uleczy go z desperacji. Nawet on nie znał swojej żony.

To nie rysunki wpędzały ją w obłąd, tylko niemożność znalezienia drogi wyjścia ze świata, do którego lekkomyślnie zapuściła się tamtej nocy, pędząc konno z ukochanym.

Podobnie jak kobieta na środku dłoni otoczona drogami wiodącymi donikąd, skarłała wobec przeszkód - w istocie tak małych, że mieściły się na czubku pędzelka - podobnie jak tamta narysowana kobieta moja matka szukała drogi ucieczki.

Dziwne, jak umiera nadzieja: czepiamy się jej przez całe życie mimo wszelkich dowodów, że to bez sensu, aż nagle jedno drobne wydarzenie, jedna porażka znaczy

kres naszej wiary. Pewnego ranka kiedy miałam osiem lat, obudziłam się i zobaczyłam, że matka patrzy na mnie pustymi oczyma. Obcięła sobie włosy tuż przy skórze.

To prawda, pomyślałam wtedy, co mówią starsi plemienia: że węże zrodziły się z jej żydowskiej krwi, że to ja, jej dziecko, otworzyłam złym duchom drogę do jej łona. Szaleństwo jest w niej i we mnie i przekażę je swojemu dziecku.

Oczywiście mój mąż tłumaczy to inaczej. Wertuje opasłe medyczne księgi i mówi: „Schizofrenia. Poważna choroba psychiczna charakteryzująca się nieprzewidywalnymi zaburzeniami toku myślenia. Zwykle ujawnia się około dwudziestego roku życia. Chory w charakterystyczny sposób traci kontakt z rzeczywistością;

jego rozumowanie przebiega krętymi, sprzecznymi z logiką torami."

Profesor zawsze szuka odpowiedzi w książkach. Woli suche naukowe teorie, bezpiecznie oddalone od życia. „Nauka odróżnia człowieka od zwierząt", mawia. Wyniosłe cedzi słowa, sepleniąc lekko, gdy język więźnie mu w furtce między przednimi zębami. Skromnie przymyka powieki, a ja słuchając go czuję się mała i głupia. Przez lata nienawidziłam go za ten ton; za to, że porywy ludzkiego serca określał mianem „zwierzęcego instynktu, przeszkody, którą należy pokonać w imię postępu cywilizacji". Uczucia były dlań „nienaukowe, a zatem nie usprawiedliwione". Teraz wiem, że mówił to wszystko, by uwolnić się od własnych demonów.

Widział moją matkę w najgorszym okresie - przykutą łańcuchem do słupa razem z końmi, zmienioną nie do poznania. Nie dopuszczała do siebie nikogo oprócz mnie. W tym stanie ufała tylko mnie; tylko ze mną mogła się porozumieć. Profesor wie zatem, jak ciężko mi było ją opuścić, jak bardzo się za to winiłam. Dlatego chce mnie nabrać na te swoje medyczne wywody. „Ta kobieta była chora" - powiada. „Potrzebny był jej lekarz, nie niańka".

Czy to ja zrobiłam z mojej matki - matki, która kiedyś goniła mnie z rzeźnickim nożem, by odciąć mi rękę, w której upatrywała dwugłowego węża - kogoś, kim nie była?

Czasem wyobrażam sobie, że jedziemy razem konno. Ojciec wysforował się na przód z karabinem gotowym do strzału w razie napaści bandytów. Słońce ogrzewa

nam twarze, ręce matki obejmują mnie, a ja z głową przytuloną do jej serca zamykam oczy. Jej oddech mnie kołysze, unosi, aż staję się nieważka i zasypiam bez lęku.

Kochała mnie, wiem o tym. Kochała mnie i chciała mnie chronić w miarę swoich sił. W zamian ufała mi, że uwolnię ją od węży.

\*

Kiedy miałam trzynaście lat, w naszym letnim obozie pojawił się mężczyzna uzbrojony w wieczne pióro i notes. Mówił dialektem południowych Kurdów, zrozumiałym jedynie dla nielicznych członów naszego plemienia. Używał górnolotnych słów i zwrotów, co nie zdobyło mu wśród nas sympatii. Był blady i chudy, ubrany w czarny garnitur -taki, jakie tu, w Ameryce, noszą przedsiębiorcy pogrzebowi - wyświecony i tak znoszony, że nawet na wieszaku zachowywał kształt ciała, wybrzuszając się na kolanach i łokciach. Nieco szyku dodawały mu kamizelka, kieszonkowy zegarek z dewizką i skórzane sznurowane buty. Nasz gość używał też białych chusteczek z haftowanym monogramem, złotej papierośnicy i laski. Uznałam go za dziwaka, wybryk natury - stworzenie tak różne od nas, tak nieprzystosowane do świata, w którym żyłam, że miałam ochotę uderzyć go pięścią, roztrzaskać ten kruchy, złudny obraz mężczyzny. Towarzyszył mu tłumacz, który pełnił również obowiązki przewodnika i lokaja, a nawet kosztował jego jadło. Za jego pośrednictwem powiadomił nas, że przyjechał studiować nasz język. Jest ważną osobą, profesorem słynnej szkoły w miejscu zwanym Ameryką, największą rozkosz zaś sprawia mu badanie martwych lub ginących języków, ich pochodzenia oraz kultury ludów, które się nimi posługują.

Dla mnie był babą przebraną w męski strój. Bał się gór, nie potrafił się po nich samodzielnie poruszać, ziemia zaś napełniała go taką odrazą, że nawet gdy stał, unosił czubki palców u stóp. Siadał tylko na krześle - wystruganym z drewna stołku, który tłumacz wszędzie za nim nosił i ciągle wycierał szmatką. Pomimo to Profesor zawsze sprawdzał, czy nie ma na nim kurzu. Krzesła, jak powiedział mipóźniej, wynaleziono po to, by odróżnić człowieka od zwierząt.

Spojrzałam na niego tylko raz i już wiedziałam, że nigdy więcej nie chcę go widzieć na oczy. Ale on już zwrócił na mnie uwagę i nie miał zamiaru odejść z kwitkiem.

Przez jakiś czas tylko mi się przyglądał. Przychodził do naszego namiotu - niby po to, żeby rozmawiać z krewnymi ojca, zapisywać używane przez nich słowa i zwroty i dociekać korzeni naszego dialektu. Język Kurdów nazywa się kurmanji, nie jest wszakże jednolity: można w nim wyróżnić dwie powszechniejsze i dwie rzadsze odmiany, w każdej z nich zaś pół tuzina dialektów. Co więcej, kurdyjscy żydzi mówią po aramejsku -| w starożytnym języku, który już ginął w czasach, gdy byłam dzieckiem. Profesor zadawał pytania i zapisywał odpowiedzi w dzienniku, który obnosił z taką czcią jak świętą księgę.

Byłam już na tyle duża, by domyślić się motywów jego zainteresowania moją osobą, i na tyle dojrzała, by wiedzieć, że perspektywy znalezienia męża wśród członków plemienia nie przedstawiają się dla mnie różowo. Byłam pół-Żydówką, córką obłąkanej kobiety, a do tego dzieckiem samowolnym i upartym, z którym nawet ojciec nie mógł sobie poradzić. Odkąd wyrosłam z powijaków, starsi napomykali, że mogą mnie porwać i uwięzić ludzie chana. (Chan rozsyłał po całym kraju jeźdźców w poszukiwaniu ładnych dziewczynek, z których kiedyś wyrosną piękne kobiety.) Mojemu ojcu dano do zrozumienia, że to nie najgorsze wyjście i powinien mieć dość rozumu, by nie sprzeciwiać się wysłannikom chana.

Dorastając, widziałam, jak patrzą na mnie chłopcy. Ich matki także podziwiały mą urodę. Byłam jednak świadoma, że płynąca w żyłach krew liczy się o wiele bardziej niż powierzchowność, toteż czułam, że powinnam być wdzięczna Profesorowi - ale nie byłam mu wdzięczna.

Czułam do niego odrazę. Był niski jak karzeł, muskał swe odzienie lub ciało wyłącznie czubkami palców i traktował nas, Kurdów, jakbyśmy byli kroplami atramentu na stronach jego notesu - dotknij, a rozmażą się w wielkie, brzydkie plamy. Już po ślubie zrozumiałam, że maskował nieśmiałość arogancją; kompensował brak pewności siebie onieśmielając innych. Bał się własnych uczuć-kipieli gniewu, pożądania i smutku, wrzących pod powierzchnią jego gładkich manier - toteż wolał patrzeć na świat

okiem naukowca, dusić ogień, nim lizną go płomienie. Ale nawet gdy już nauczyłam się go rozumieć, nie mogłam pozbyć się uczucia, że pod tym wszystkim - pod czarnym garniturem, zegarkiem z dewizką i latami studiów - kryje się człowiek, który rozminął się ze swoim szczęściem.

Dwa miesiące po pierwszej wizycie w obozowisku Profesor przyszedł porozmawiać z moim ojcem.

Posługiwał się już naszym dialektem. Oznajmił, że chce powiedzieć kilka słów o sobie i że ja również powinnam to usłyszeć, choć bowiem jestem młoda, nie powinno się mnie wykluczać z rozmowy o moim przyszłym losie.

W owym czasie matka spędzała całe dni przykuta do pala za namiotem, a ojciec i ja nie odzywaliśmy się do siebie. Gdy więc ojciec zawołał mnie, żebym przyszła wysłuchać Profesora, odmówiłam, ale przyczałam się na tyle blisko, by słyszeć, o czym mówią.

Profesor rzekł, iż przyjechał do Kurdystanu z dwóch powodów: jednym z nich oczywiście była chęć badania języka Kurdów; drugim - pragnienie znalezienia żony, którą weźmie ze sobą do kraju. Starannie rozważył wszelkie możliwości, kierując się także względami praktycznymi. Chce poślubić Kurdyjkę, w naszych żyłach bowiem płynie aryjska krew; ponadto jesteśmy silni fizycznie i psychicznie i łatwo się przystosowujemy. Nasza jasna cera nie zwróci uwagi wśród Amerykanów. Szuka młodej dziewczyny, chętnie analfabetki, zamierza bowiem sam ją wychować i wykształcić. Nadmienił, że ma duży dom w Ameryce i bardzo dobrą pracę, a choć urodził się w Egipcie, uważa się za człowieka Zachodu, ponieważ spędził całe dorosłe życie w Europie, a następnie w Ameryce. Wiele mówił o cywilizacji, wypowiadając słowa wolno i metodycznie i nie patrząc w oczy ani mojemu ojcu, ani komukolwiek z zebranej w namiocie starszyny. Zdania oddzielał długimi przerwami, jakby chcąc zrobić wrażenie na słuchaczach i dać im do zrozumienia, że mają przed sobą prawdziwie wielkiego człowieka. Powiedział, że celem ludzkości jest postęp, że historia naszego gatunku jest historią walki między prawem a chaosem. Potem zaoferował się, że wyrwie mnie z dziczy i zawiezie do Ameryki.

Nim jeszcze ojciec zdążył zaczerpnąć tchu lub choćby zastanowić się nad odpowiedzią, rzuciłam się na Profesora z pięściami, każąc mu iść precz. Krzyczałam, że prędzej poderżnę mu gardło, nim pozwolę się dokądkolwiek zabrać, że najlepiej uczyni, jeśli zniknie nam z oczu i wróci do tej swojej cywilizacji, z której jest taki dumny. Ojciec, wściekły, że przemówiłam za niego, złapał mnie i uderzył. Zaczęliśmy się szamotać - ja kopałam i gryzłam, on usiłował mnie przywołać do porządku; w końcu inni nas rozdzielili. Doskoczyłam do Profesora, który nieco przybladł, i pchnęłam go obiema rękami, wrzeszcząc: „Idź do diabła!”

Oczywiście nie odszedł.

Profesor potrafił czekać. Nauczył się tego w czasie długich studiów, a także w ciągu lat oczekiwania, aż stanie się człowiekiem, którym chciał się stać. Wychował się w Iraku. Wcześniej uświadomił sobie, że nie chce żyć tak jak jego przodkowie, że przeznaczono mu inny los. By jednak osiągnąć wytyczony cel, musiał czekać: trzymać swoje pragnienia na wodzy, okazywać kamienną twarz, a tymczasem stopniowo przebudowywać siebie, najpierw we własnym umyśle, później w oczach bliźnich. Nauczył się więc czekać i używać logiki dla okiełznania pragnień. Zapewne w końcu nauczył się też, jak kupić serce, którego nie mógł zdobyć miłością.

Przez kilka tygodni trzymał się z dala ode mnie. Wrócił do Mosulu i wynajął tam pokój, by wykorzystać ten czas na uporządkowanie swoich notatek i wniosków. Pod jego nieobecność starsi plemienia mieli sposobność zganić ojca za to, że nie nauczył mnie moresu, a także przypomnieć mu, ile mam lat i że Profesor - mimo swego wyglądu i afektowanych manier - jest przypuszczalnie najlepszym kandydatem na męża, jaki mi się kiedykolwiek trafi. Były to lata rozpacz po zakończeniu drugiej wojny światowej, gdy ruch niepodległościowy zamarł i setki tysięcy Kurdów z samej Turcji emigrowały na Zachód. Tylko w Niemczech ich liczba osiągnęła zawrotny poziom, lecz wyjeżdżali też do innych krajów Europy, a niektórzy nawet do Ameryki. Mój ojciec, który stracił młodość i zdrowie w walkach o swą ojczyznę, żywił jeszcze mniej nadziei na przyszłość niż inni. Chętnie wysłałby mnie do Ameryki, gdyby nie to, że podobnie jak ja nie cierpiał Profesora i też poczuł ulgę, kiedy ten odjechał.



Właśnie mieliśmy zwinąć letni obóz, gdy Profesor zjawił się znowu wraz ze swym notesem i drepczącym mu po piętach tłumaczem.

Przywiózł mi podarki z miasta - pęk złotych bransoletek, sukienkę w zachodnim stylu, pudełko marcepanowych cukierków w pastelowych kolorach kupionych w ormiańskiej piekarni w Mosulu. Rankiem wszedł do namiotu i ofiarował te dary memu ojcu jak staremu druhowi, jakby zgodnie z tradycją przywiózł z długiej podróży pamiątki dla swych bliskich. Wyciągał je pojedynczo, kładł na dywanie, na którym siedział ojciec, i objaśniał ich wartość oraz zastosowanie, starannie unikając przy tym nawet jednego spojrzenia w moją stronę. Nie czynił tego skromnie, nie pomniejszał wartości prezentów, jak to jest w zwyczaju na Wschodzie, nie podkreślał, że są niczym wobec rangi i godności mego ojca. Z czasem dowiedziałam się, że ludzie Zachodu postępują inaczej, ale owego dnia zarówno ojcu, jak i mnie oraz wszystkim członkom plemienia Profesor wydał się zwykłym gburem. Na koniec pokazał nam pierścionek swojej babki.

Z namaszczeniem sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął z niej szmaragd wielkości złotej monety. Był on owalny, osadzony w wianku drobnych brylantów, przejrzysty i tak piękny, że wycisnęłyby łzy zachwytu z oczu każdego jubilera. To ślubny pierścień jego babki, wyjaśnił nam Profesor, który zapisała mu w testamencie. Kamień miał z lewej strony drobnutki, ledwie dostrzegalne pęknięcie, które umniejszało jego wartość, ale potęgowało wyjątkowość klejnotu przekazywanego z pokolenia na pokolenie.

Profesor położył pierścień na europejskiej sukience, która leżała przed ojcem niczym beztroski trup, po czym został i oznajmił, że teraz da nam czas, abyśmy przemyśleli jego propozycję i zastanowili się, co będzie dla mnie najlepsze.

Tamtej zimy odwiedzał nas jeszcze dwukrotnie. Przywoził prezenty ojcu, siadał przy mojej matce i rozmawiał z nią po aramejsku, aż udało mu się przykuć jej uwagę. Powiedział ojcu, że istot ludzkich nie wolno pętać jak bydło, że z braku innych środków mogących uleczyć obłęd i uchronić matkę przed węzami, zalecałby użycie opium dla uspokojenia jej nerwów. Zdołał nawet przekonać ojca, by zwrócił jej hennę i pędzelki zabrane przed paru laty.

Powoli, w miarę jak śniegi zaczęły tajać, a ziemia odmarzać, miękł również mój sprzeciw.

Bynajmniej nie polubiłam Profesora. Nie chciałam porzucać koczowniczego życia, które było dla mnie wszystkim, ani mieszkać w Ameryce. Nie pragnęłam też pierścionka, który mi ofiarował. Zaświtała mi jednak mglista myśl, że przyjmując jego oświadczyzny zdołam zmienić bieg własnego życia i ulżyć smutkom rodziców.

Chyba szczerze w to wierzyłam. Wierzyła w to też moja matka. Pewnego ranka wiosną 1951 roku o świcie weszła do namiotu, w którym spałam, i ujęła mnie za rękę. Byłam zaskoczona, widząc ją tak spokojną; zdumiona, że odważyła się do mnie podejść, dotknąć mnie bez obawy. Wstałam pojmując, że czegoś ode mnie chce. Kiedy wyszłam z namiotu, ujrzałam pędzelek i rozrobioną hennę.

Tym razem wszakże matka chciała pomalować moją dłoń. Ujęła ją lewą ręką, ukłękła na ziemi i zaczęła pracę.

Zadygotałam, gdy pędzelek dotknął skóry, ale matka uśmiechnęła się tylko i malowała dalej. Siedziała zgarbiona, z opuszczoną głową, włosy - znów długie, lecz skołtunione i brudne - spadały jej na twarz. Patrzyłam, jak jej ręka z wolna porusza się nad moją, kreśląc na mej skórze cienkie brązowe linie. W miarę jak henna schła i wsiąkała w skórę, obrazy stawały się wyraźniejsze; po chwili rozpoznałam znajomy szablon i zadałam sobie pytanie, czy matka chce w ten sposób przekazać mi swe dziedzictwo.

Widząc kobietę w labiryncie, osaczoną i niezdolną się z niego wyrwać, jęknęłam, zacisnęłam rękę w pięść i zerwałam się z miejsca, matka jednak przytrzymała mnie za nadgarstek i siłą rozwarła moją dłoń

- Patrz - powiedziała. - Przypatrz się uważnie. Przez łyzy ujrzałam linię biegnącą ze środka rysunku

w dół, w stronę przegubu - wąską rzekę biegnącą ku morzu i dalej, do miejsc, których matka nie namalowała.

- Spójrz uważniej - powtórzyła. - Dla ciebie jest wyjście.

Pobraliśmy się w 1951 roku na letnim obozowisku w górach Iranu. Zgodnie z kurdyjskim zwyczajem ubrana byłam w wiśniową, długą do ziemi spódnicę i lawendowy kubraczek ze srebrnym haftem, a na twarzy miałam tradycyjny czerwony welon. Profesor przybył odziany w biały garnitur - taki, powiedział, jakie cywilizowani ludzie noszą w Anglii na wyścigi.

Oplacił wędrownego mułłę, by odprawił ceremonię w obrzędku sunnickim. Mułła recytował modły po arabsku. Profesor powtarzał je bez trudu, bo dobrze znał ten język, potem wyjął swoje wieczne pióro ze złotą skuwką i podpisał kontrakt małżeński, stwierdzając, że uznaje prawo Proroka. Ręka nawet mu przy tym nie zadrżała, lecz gdy kładł swe nazwisko na papierze, czułam, że ukrywa więcej, niż nam wyjawiał.

Właściwie nigdy nas nie okłamał. Nigdy nie powiedział ojcu ani mnie, że jest mużłmaninem, ale nie powiedział też, że jest żydem. Miał jasną skórę i delikatne rysy jak wielu arabskich żydów, na co ojciec już wcześniej zwrócił uwagę. Pochodził z Basy, w której od wieków mieszkało wielu żydowskich kupców, można zatem było domniemywać, iż jest jednym z nich, sam wszakże nigdy nie powiedział tego wprost, a my nie pytaliśmy. O religii rozmawiał w kategoriach abstrakcyjnych, o swym pochodzeniu nie mówił wcale. Bąknął tylko, że opuściwszy Wschód oderwał się raz na zawsze od korzeni.

Siedział przy mnie w namiocie z lampą i zwierciadłem, usiłując być miły i serdeczny dla ludzi, którzy tłoczyli się wokół, śpiewali i dotykali nas na znak sympatii. Potem obszedł wraz ze mną obozowisko. Okrążyliśmy każdy namiot, niosąc lampę i zwierciadło - symbole światła i dobrego losu. Profesor twarz miał okrytą potem i wzdrygał się lekko za każdym razem, gdy tłum gęstniał albo śpiew stawał się zbyt głośny. Pilnował się, żeby nie stać zbyt blisko mnie, toteż ani nasze ciała, ani spojrzenia nie zetknęły się nawet na chwilę.

Patrzyłam na niego i myślałam, że nosi głęboko w sobie bolesną tajemnicę; że wychodząc za niego wzięłam ten sekret na swoje sumienie. Teraz zabierze mnie do swego głuchego domu i zamknie w nim na zawsze.

Pojechaliśmy samochodem nad Morze Kaspijskie, stamtąd pociągiem do Teheranu. Po raz pierwszy w życiu opuściłam góry, po raz pierwszy podróżowałam inaczej niż konno. Po raz pierwszy też zobaczyłam morze.

Byłam przerażona nowym otoczeniem. Nie mogłam spać po nocach. Zastanawiałam się, czy zdołam przeżyć w tym nowym świecie, czy kiedykolwiek uda mi się zasnąć pod cegłami i gipsem, czy ulice, po których chodzę, budynki, które oglądam, kiedykolwiek staną się dla mnie domem. Myślałam o rodzicach, o tym, czy matka w ogóle zdała sobie sprawę, że mnie nie ma, czy inne dziewczęta wciąż o mnie plotkują, czy ojciec jest na mnie zły...

W teherańskim hotelu Profesor wynajął dwa sąsiadujące ze sobą pokoje. Od dwóch tygodni byliśmy małżeństwem, lecz jak dotąd nie próbował mnie dotknąć. Powiedział, że mam się nie obawiać pozostania z nim sam na sam. Zaślubił mnie, by zyskać towarzyszkę życia, a nie kochankę.

Rozmawiał ze mną nie patrząc mi w oczy, niezmiennie utkwivszy spojrzenie tuż za mną albo tuż obok mnie. Kupił mi odzież w zachodnim stylu, dwie pary butów, przybory do makijażu. Wraz z zakupami przysłał do mego pokoju kobietę, która miała mnie nauczyć ubierać się i malować.

Kazałam jej odejść i zabrać ze sobą te szmaty. Profesor nie miał o to do mnie pretensji - później przyszedł sam i powiesił sukienki w mojej szafie, buty zaś w pudełkach ustawił obok łóżka. Mój ślubny pierścień leżał na toaletce. Musnął go palcem, lecz nie zapytał, czemu go nie noszę.

Odwiedzał mnie dwa razy dziennie - rano i o ósmej wieczorem. Wchodził odziany w garnitur i kapelusz, siadał na jedynym krześle i pytał, jak się czuję, czy dobrze spałam, czy smakują mi posiłki, które przysyła mi do pokoju. Nie skarżyłam się, ale chyba dostrzegł mój smutek i starał się go uszanować.

- W Ameryce - rzekł - wszystko będzie lepiej. Rozpoczniesz naukę; objaśnię ci, jak funkcjonować w społeczeństwie.

Rano przed wyjazdem z Teheranu przyniósł ze sobą mały neseserek i oznajmił, że musi mnie przygotować do podróży. Pokazał mi szminkę, otworzył lśniącą puderniczkę i opakowanie tuszu do rzęs. Dzięki nim, stwierdził, będę wyglądała doroślej, gdy staniemy przed celnikami w Nowym Jorku.

Usiadłam na brzegu łóżka i pozwoliłam mu umazać moje wargi szminką, nakreślić ciemne linie na powiekach, przyciemnić brwi ołówkiem. Robił to zafascynowany jak dziecko po raz pierwszy dopuszczone do zakazanych praktyk. Uśmiechał się lekko oceniając swe dzieło i wzdychał otwierając lśniące srebrne puzderka. Powiedział, że przypominają mu dzieciństwo. Wychował się w domu pełnym znudzonych kobiet, które snuły się tu i tam i robiły cuda, aby się upiększyć.

Kiedy skończył, zapytał, czy chcę się obejrzeć w lustrze. Uśmiechnął się, kiedy odmówiłam.

- Z czasem - powiedział - nauczysz się doceniać wartość iluzji.

Wyjął z teczki paszport i pokazał mi go, stukając palcem w stronę z moim zdjęciem i rzędem łacińskich liter.

- Tu jest napisane, że masz dziewiętnaście lat. - Zamilkł, by upewnić się, że zrozumiałam. - To bardzo ważne. Musisz to zapamiętać i tak odpowiadać, jeśli ktokolwiek cię zapyta.

Powiedział, że na Zachodzie ożenek z dziewczyną, która nie ukończyła osiemnastu lat, jest uważany za niecywilizowany i godny potępienia. Dlatego okłamał urzędnika w biurze paszportowym. Odtąd mam o sobie myśleć jako o kobiecie dziewiętnastoletniej.

- Podałem też, że jesteś chrześcijanką. W Ameryce nikt nie ufa ludziom, którzy nie należą do żadnego Kościoła.

Potem oznajmił, że zmienił mi imię.

- To, które nosisz - wyjaśnił - brzmiałoby obco w uszach ludzi, między którymi zamieszkas. Nie zechcieliby cię zaakceptować, traktowali jak dziwaczkę i robili ci różne przykrości, przed którymi nie zdołałabyś się obronić. Wybrałem wierny prze-

kład twojego imienia. Słowo „blue” oznacza błękit, kolor wód morza Marmara, najpiękniejszych na świecie.

Leciliśmy osiem godzin z Teheranu do Niemiec. Tam musieliśmy poczekać jeden dzień i kolejnym samolotem udaliśmy się do Nowego Jorku. Byłam ubrana w długą szarą spódnicę, która pętała mi nogi, beżową bluzkę ze śliskiego jedwabiu i czarne skórzane buty, które uwierały mnie w stopy. Przy każdym kroku bałam się, że się przewrócę. Kiedy samolot wylądował w Nowym Jorku, oznajmiłam, że chcę wrócić do domu. Profesor uśmiechnął się i ująwszy mnie za rękę, łagodnie poprowadził między rzędami foteli. Wysiedliśmy z samolotu i udaliśmy się do sali odpraw.

Urzędnik imigracyjny długo - zbyt długo - wertował paszport. Potem podniósł wzrok i przyjrzał się nam kolejno, jakby starał się odgadnąć, co naprawdę nas łączy.

- Proszę stanąć z boku - powiedział.

Profesor zmusił się do uśmiechu i kurczowo ścisnął trzymany w ręku kapelusz.

- Będzie chciał nam zadać parę pytań - szepnął do mnie, wyraźnie przerażony.

Stanęliśmy pod ścianą i czekaliśmy. Godzinę później, odprawivszy już wszystkich pozostałych pasażerów, urzędnik rozparł się w krześle i skinął na nas. Zapytał mnie o coś po angielsku, na co wtrącił się Profesor, wyjaśniając, że nie znam tego języka. Urzędnik wyduł wargi i rozparł się jeszcze bardziej nonszalancko. Widać było, że nie wierzy Profesorowi, drwi z niego i bawi go jego strach. Zadał mu następne pytanie, potem trzecie. Milczał przez chwilę, po czym nie spuszczać z nas wzroku zawołał czyjeś imię.

Powieki mego męża drgały, pot perlił mu się na karku. Wszedł drugi urzędnik. Tamten pokazał mu nasz paszport i powiedział coś -jak sądzę, zrelacjonował sprawę. Chcąc go przekonać o prawdziwości swoich słów, Profesor pospiesznie wyciągnął swój brulion z teczki, którą miał w samolocie.

- Uniwersytet Stanu Tennessee -powtarzał. - Katedra lingwistyki.

Dwaj mężczyźni za stołem jawnie go ignorowali. Patrzyli na mnie i rozmawiali o mnie, jak gdyby mego męża wcale tam nie było. Profesor przetłumaczył mi później

ich słowa. Zgadywali, że pewnie kupił mnie na targu niewolników gdzieś w Arabii i drogo zapłacił za tak młodą dziewczynę.

Pierwszy urzędnik zatrzasnął paszport i rzucił go na blat przed sobą. Przez chwilę wszyscy trwali w bezruchu. W końcu Profesor z wahaniem wyciągnął rękę. Dotknął paszportu, nie śmiąc go podnieść. Jego palce zastygły na okładce, wzrok utkwiał w twarzy urzędnika. Ten drugi zaśmiał się głośno i odszedł. Profesor schwycił paszport i wepchnął go do kieszeni na piersi.

- No to dobrze - wymamrotał ledwie słyszalnym głosem.

Urzędnik mierzył nas spojrzeniem bez wyrazu. Profesor nałożył kapelusz, ujął mnie pod ramię, w drugą rękę wziął teczkę. Ruszył z miejsca spieszenie, nim tamten zmienił zdanie. Zrobił już kilka kroków, kiedy górę wzięła w nim duma.

Puścił moją dłoń, odchrząknął, postawił teczkę na ziemi. Patrzyłam ze zgrozą, jak zawraca, prostując się, jakby zbierał odwagę. Stał przed urzędnikiem i wyciągnął rękę do człowieka, który tak nisko go ocenił.

- Dziękuję panu - rzekł. Ręka zawisała w powietrzu. - życzę miłego dnia.

Szliśmy przez salę odpraw ścigani drwiącymi spojrzeniami urzędników, kierując się ku drzwiom z przyciemnionego szkła prowadzącym do hali, w której pozostał nasz bagaż. Zobaczyłam naprzeciw kobietę o długich włosach i białej skórze ubraną w dziwny strój. Pewnie bym jej nie poznała, nawet przez myśl by mi nie przeszło, że mam z nią coś wspólnego, gdyby nie towarzyszący tej kobiecie niski mężczyzna w smutnym czarnym ubraniu, który wciąż trzymał ją pod ramię.

\*

Po przyjeździe do Knoxville zatrzymaliśmy się w hotelu „Andrew Johnson” na rogu Hill i Gay Street. Profesor wynajął tam pokoje, ponieważ było już późno, a nie chciał, bym weszła do jego domu po zmroku. Był to stary przesąd wyniesiony ze Wschodu - że nie powinno się po raz pierwszy przekraczać progu w zmierzchającym świetle; że drzwi otwarte w ciemność ściągają pod dach dokuczliwe dżinny i złe duchy.

Profesor nazywał hotel jego pierwotną nazwą - „The Tennessee Terrace”. Zabrał mnie na dach tego najwyższego budynku w mieście i pokazał mi most, teatr i uniwersytet, który rozrósł się z jednego budynku w całą dzielnicę. Potem poszliśmy na kolację do S&W. Tego wieczoru byliśmy tam jedynymi klientami. Pamiętam, że siedzieliśmy pośród pustych stolików rozstawionych na posadzce, w której drewno i marmur przeplatały się z terakotową szachownicą, u stóp gigantycznych schodów z ozdobną mosiężną balustradą. Jedliśmy w milczeniu pod uważnym spojrzeniem szeregu kelnerów z białymi serwetkami. Zanim skończyliśmy, większość z nich poszła do domu.

Pokochałam to miasto od pierwszej chwili.

Kochałam ciche ulice, zaniedbane parki, surowe cmentarze lekkomyślnych żołnierzy, którzy przed laty zginęli za przegraną sprawę.

Oczarowały mnie zakurzone okna, wyludnione hotele i zarośnięte dzikim winem podwórka. Czułam się jak w bajce, w której wszystkie kobiety śpią w łóżach z puchu, bo mający je zbudzić książę zgubił drogę w labiryncie cienkich brunatnych linii na śnieżnobiałej dłoni. Czułam się tak, jakbym znała ten świat od urodzenia.

Rano poszliśmy pieszo z Hill Street do Fort Sanders. Stał tam pomalowany na niebiesko dom z zaokrąglonym wiktoriańskim gankiem i wieżyczką. Farba wówczas się nie łuszczyła, białe balustrady były całe. Na werandzie stały doniczki z kwiatami. Dwa razy w tygodniu opłacany przez Profesora student przychodził je podlać. Ogród też był schludny i zielony.

Ten dom był spełnieniem snów Profesora, zanim stracił on chęć, by śnić.

Wszedł pierwszy, żeby otworzyć zamknięte od miesięcy okna.

- Wejdz - zachęcił mnie. - To twój dom.

Znalazłam się pośród pluszowych zasłon i lamp od Tiffany'ego, wyściełanych foteli i obitych jedwabiem sof. Zobaczyłam kredensy zastawione porcelaną i szuflady pełne wykrochmalonych obrusów. W jadalni stał wielki stół, na nim srebrne świeczniki. W kuchni cieszyły oko niezliczone słoiczki różnych przypraw, opatrzone etykietkami i ustawione według barw. Gotownia na parterze miała ściany obite wzorzystą tkaniną. W salonie stał wielki fortepian, w gabinecie Profesora - piękne rzeźbione biurko.



W sypialni na piętrze królowało mahoniowe łóżce z baldachimem, otulone moskitierą rozpiętą na kształt piramidy. Wiatrak pod sufitem miał blad różowy kolor. Chińskie dzwonki na balkonie milczały w nieruchomym powietrzu.

- Tu będziesz się rano ubierać. - Profesor oprowadzał mnie po sypialni. - Tu będziesz się kąpać.

W wykładanej białymi i żółtymi kaflami łazience stała porcelanowa wanna. Obok na mosiężnym taborecie czekała sterta ręczników. Przysiadłam na skraju wanny i odkręciłam emaliowany kurek. Patrzyłam, jak płynie zeń woda, wyobrażając sobie, że stoję nago w wannie, a woda opływa mi kostki i pełźnie w górę nóg.

Wróciłam do sypialni. Otworzyłam okno, odrzuciłam moskitierę i położyłam się w ubraniu na łóżku, nasłuchując wody z pluskiem wpadającej do wanny.

Zasnęłam. Śniło mi się, że woda wypełnia w Annę, spływa na kafle posadzki, prześlizguje się pod drzwiami do sypialni. Powoli, lecz bez ustanku zalewa całą podłogę i zaczyna kapać z sufitu na parter. Pływa po schodach, bucha z okien, stopniowo wypełnia dom, unosząc stół w jadalni, fortepian i rzeźbione biurko. Sięga do łóżka, w którym śpię, okrywa moje ciało i pnie się do sufitu. Wtedy otwieram oczy i zaczynam pływać.

Dryfuję w powodzi, którą wywołałam przez swą obojętność. Biała moskitiera ciągnie się za mną jak welon. Płynę ku drzwiom, mijam Profesora, który stoi przerażony w swoim czarnym ubraniu; rysy twarzy ma zniekształcone przez wodę, usta poruszają mu się w bezgłośnym błaganiu o pomoc. Za drzwiami jest suche, ciche miasto o szerokich ulicach i pustych budynkach. Wypływam na chodnik, pozostawiając za sobą męża tonącego w wodach morza Marmara.

Przez wiele lat po przyjeździe mój mąż codziennie rano udzielał mi lekcji.

Nauczył mnie siedzieć na krześle i używać sztućców, ścielić łóżko i wieszać ubrania w szafie, czesać włosy tak, jak to robią kobiety Zachodu, i posługiwać się żelazkiem. Siadaliśmy w gabinecie na parterze; Profesor zajmował miejsce w fotelu z wysokim oparciem, w którym wydawał się jeszcze mniejszy niż w rzeczywistości. Rozkładał na biurku książki i gazety, z których uczył mnie czytać i pisać, a także popraw-

nie mówić po angielsku i zachowywać się jak żona dystyngowanego dżentelmena, uczonego. Lekcje były długie i nużące, lecz Profesor okazywał niewyczerpaną cierpliwość i nigdy mnie nie krytykował, gdy popełniałam błędy. Na koniec chował zeszyty i pióra, mówił, że jest bardzo zadowolony z moich postępów, po czym szedł na uczelnię.

Pod jego nieobecność krążyłam po pokojach, podziwiając pedantyczny szyk wypełniających je przedmiotów i wsłuchując się w ciszę, która rządziła nie tylko w domu, ale w całym mieście. Ludzie za oknami kroczyli powoli, jakby nie mieli celu lub nadziei, że kiedykolwiek go osiągną. Stawałam przed lustrem, przyglądając się własnemu nieznanemu odbiciu, powtarzałam nagłos słowa, których nauczyłam się rano. Ich echo, boleśnie obce, osiadało mi w uszach.

Dotykałam twardych płaszczyzn drewna, szkła lub marmuru i wyobrażałam sobie miękką ziemię, szmaragdową murawę, którą tak niedawno czułam pod stopami. Oczyma duszy widziałam ojca pijącego w kącie namiotu. Ciekawa byłam, czy on też żałuje; czy pragnąłby cofnąć czas, zawrzeć ze mną pokój. Patrzyłam na swoje dłonie, usiłując wywołać z pamięci dawno zblakłe linie nakreślone henną. Rozmyślałam o matce i dręczących ją wężach.

Profesor wracał punktualnie za dziesięć siódma. Dystans dzielący dom od uniwersytetu pokonywał pieszo w ciągu pięćdziesięciu minut. Kapelusz kładł na krześle najbliższym drzwi. Potem szedł do kuchni i gotował posiłek, ja zaś patrzyłam i uczyłam się. Francuska kuchnia, podkreślał, najlepsza na świecie. Po kolacji pracował w swoim gabinecie, a ja kładłam się sama do łóżka.

Przychodził późno w nocy. Przebierał się w sąsiednim pokoju i bezszelestnie wsuwał pod kołdrę. Potem leżał z otwartymi oczyma, patrząc w sufit. Nawet gdy już usnął, zdawał się wciąż czujny, napięty do granic paraliżu, jakby bał się własnych myśli. I nigdy mnie nie dotykał.

Trzymał mnie w wiecznej niepewności; nie ujawniał swych zamiarów, nie tłumaczył postępów. Potrafił zmarnotrawić mnóstwo czasu na jakiś błahy szczegół - kant spodni, ostrzenie brzytwy, którą się golił, czy kształt liter, których uczył mnie pisać.

Równocześnie zaś pomijał inne, ważniejsze sprawy - dlaczego mnie poślubił, jak wyobraża sobie nasze wspólne życie, dlaczego ukształtował mnie zgodnie ze swymi oczekiwaniami, nie wykazuje najmniejszej chęci skonsumowania związku.

Mój mąż jest człowiekiem małomównym. Nosi swoje milczenie niczym szkatułkę klejnotów - tajemnic spoczywających w mroku, połyskujących leniwie, wciąż jednak groźnych. Często mawiał, że człowiek został stworzony, by patrzeć i uczyć się; że zbyt wiele słów, niepotrzebnych słów, odbiera szansę zrozumienia. Dlatego bada martwe i ginące języki:

ażebym odkrył tajemnice słów, których nikt już nie wypowiada.

Dlatego też zainteresował się zjawiskiem "mówienia nieznanymi językami" i zaczął chodzić na spotkania świętych pielgrzymów. Nie powodowały nim względy religijne. Przez cały czas, odkąd go znałam - najpierw gdy odrzekał się żydostwa i później gdy do niego wrócił, wciąż kryjąc się z tym przed światem - Profesor utrzymywał, że Bóg nie istnieje, a religia jest dobra dla ciemnych mas. Zafascynowała go jednak wyznawana przez zielonoświątkowców zasada, że znakiem napełnienia Duchem Świętym jest umiejętność mówienia nieznanymi językami. Ludzie innych wyznań widzieli w nich tylko bełkoczących szaleńców. Język, powiadali, z definicji służyć ma przekazywaniu znaczeń. Wszystko inne to hałas.

Profesor był innego zdania. Sam władając wieloma językami, znał zdolność ludzkiego umysłu do przechowywania słów lub dźwięków i sięgania do nich przy stosownej okazji. A jeśli - dumał - „języki” pielgrzymów nie są bełkotem, lecz prawdziwymi językami, tak dawnymi, że nikt już ich nie rozumie? A jeśli podświadomość przechowuje słowa, podobnie jak geny przechowują zapis cech fizycznych i emocjonalnych? A jeśli w stanie podwyższonej wrażliwości wierni zyskują zdolność czerpania z tych zasobów, przywołania echa języka swoich przodków?

Czyżby, zastanawiał się Profesor, święci pielgrzymi dzierżyli klucz do zrozumienia ludzkiej zdolności posługiwania się językiem?

Koledzy z uniwersytetu słysząc te pytania uśmiechali się, jakby chcieli dać do zrozumienia, że mają go za dziwaka. Zresztą czego można się spodziewać po kimś, kto pochodzi z Egiptu, Persji czy innego z tych krajów, które nie istnieją w świadomości Zachodu? Dotknięty lekceważeniem Profesor zawział się, że dowiedzie zasadności owych pytań. Postanowił dotrzeć do Sama Jenkinsa i przetestować swą teorię.

Mały Sam oczywiście natychmiast zapalał do niego antypatią.

Prawdę mówiąc, Sam z zasady nie lubił obcych, lecz na ogół ich tolerował, czuł bowiem, że może się przed nimi popisać krasomówstwem i swą niezachwianą wiarą. Nawet wrogowie ruchu, którzy przyjeżdżali rozpędzić zgromadzenie, często wracali przeświadczeni, iż mieli do czynienia z prawdziwie świętą mocą. Jenkins dopuszczał do siebie dziennikarzy, bo zależało mu na rozgłosie, oraz naukowców, bo bawiły go ich zdumione miny, gdy zbadawszy jego węże stwierdzali, że nie wyrwano im zębów jadowych, jad zaś ma śmiertelne właściwości. Ale Profesor różnił się od nich wszystkich i już to czyniło zeń cel ataku. Dano mu do zrozumienia, iż nie jest mile widziany - zrobili to najpierw pomocnicy Jenkinsa, później on sam. Kiedy znów się pojawił, został wyproszony. Chciał zostawić magnetofon i notes w samochodzie, lecz Sam mimo to go nie wpuścił.

Po powrocie do domu mój mąż rzucił się w ubraniu na łóżko i długo rozmyślał w milczeniu. Potem rzekł, iż weźmie mnie ze sobą na następne nabożeństwo.

Zamierzał się mną posłużyć, by zyskać akceptację wiernych; błysnąć mną Samowi przed oczyma jak asem w grze o wysoką stawkę. Nawet przez chwilę nie zaświtało mu, że prowadzi mnie w miejsce, z którego nie zdoła mnie już zabrać. Widzisz, on nie wierzył, że można przedkładać uczucia nad rozum; nie przyszło mu na myśl, że postąpi tak jego własna żona - wyszkolona i ukształtowana wedle norm cywilizowanego społeczeństwa.

Za pierwszym razem nie pojęłam ani słowa z tego, co mówił Sam. Niezrozumiały był dla mnie zarówno jego akcent, jak i sposób myślenia prowadzący do formułowanych przez niego wniosków. Węże jednak poznałam natychmiast. Dla innych były one ucieleśnieniem zła, symbolem ich nędzy, bezradności, niemocy. Ja widziałam w nich wskrzeszony obłęd matki, jej lęki pochwycone i zamknięte w skrzynce.

Pamiętam, że kaznodzieja poczerwieniał z wściekłości na widok Profesora kroczącego do pierwszej ławki po męskiej stronie z magnetofonem w ręce. Uniósł Biblię, gotów do ataku, gdy nagle ujrzał mnie. Powoli opuścił Biblię, spojrzał na mnie, na Profesora, znów na mnie. Chyba zdawał sobie sprawę, że wszyscy na niego patrzą. Odłożył Biblię na pulpit, chrząknął i rozpoczął kazanie.

Przez całe nabożeństwo myślałam tylko o węzach. Pamiętam, że Sam otworzył skrzynkę i pierwszy wąż owinał mu się wokół ręki jak bransoleta. Jenkins zdjął go i nasadził sobie na głowę niczym wieniec. Patrzył na mnie. Oczy miał szkliste, ale czujne, wargi pobladłe, uszy wściekle czerwone. Pomyślałam, że chce ujrzeć moją reakcję - ciekaw jest, czy się przestraszę, czy podniecę, czy ulegnę i odwrócę wzrok. Kiedy nawet nie mrugnęłam, sięgnął do skrzynki i wyjął z niej garść mniejszych węży; uniósł rękę i wymachiwał nimi w rytm swoich słów.

Profesor siedział jak wmurowany, rozdarty pomiędzy zgrozą i fascynacją. Miał ochotę uciec, lecz równocześnie chłonał każde słowo, każdy gest wiernych. Ludzie wokół nas wydawali dziwne głośnie dźwięki, ktoś z tyłu zaczął grać na harmonii.

Mały Sam nie mówił językami ani nie śpiewał wraz z resztą wiernych. Wypuścił z ręki węże, które rozpełzły się wśród członków zgromadzenia. Potem odwinął z głowy grzechotnika i podszedł do mnie. Kroczył powoli, trzymał węża w wyciągniętych rękach - jak dar, pomyślałam, jak zaproszenie. Wrzawa ucichła. Oto Sam Jenkins podawał węża obcej, „miastowej” kobiecie.

Wiem, czym jest pokusa. Słyszałam jej cichą muzykę, przemierzałam jej puste, brzmiające echem komnaty.

Wiedziałam, że Sam mnie kusi; chce uwieść tajemnicą swojej wiary, ryzykiem swoich działań. Zrozumiałam, że czeka mnie walka na śmierć i życie - z węzami, z Samem, z moim mężem, który sprowadził mnie tu z powodów nie mających nic wspólnego z wiarą.

Wyciągnęłam rękę i wzięłam węza od Sama.

Wracałam tam z Profesorem co tydzień. W początkowym okresie wierni odnosili się do nas z niechęcią. Ale Mały Sam chciał mnie widywać i jego wola przeważała nad uprzedzeniami innych. Pozwolono nam zostać. Brałam do rąk węże, toteż ludzie wkrótce zapomnieli o moim mężu, jego taśmach i naukowym podejściu, które wnosił ze sobą do świątyni. Im łatwiej radziłam sobie z węzami, tym silniejsza się czułam i tym bardziej ufali mi wierni.

Na początku Mały Sam był z tego rad. Wziął mnie pod swoje skrzydła, mówił o mnie w kazaniach, wskazywał jako przykład, że nawet „miastowi” mogą zostać zbawieni.

Wodził za mną oczyma i nie zawsze panował nad rękami - widać było, że ma na mnie ochotę. Żądze jego ciała nie uległy bez reszty miłości Ducha. Starłam się trzymać od niego z daleka i przygotowywałam się do mającego nieuchronnie nastąpić starcia. A im większy czuł opór, tym bardziej się starał.

Mój mąż naturalnie zdawał sobie z tego sprawę - wszyscy widzieli, co się święci. Po jakimś czasie więc Profesor uznał, że ma już dość grupy uświęcenia i jej członków, języki”, którymi rzekomo mówili, okazały się zwyczajnym bełkotem. Wyznaną przez nich wiarę określił mój mąż mianem „opium nędzarzy”. Moje zmagania z węzami natomiast były igraniem ze śmiercią, na które nie mógł z czystym sumieniem zezwolić. Oświadczył, że więcej tam nie pójdę.

I wtedy sprzeciwiłam mu się po raz pierwszy od ślubu.

Powiedziałam, że lubię zaklinać węże, doceniam też życzliwość i przyjaźń, które okazują sobie wierni i które zaczęli okazywać mnie. Będę kierować się własnym su-

mieniem niezależnie od tego, czy on to pochwała czy nie. Mam już dziewiętnaście lat i mogę decydować o własnym życiu.

Profesor siedział w fotelu i patrzył na mnie z taką samą miną, z jaką czytał swoje manuskrypty. Nie był zły ani oburzony, ani nawet zaskoczony moim buntem

- Próbujesz swoich sił - rzekł spokojnie. - Chcesz ukarać się za to, że porzuciłaś matkę na pastwę węży.

Kiedy następnym razem Sam Jenkins zawitał w pobliże Knoxville, poprosiłam Anne Pelton, żeby zawiozła mnie na nabożeństwo.

To, że przyszedłam do kaplicy bez męża i wbrew jego woli, nie umknęło uwadze Sama. Dla niego oznaczać mogło tylko jedno: że oddam mu swe ciało, tak jak oddałam duszę jego Kościołowi. Molestował mnie przez okrągły rok.

Kiedy go odtrącałam, stawał się napastliwy. Zrozumiawszy, że mnie nie zdobędzie, wypowiedział mi wojnę.

Zaczął mówić wiernym, iż jestem bezbożnicą wyzutą z prawdziwej wiary, narzędziem Szatana. Mało tego - w ogóle nie jestem kobietą, bo prawdziwa kobieta, mężatka, powinna rodzić dzieci. Jestem zatem wcielonym diabłem, bo nikt inny prócz niego nie potrafi kusić mężczyzn tak jak ja. Anne Pelton i kilkoro innych próbowało stanąć w mojej obronie, ale Sam był silniejszy i bardziej zdeterminowany. Wojna trwała.

Nie wiem, co trzymało mnie wtedy pośród nich. Widzisz, nie starałam się zaprzeczać oskarżeniom Sama. W pewnym sensie miał słuszość, ja zaś nie chciałam udawać kogoś, kim nie jestem. Nie wierzę i nigdy nie wierzyłam w Jezusa ani w Ducha Świętego. Chodziłam tam tylko po to, żeby walczyć z węzami, i być może Sam stał się dla mnie jednym z nich. Zanim wszakże się zorientowałam, nim pojęłam, co się stało, znalazłam wokół siebie zdolnych do miłości ludzi, których przyjaźń i wiara przyniosły mi nieskończoną otuchę.

Mały Sam Jenkins też to zauważył. Chyba się przeraził widząc, jak łatwo zżyłam się z jego trzódką. Pewnego dnia w Harlanie wskazał mnie palcem, nazwał kusicielką i diabłem wcielonym. Od trzech lat byłam członkinią jego grupy. Kazał mi odejść i nigdy nie wracać.

Zrozpaczona zaczęłam się zastanawiać, czy dotarłam do kresu mych nadziei - do tego samego miejsca, z którego nie mogła się wyrwać moja matka, przez co cierpienie wpędziło ją w obłąd. Oddałam się Profesorowi myśląc, że opuściwszy Wschód zostawię za sobą żal. Potem oddałam się wierze w nadziei, że znaki dane wiernym prowadzą ich prostą drogą ku wolności. Przez wiele lat krążyłam ścieżkami marzeń matki, ścigana wspomnieniem jej bezsily. Powtarzałam sobie, że cel tej podróży wart jest jej ceny. Ale Profesor dał mi tylko ciszę, a bitwa z Jenkinsem skończyła się moją klęską. Postanowiłam zacząć wszystko od nowa - otworzyć czystą kartę, na której każdą linię będę kreślić sama.

\*

Oznajmiłam Profesorowi, że chcę mieć dziecko.

Było to nader zaskakujące żądanie, zważywszy, że ani razu nie byliśmy ze sobą jak mąż i żona. Ponadto Profesor był już stary - miał pięćdziesiąt pięć lat - i nie przejawiał chęci, by udawać młodzika. Na samą myśl o ojcostwie wzdrygnął się z niedowierzaniem, potem przyjrzał mi się badawczo, jakby chciał przeniknąć kierujące mną pobudki. Następnie stwierdził, że mój pomysł jest irracjonalny i niestosowny. Próbuje się uwolnić od poczucia winy w stosunku do matki, ponadto zrekompensować sobie dzieckiem wykluczenie z grupy. W jego głosie brzmiała nutka gniewu, jakby starał się powściągnąć panikę wywołaną moim żądaniem.

Odwrócił wzrok, utkwiał go obok mojej twarzy - w pustce, do której nigdy nie zdołałam przeniknąć.

Odczekałam kilka miesięcy i znów poruszyłam ten temat.

Odparł, że nie będzie w stanie spełnić mojej prośby i oczekuje, że podporządkuję mu się bez dalszych dyskusji. Zachowywał się tak, jak gdybym przekroczyła granicę nakreśloną krwią - szeroką czerwoną linię, za którą nie miałam wstępu.



Powiedziałam mu, że nie ustąpię. Od sześciu lat żyję wedle jego reguł. Teraz chcę ustanowić własne.

Usłyszałam na to, że we własnym interesie nie powinnam przedłużać sporu, którego i tak nie wygram. Dokładnie przemyślał sprawę i nie będzie się powtarzał. Zresztą macierzyństwo to kwestia wyboru, nie obowiązku, a kobieta dziedzicznie obciążona obłędem nie powinna upierać się przy prokreacji.

- Nasze dziecko - rzekł - istota spłodzona z naszej krwi z góry skazana będzie na zagładę.

Czułam, że nie mówi tylko o chorobie mojej matki. Że boi się większego demona, ukrywa przed potężniejszym wrogiem. Nagle zapragnęłam się dowiedzieć, co przede mną taił przez te wszystkie lata; jaki głęboki i jęczący sekret chroni swym milczeniem. Zapytałam, dlaczego nie ożenił się wcześniej, dlaczego w młodości także nie chciał mieć dzieci. Dlaczego spędziwszy dwadzieścia pięć lat w Europie porzucił wszystko i rozpoczął życie od nowa w Ameryce? Dlaczego nigdy nie kontaktował się z dawnymi znajomymi? Dlaczego żony szukał na Wschodzie, tak daleko od domu? Im dłużej pytałam, tym bardziej zaciął się w milczeniu.

Weszłam więc do łóżka naga do pasa i powtórzyłam, czego chcę.

\*

Kiedy Profesor dowiedział się, że jestem w ciąży, błagał, żebym ją usunęła.

Zabrał mnie do lekarza w mieście, pokazał czysty, higieniczny gabinet, zapewnił, że nikt o niczym się nie dowie. Poprosił doktora, by ten wyjaśnił mi, że zabieg jest szybki i bezpieczny. Mam jeszcze dość czasu na rodzenie dzieci później, jeśli zechcę.

W drodze powrotnej zatrzymał się przed domem towarowym i powiedział, że kupi mi wszystko, cokolwiek zechcę - pod warunkiem że zgodzę się przerwać ciążę.

Moja córeczka miała kruczoczarne włosy, fiołkowe oczy i arabską karnację. Wyglądała jak te dzieci z egzotycznych krain, dziewczynki o przenikliwym spojrzeniu i uderzających rysach, które owładnąwszy wyobraźnię fotoreporterów trafiają na okład-

ki magazynów piszących o krajach, których istnienia większość ludzi nawet nie podejrzewa.

Kiedy przyszła na świat, Profesor odwiedził mnie w szpitalu. Przyniósł bukiet fiołków, dzbanek wody, lusterko w srebrnej oprawie i złotą monetę. W innym świecie - tym, z którym chciał zerwać wszelkie więzy - woda symbolizuje czyste sumienie, lustro szczęście, a moneta bogactwo. Stał przy łóżku i przyglądał się dziecku - długo, zbyt długo; potem bokiem palca pogłaskał małą buzię. Był smutny, nie zły; zrezygnowany, lecz nie wrogi. Ze wszystkich sił próbował nie dopuścić do jej narodzin, a gdy zdał sobie sprawę, że przegrał, dołożył starań, by nie dać się wciągnąć do naszego wspólnego świata. Skoro już tu była, zaakceptował ją, nie do końca wierząc w jej istnienie.

- Nadaj jej imię - powiedział - które łatwo zapomnisz.

Nie uwierzyłam w jego przepowiednie. Nawet na chwilę nie dopuściłam do siebie myśli, że stracę to dziecko.

Przez rok karmiłam córeczkę piersią; potem nadal sypiała ze mną w łóżku. Dreptała za mną po wszystkich zakątkach domu i szczebiotała, aż jej głosik wypełnił tak pieczołowicie hodowaną przez Profesora ciszę. On zamknął się z powrotem w swoim świecie - czytał starożytne teksty i uczył się nowych języków; uparcie starał się nie pamiętać, że jest ojcem. Widywałam go tylko w czasie porannych lekcji i wieczorem, gdy siadał sam do kolacji, a ja szłam bawić się z małą na piętro.

Brałam w dłonie jej rączki i kładłam je sobie na powiekach.

- Wypowiedz życzenie - mówiłam - a ja wyobraźnią powołam je do życia.

Zginęła mając pięć lat.

Była jesień. Paliłyśmy liście na podwórku. Moja córeczka miała na sobie długą sukienkę, była boso. Z okna kuchni ujrzałam, że podchodzi do ogniska.

Pamiętam, że uznałam, iż powinnam ją powstrzymać.

Cofnij się, pomyślałam, i podeszłam do drzwi, aby ją zawołać.

Podśpiewywała pod nosem, głaszcząc kota pani Roscoe, który zabłąkał się do naszego ogrodu. Było spokojne, bezchmurne popołudnie.

Nie posiadałam się ze szczęścia patrząc na moje dziecko - na to cudne, radosne, prześliczne stworzenie.

Kot odszedł. Moja córka obróciła się za nim i rąbek jej sukienki zaczął płonąć.

Przez rok po jej śmierci nie wychodziłam z domu.

Nie odróżniałam dnia od nocy, nie czułam zimna ani głodu i nie dostrzegałam nikogo - ani ludzi, którzy przychodzili mnie pocieszać, ani lekarza, który dawał mi pigułki, ani nawet Profesora, który siedział przy mnie przerażony, że już nigdy nie wynurzę się z ciemności.

Czułam jego obecność, lecz nie widziałam żalu. Zastanawiałam się później, skąd wziął siłę, by zapomnieć o sobie i troszczyć się tylko o mnie.

Pod koniec roku przyszła mnie odwiedzić Anne Pelton. Przyniosła talerz ciasteczek domowego wypieku i Biblię. Uklękła przy krześle w mojej sypialni pytając, czy może się za mnie pomodlić.

Chciałam odpowiedzieć „nie”. Ale nie miałam siły, a może odwagi, żeby ją wyprosić. Ponieważ się nie odezwałam, pochyliła głowę i zaczęła się modlić w tym powolnym, melodyjnym rytmie, w jakim mówią górale.

Po chwili jej łagodny, lecz pewny głos wypełnił pustkę pokoju, wywłócił mnie z cizy i sprawił, że zapragnęłam usłyszeć więcej.

- Pomódl się ze mną - powiedziała.

Nagle stwierdziłam, że klęczę obok niej, wpatrując się we wzory na dywanie, i powtarzam wymawiane przez nią słowa.

Może tym właśnie jest religia: kobietą z talerzem ciasteczek i starą książką, dwiema dłońmi, które składają się obok ciebie w półmroku, głosem, który każe ci uwierzyć.

Modliłam się, by do mego miasta wjechał książę na skrzydłach ciemnego wiatru, by niósł ze sobą lśniący pył tysiąca księżyców i rozrzucił go garściami po ciasnych ścieżkach labiryntu, z którego nie mogłam już uciec. Chciałam, by zapalił światło w wąskim korytarzu wiodącym ku Nadziei.

Przed świtem Blue poruszyła się w pościeli, odsunęła od niego i wstała z łóżka. Adam poczuł ukłucie chłodu na odsłoniętym boku, gdzie wcześniej leżała z głową wtuloną pod jego obojczyk.

Nie otwierając oczu nasłuchiwał, jak sięga po sukienkę. Wyobraził sobie białą śliską tkaninę sunącą po jej udach, brzuchu, piersiach. Chciał wyciągnąć rękę, powieść dłonią tym samym szlakiem, przyciągnąć ją do siebie.

Wyszła bez słowa.

W korytarzu na dole Isiah Frank zapalił lampę i przez chwilę rozmawiał z nią szepcąc. Potem otworzył drzwi i cicho wypuścił ją z powrotem do jej świata.

Adam leżał na wznak i palił jednego papierosa za drugim, aż powietrze w pokoju zmętniało, a gardło zaczęło go piec od goryczy tytoniowego dymu. Wyobrażał sobie Blue idącą samotnie ulicami Knoxville - jej zimne boscie stopy na asfalcie, sylwetkę przemykającą przez mrok, oczy zmieniające barwę z ciemnego indygo na niemal przezroczysty szafir wraz z nastaniem świtu.

Bez niej pokój wydawał się pusty, ciemny i wygłodniały - komnata ech, w której słowa Blue i pamięć jej dotyku wisiały w powietrzu jak robaczki świętojańskie.

Holendrów nigdzie nie było widać. Isiah Frank był na dole w salonie, wycierał z kurzu swoje szklane figurki i rozmawiał z kotem.

Na Gay Street Adam wstąpił do Nata, jedyne bistra w mieście, i kupił kawę, którą miał zamiar wypić w samochodzie. Wyjechał na obwodnicę, kierując się ku wiodącej na północ autostradzie numer 75. Za nim nisko nad rzeką wisiała mgła, góry miały się tysiącem odcieni zieleni, ziemia miała rdzawy kolor włosów Blue.

Przez cały dzień jechał pomiędzy górami. Wrócił, gdy było już ciemno. Na chwilę zatrzymał samochód przy Gay Street Bridge, patrzył, jak światła mostu odbijają się w rzece, obserwował cienie idących po nim ludzi. Potem wrócił do siebie i czekał na Blue.

Podeszła do niego z tyłu, stanęła tak blisko, że czuł każdy oddech unoszący jej pierś. Naga, przytuliła się do jego pleców, sięgnęła do guzików koszuli. Gdy obrócił się do niej, pocałowała go w usta, w szyję, w bark.

- Zawsze wiedziałam, że przyjdiesz - powiedziała.

Teraz jej wierzył.

\*

We wrześniu upał nagle ustąpił. W powietrzu, które przez cały sierpień wspierało się ciężko o ziemię, powiało chłodem, a niebo nabrało przejrzystości szkła. Liście zaczęły żółknąć, rzeka ocknęła się z letargu, światło stało się ostrzejsze, jaskrawsze, żywsze.

Holendrzy zostawili swoje rzeczy w pensjonacie i udali się na czterotygodniową wycieczkę po południowych stanach. Isiah Frank rozpakował dwa kufry szekspirowskich kostiumów i wywiesił je do wietrzenia. Odtąd codziennie wkładał inny kostium i odgrywał inną rolę.

- Życie powinno być równie majestatyczne jak teatr - rzekł do niewidzialnej widowni.

Adam siedział w archiwum „Knoxville News Sentinel” i przeglądał mikrofilmy na kiepskim monitorze. Szukał wzmianek o Samie Jenkinsie i Blue, być może także strzępków informacji o swojej matce lub Rose. Wypytywał chudego staruszka w spłówałym zielonym podkoszulku, który sprawował pieczę nad archiwum, co ten słyszał lub czytał, z kim radzi mu porozmawiać.

Najwięcej informacji znalazł w numerze z 26 lipca, w którym po raz pierwszy doniesiono o śmierci Małego Sama.

Na górze strony widniało stare zdjęcie kaznodziei. Był odziany w białą koszulę zapiętą aż po szyję i patrzył w obiektyw małymi, nieco wystraszonymi oczkami. Twarz miał czerwoną i obrzmiałą od słońca i zbyt wielu ukąszeń, uszy jakby za duże w sto-

sunku do głowy. Jednakże nic w tej twarzy nie wskazywało, jakim człowiekiem był w rzeczywistości.

Poniżej zamieszczono mniejsze zdjęcie szopy, w której odprawił ostatnie nabożeństwo - ruiny z blaszanym dachem tkwiącej samotnie w środku puściuteńkiego pola. Trzecie zdjęcie, zrobione już po pogrzebie, ukazywało członków rodziny Małego Sama, którzy przyjechali z Florydy, by oddać mu ostatni hołd. Cztery ciężarówki krewnych - pisał dziennikarz - tłukły się przez całą noc, aby wziąć udział w pochówku i natychmiast wracać, nazajutrz bowiem ludzie musieli iść do pracy. Podczas ceremonii nikt nie zaklinał węży. Grała kapela country, zaś po pogrzebie wszyscy zasiedli do stypy.

Adam kilkakrotnie widział już te zdjęcia i artykuł, ale wciąż do niego wracał. Dysponując taką władzą nad ludzkimi duszami, Mały Sam zmarł w ubóstwie i pochowany został bez większej pompy. Zarazem, choć ciężko grzeszył przeciw własnej rodzinie, odprowadzało go do grobu dwa tuziny lojalnych potomków.

Na rodzinnym portrecie widniało czternaścioro dorosłych i troje dzieci. Wszyscy schludnie ubrani, w „niedzielnych” butach. U części kobiet można było rozpoznać przysadzistą sylwetkę i mięsistą twarz Esthery Parker. Jedna miała ciemne faliste włosy i rysy Niemki dotkniętej cygańską klątwą. Stojący w tylnym rzędzie mężczyzna w jasnym garniturze i krawacie pysznił się bulwiastymi uszami Sama.

Jedna z córek Jenkinsa, poważana matrona grupy z Kentucky, oświadczyła obecnemu tam reporterowi: „Ojciec był tak pobożny, że nie pił nawet kawy”. Adam parokrotnie usiłował zgadnąć, która z widocznych na zdjęciu kobiet wypowiedziała to zdanie. Oczywiście nie sposób było tego stwierdzić, podobnie jak nie sposób było dociąć, co ci ludzie rzeczywiście myśleli, gdy Sama składano do grobu. Jedyne co Adam wiedział na pewno - wbijał to sobie w pamięć, ilekroć przeglądał gazety - to że on nigdy nie należał do tego klanu. Owszem, miał w żyłach krew Jenkinsa, ale nigdy się z nim nie utożsamiał. Nie dzielił marzeń i pragnień przyrodniego rodzeństwa. Był dzieckiem spłodzonym z ciała kaznodziei, lecz nie przyjął dziedzictwa kłamstw i

zdrad, którymi Sam Jenkins skaził los swych wyznawców. Jak często mawiała z pogardą Rose Watkins, Adam był prawdziwym bękarciem nasieniem.

\*

Jeszcze raz pojechał odwiedzić Anne Pelton.

W poniedziałek przez całe rano włóczył się samochodem po Lynch i okolicznych miasteczkach. Wzdłuż drogi numer 63 porośnięte gęstym lasem góry podchodziły to bliżej, to dalej od asfaltu niczym gigantyczny zębaty, wycięty w ciemnym kryształe grzebień. Na trasie numer 25 wiodącej do przełęczy Cumberland droga się rozszerzała, potem znów zwężała. Adam minął Pineville, później Harlan. Przyglądał się porzucenym szybom, pustym stodołom o zapadniętych dachach, powoli chylącym się ku upadkowi krzyżom wetkniętym tu i tam w ziemię.

Lynch było wymarłą osadą pogrzebaną pod lawiną kurzu i sadzy. Adam jechał jedyną ulicą, zaglądając do pustych chat, i zastanawiał się, jak wyglądało życie w czasach, gdy Sam Jenkins rozbił tu namiot na dziesięciodniowe modły-te, które zaowocowały poczęciem Adama.

Był tak zaaferowany, tak poruszony pustką miejsca, gdzie ukształtował się jego los, że w pierwszej chwili nie zauważył srebrnej furgonetki, która dogoniła go i siedziała mu na ogonie. Był to duży stary, poobijany wehikuł na kompletnie łysych oponach. Kierowca miał na sobie koszulę w szaro-czerwonej kratę. Prowadził jedną ręką, drugą oparty o drzwi, i trzymał się o włos za tylnym zderzakiem samochodu Adama,

nie spuszczać wzroku z jego odbicia w lusterku. Pewnie jakiś miejscowy, pomyślał Adam. Zauważył nowy wóz z innego stanu i teraz ostrzegał, spychał go z powrotem ku przelotowej trasie, której jego zdaniem powinni się trzymać obcy. Jechał za nim, aż Adam wy dostał się na drogę numer 25 i zawrócił do Harlanu.

Anne Pelton mieszkała w jednoizbowej chacie przy nie brukowanej ulicy naprzeciw Prawdziwego Zboru Pana Jezusowego w Pineville. Była drobną kobietą o płaskiej,

szerokiej twarzy poznaczonej pajęczą siecią widocznych pod skórą żyłek. Jej oczy i usta otaczały gęste zmarszczki, ale nie wyglądała na swoje siedemdziesiąt lat. Poruszała się lekkim, sprężystym krokiem. Proste lśniąco włosy niezmiennie wiązała w sięgający bioder koński ogon i zawsze chodziła w tenisówkach, nawet do kościoła. Stare były tylko jej oczy - małe, zażawione, wiecznie przymrużone, jakby starała się uchwycić obraz świata. (Kiedyś, dawno temu pewien kaznodzieja wytknął jej, że nosząc okulary sprzeciwia się wyrokowi Boga.)

Słyszała warkot silnika, lecz podeszła do drzwi dopiero, kiedy zapukał. Pomimo kiepskiego wzroku spostrzegła, że schudł, przybladł, był bardziej spięty niż wtedy, gdy widziała go po raz ostatni.

- A więc Pan zesłał mi cię po raz wtóry - powiedziała, zapraszając go do środka.

Małeńki pokój z wyszarzałym zielonym dywanem prowadził do alkowy służącej jako kuchnia. Stał w niej piecyk opalany drewnem, lodówka, obity i przyrdzewiały zlew. W wychodzącym na drogę oknie wisiały bladożółte firanki zszyte ręcznie wielkimi, nierównymi ściegami.

Adam usiadł przy składanym turystycznym stoliku i przyglądał się, jak Anne leje wodę do czajnika, wyciąga dwa kubki i parzy herbatę. Krzątała się zwrócona do niego plecami, lecz z jej zachowania była swoboda i życzliwość, które całkiem go rozbroiły. Bez pytania wsypała mu do herbaty cztery łyżeczki cukru i z uśmiechem postawiła przed nim kubek.

- Mój mąż pijał tylko kawę - powiedziała, siadając naprzeciw - ale nawet za jego życia nie zrezygnowałam z herbaty.

Stolik był tak małeńki, że ich ręce niemal się stykały. Na szafce obok pieca stał telefon, lecz w mieszkaniu nie było ani radia, ani telewizora - narzędzi Szatana. Na parapecie za żółtą firanką połyskiwał w słońcu rząd wypełnionych cieczą buteleczek.

Anne Pelton była dzieckiem wędrownego górnika i imigrantki z Czech, którą poznał w górniczej osadzie w Wirginii. Podróżowali pieszo, mieszkali w lesie, myli się w potokach i jeziorach. Spłodzili trzynaścioro dzieci, z których większość poszła do pracy w kopalni. Ale w późniejszych latach ojciec Anne zapadł na chorobę czarnych



płuc, a matka straciła siły do pracy, rozdali więc czwórkę najmłodszych dzieci obcym ludziom - każde innym, przeważnie starszym małżeństwom, którym potrzebna była para młodych rąk do pracy.

Anne miała wówczas osiem lat, lecz nowa rodzina biła ją bezlitośnie i skąpiła jedzenia, po trzech latach więc uciekła. Do trzynastego roku życia pracowała w kopalniach, kiedy zaś podrosła i nie mogła już dłużej udawać chłopca, ruszyła w drogę jak niegdyś jej rodzice. Pewnej zimy w okręgu Floyd przez trzy dni szła samotnie, nie widząc żywego ducha. Byłaby zamarzła na śmierć, gdyby obok nie zatrzymała się ciężarówka. Wsiadł z niej czterdziestoparoletni mężczyzna, podniósł Anne i przywiózł ją do tego samego domu, w którym teraz siedzieli. Tydzień później została jego żoną.

- Miałam nadzieję, że jeszcze mnie odwiedzisz - powiedziała do Adama. - Odkąd przyjechałeś, modlę się za ciebie; tym goręcej, że teraz wiem, kim jesteś.

Speszyła go jej bezpośredniość, niemal tupet, z jakim włączała go do swoich modlitw. Pociągnął łyk herbaty i zmusił się, by bąknąć:

- Blue mówi, że znałaś moją matkę.

Imię Blue stopniało mu na języku jak cukier. Zachwycił się jego smakiem; tym, jak wleciało w powietrze wypełniając przestrzeń między nim a Anne. Czuł radość, mogąc mówić o Blue, jakby ona... jakby oboje istnieli naprawdę.

Anne najwyraźniej spodziewała się tego pytania.

- Clare była trochę ode mnie młodsza - odparła, rozmyślnie puszczając mimo uszu wzmiankę o Blue - ale przez wiele lat chciałam być taka jak ona. Wchodziła do kościoła tylko po to, by narozrabiać. Mnie to nie raziło; podobały mi się jej sukienki, jej słowa i to, że nie bała się ani duchownych, ani członków grupy, ani nawet Rose.

Adam wiedział, że Anne Pelton nie urodziła się w Duchu Świętym. Do grupy wprowadził ją mąż. Długo odrzekała się religii i nie chciała tknąć węży. Była drugą żoną Buforda Peltona, wychowała jego dzieci porzucone przez matkę. Sama zdażyła urodzić tylko jedno, nim Pelton zmarł w Alabamie ukąszony przez grzechotnika. Wtedy zaszła w niej przemiana. Po pewnym czasie stała się gorliwą wyznawczynią swojej wiary.

- Inne kobiety oczywiście zazdrościły Clare. Była śliczna, wiedziała, jak postępować z mężczyznami; nasi mężowie nie mogli oderwać od niej wzroku... ani rąk. Ale ja lubiałam na nią patrzeć. Tak bardzo różniła się od Rose! Jakby w ich żyłach nie płynęła ta sama krew, jakby Clare trafiła do łona Rose przez pomyłkę.

Twarz Anne Pelton rozplynęła się w marzącym uśmiechu. Odmieniły ją własne słowa, obraz, który stworzyła dla Adama.

Adam myślał o kwiatach, które Clare trzymała w ręce, kiedy po raz ostatni przyjechała do sierocińca: zerwała je przy drodze, zdążyły zwiędnąć, nim dotarła na miejsce, ale ich barwa na zawsze wryła mu się w pamięć. Clare mogła porzucić dziecko, nie zrezygnowała jednak z ideałów piękna i elegancji, tak dalece sprzecznych z realiami jej życia.

- Ludzie mówili, że podała się do ojca - ciągnęła w zadumie Anne - ale ja myślę, że była po prostu inna. Różniła się od nas wszystkich.

Adam spojrzał na nią zaskoczony, że tak łagodnie mówi o jego matce. Wierni, których znał w dzieciństwie, osądzali ją surowo. Anne podobnie jak on została porzucona w dzieciństwie, wychowana przez obcych, wprowadzona do grupy jako człowiek z zewnątrz, który musi dowieść swej lojalności lub odejść. A jednak jej umysł pozostał lotny, jasny i wolny od pochopnych osądów. Dzięki niej łatwiej mu było zajrzeć w przeszłość, zobaczyć Clare, Rose i wszystkich ludzi, których kiedyś kochał.

Anne patrzyła mu prosto w oczy, nie mrużąc własnych. Szykowała się, by oznajmić mu coś ważnego.

- Nie wiem, dlaczego Clare oddała cię do sierocińca - powiedziała - ale wiem, dlaczego się zabiła.

Światło przenikało stojące na parapecie flaszki, ujawniając w nich drobne białe płatki. Zdradzały one zawartość: strychnina zmieszana z wodą i gotowa do picia.

Anne pochwyciła spojrzenie Adama.

- Mój mąż pił czysty kwas karbolowy - wyjaśniła.

- Mały Sam także. Ja wolę strychninę, mniej piecze przy przełykaniu.

Przyglądała mu się, czekając na jego reakcję. Dziwiło go, że osoba tak łagodna, pełna życzliwości wobec świata może zadawać własnemu ciału podobny gwałt; jak ktoś równie twardo chodzący po ziemi dał się omamić kłamstwom kaznodziejów. Tego właśnie nigdy nie potrafił zrozumieć; dlatego potępiał grupę i jej wiernych.

Chyba czytała mu w myślach.

- Nieważne, kim jest posłaniec - powiedziała cicho, odpowiadając na pytanie, które dręczyło go przez całe życie. - Ważne jest samo przesłanie.

Korciło go, żeby zapalić, ale słyszał rżenie dobywające się z płuc Anne - efekt kilkudziesięciu lat wdychania pyłu węglowego - powstrzymał się więc. Pił herbatę, rozkoszując się jej słodyczą i prostotą, z jaką została mu podana. Anne wstała, żeby znów napełnić kubki. Minęło południe; pewnie poczuła głód albo uznała, że powinna czymś poczęstować gościa, bo podeszła do wąskiej szafki w kącie. Były w niej puszki z warzywami, pudełko płatków owsianych, woreczek ryżu. Na górnej półce stały dwie skrzynki nakryte drucianą siatką.

Anne wyjęła z szafki pudełko krakersów i położyła je na stole. Spozobregła, że Adam wpatruje się w klatki - jedną pomalowaną na jaskrawy błękit, drugą w naturalnym kolorze ciemnego drewna - nasłuchuje szelestu uwięzionych w nich węży. Zawróciła do szafki i zamiast zamknąć drzwi, wyjęła z niej niebieską skrzynkę. Postawiła ją na stole przed Adamem.

Wstrzymał oddech, usiłując zachować spokój, lecz strach okazał się silniejszy. Był to pierwotny, odruchowy lęk, potężniejszy i bardziej niszczący niż wszystkie uczucia, jakich dotąd doświadczył. Gwałtownie odsunął krzesło i zerwał się na równe nogi. Za siatką widział rudawy płaski łeb mokasy, obok zaś czarno-szarą grzechotkę. Serce biło mu jak oszalałe, ciało zlodowaciało. Znów był małym chłopcem śpiącym w ciemnym wagonie z węzami pod siennikiem i lękiem w sercu, że matka go opuści.

Jego strach wytrącił Anne z równowagi. Chcąc mu dowieść, że nie ma się czego obawiać, otworzyła klatkę, wsunęła palce pod pysk mokasy i delikatnie wyjęła go na zewnątrz. Postukała węża palcem po głowie, jakby się z nim witała, po czym odłożyła z powrotem.

Przeceniła jego nerwy. Teraz było już za późno, żeby to naprawić.

Odprowadziła Adama do drzwi. Czuła, że już nie wróci, i było jej żal, że go wystraszyła. Nim odszedł, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Któregoś dnia twoja matka przyszła na kazanie Sama ze swoim nowym mężem - powiedziała.

Pragnęła mu przekazać to ostatnie wspomnienie Clare czy tego chciał, czy nie. Było niczym depozyt przechowywany zbyt długo, obowiązek, który powinna już zrzucić na cudze barki.

- Mały Sam był wtedy żonaty z jednonogą Peg. Peg kuśtykała na drewnianym kulasie tak samo jak mąż Clare, tyle że na noc zdejmowała nogę i kładła ją pod łóżkiem. Nieraz sobie myślałam: co za ironia, że oboje, i Sam, i Clare, przeżyli całe życie tylko po to, żeby wylądować w łóżku z kalekami. - Urwała na chwilę, po czym podjęła:

- Kazanie trwało całe popołudnie. Clare wróciła wtedy po paru latach nieobecności. Wyglądała staro, trudno było dopatrzeć się w niej dawnej urody. Mały Sam kilkakrotnie przeszedł obok niej, lecz tym razem oszczędził jej przekleństw i docinków; zachowywał się tak, jakby jej tam nie było. Kiedy nabożeństwo dobiegło końca, Clare wstała z ławki. Zobaczyłam, że płacze.

Adam nagle domyślił się końca tej historii.

- Mały Sam nawet na nią nie spojrział - ciągnęła Anne. - To ją zabiło: że nie poznał jej choćby po to, aby ją skrzywdzić.

Adam przestał zadawać pytania.

Czuł, że popełnił błąd, którego będzie żałować. W przeszłości takie błędy drogo go kosztowały - za każdym razem, gdy zaufał matce albo Rose, albo cemukolwiek, co na pozór wydawało się pewne. Na koniec okazywało się, że nikomu nie można wierzyć. Może dlatego potrafił tak długo przeżyć w ciągłym zagrożeniu, dlatego nigdy nie szukał utartych pewników, dlatego ciągnęło go do Blue, która bez wahania rzuciła się w nieznane, śmiało igrała ze śmiercią i tak całkowicie oddała się jemu.

A może wcale nie chodziło o dreszcz ryzyka. Może powodem były jej dłonie - małe, kruche i czasem bezradne, może uśmiech przypominający mu wszystkie zagubione

dzieci, które widział podczas swych wędrówek; może uczucie, że jest jej jedyną, ostatnią nadzieją.

Zadzwoił do Chicago, że jeszcze przez pewien czas pozostanie w Knoxville. Wciąż pracuje nad artykułem o Samie. Odezwie się, kiedy będzie gotowy. Cisza na drugim końcu linii mogła oznaczać, że już stracił pracę, ale nie zaprzętał sobie tym głowy. Pragnął Blue bardziej niż czegokolwiek w życiu; był gotów zrezygnować z pracy, zrezygnować z zasad, które dotąd wyznawał, tylko po to, aby być blisko niej, aby wiedzieć, że spotka ją tuż za rogiem czekającą z wyciągniętymi ramionami.

Nie chciał myśleć, że jej dłonie mogą być dłońmi zabójczyni, kobiety, która zdradziła swego męża, Boga i współwyznawców. Nie chciał pamiętać, że należy do innego mężczyzny, że on sam pogwałcił granice, których nigdy nie zamierzał przekraczać. Isiah Frank drwiąco unosił brwi, ilekroć go mijał; starsze panie w bistrze na jego widok zaczynały szeptać między sobą, a pani Roscoe fukała z irytacją, spotykając go na ulicy. Ale wszystko to w sumie było nieistotne.

W połowie września Isiah Frank podliczył dni spędzone przez niego w pensjonacie i wręczył mu rachunek.

- Trzydzieści jeden dni - oznajmił z triumfalnym uśmiechem.

Spotkali się na schodach. Adam wziął kartkę i ruszył do wyjścia.

- Knoxville to ciekawe miasto - zawołał za nim Frank. - Oplata człowieka jak kuzu. Adam zawahał się, ruszył dalej.

- Problem tylko w tym - dodał właściciel pensjonatu - że kuzu porasta wszystko. Nawet trupy.

Adam zjadł kolację w restauracji Lucille, wrócił do pensjonatu i usiadł nad artykułem, który powinien był skończyć trzy tygodnie temu. Włączył magnetofon, nagrał kilka zdań, potem cofnął i skasował zapis. Nie wiedział, jak zacząć tę opowieść, jak wyzwolić się od niej i spojrzeć na nią chłodnym okiem.

Około dziewiątej do pokoju wkroczył Isiah Frank. Otworzył okno mamrocząc, że przez te jego papierosy kot ma astmę - lepiej niech truże sąsiadów. Miał na sobie szary kaszmirowy szlafrok, flanelowe spodnie, czerwone skórzane pantofle i czerwony fular

w żółte i szare kwadraciki. Popatrzył na magnetofon, jakby spodziewał się zaproszenia.

- Kiedy będziesz pisał o mnie - rzekł wychodząc - nie zapomnij dodać, że zawsze jestem świetnie ubrany.

Blue przyszła o dziesiątej. Adam słyszał zgrzyt frontowych drzwi. Wstrzymał oddech czekając, aż wejdzie na jego piętro. Kiedy nie mógł już usiedzieć na miejscu, wybiegł na korytarz i ujął jej twarz w dłonie, palce wsunął we włosy i pocałował ją.

W pokoju ściągał z niej sukienkę cal po calu, patrząc na jej odbicie w wysokim lustrze. Oparła się o niego z rękami splecionymi z tyłu, drżąc w jego objęciach. Całował jej szyję, wdychał z jej skóry zapach nieznanymi granic i niespełnionych tęsknot. Tylko jej pragnę, myślał; tylko jej zawsze będę pragnął.

\*

Tej nocy Blue nie wróciła do męża.

Została z nim aż do południa, spała w jego łóżku i poruszała się po jego pokoju, jakby przeżyła w nim całe życie. Zaintrygowany nie pytał o nic. Lubił się jej przyglądać, starając się odgadnąć jej tajemnicę; samemu odkryć motywy jej działań.

O dwunastej włożyła sukienkę i związała włosy w luźny węzeł na karku.

- Dziś piątek - powiedziała. - Jadę do kościoła.

Milczał. Czekał, aż sama pojmie sens swoich słów. Wiedziała zresztą, co chce jej powiedzieć - że jej działalność w grupie należy do przeszłości, choćby nie wiem jak pragnęła wrócić i miała wiele sił do walki z wężami. Już raz została stamtąd wygnana; wróciła po śmierci córki i być może teraz chciała zrobić to znowu, pokazać wiernym, że jest silniejsza od Sama i wciąż nieśmiertelna. Ale na to było już za późno. Ci ludzie przestali jej ufać, wielu obwiniło ją o śmierć kaznodziei.

- A jeśli cię tam nie zechcą? - spytał.

Poszli piechotą na dworzec kolejowy przy Central Street. Blue zamierzała jechać pociągiem do Chattanooga i tam spotkać się z Anne Pelton na wieczornym nabożeń-

stwie odprawianym przez Jimmy'ego Raya Westona, ucznia Małego Sama. Modły miały trwać do późnej nocy. Potem wróci do domu z Anne lub zanoceje u któregoś z wiernych.

Na ulicy trzymała go pod rękę, nie zważając na spojrzenia przechodniów i nielicznego personelu stacji. Gdy nadjechał pociąg, wspięła się na palce i ucałowała Adama w policzek. Jej głowa na ułamek sekundy przylgnęła do jego piersi. Zauważył jej drżenie, poczuł strach - przed węzami, przed Uświęconymi, przed zagubieniem się w nieznanym - tętniący pod skórą Blue niczym rzeczny prąd. Wraca z niewłaściwych powodów, pomyślał. Członkowie grupy wyczują jej rozpacz i rzucą się na nią jak wilki.

Nie mógł pozwolić, by jechała tam sama.

Wdrapał się do wagonu, podał jej rękę i lekko wciągnął za sobą. Był to pociąg towarowy zmierzający na południe - taki, jakimi Adam jeździł w młodości, odstawiając tytoń do sprzedaży. Kiedy ruszyli, zapalił papierosa patrząc, jak ziemia przesuwa się obok torów. Przymknął oczy i wyobraził sobie, że wyjeżdża z Knoxville na zawsze. Spodobała mu się ta złudna myśl, że już tu nie wróca.

\*

Prawdziwy Dom Modlitwy w Imię Jezusowe był szarym budynkiem wzniesionym z pustaków na środku oczyszczonej z drzew i krzewów działki. Zanim Adam i Blue tam dotarli, nabożeństwo już się rozpoczęło. Wierni zgromadzili się wewnątrz, z dala było słychać ich śpiew i muzykę, tupot uderzających o ziemię stóp i rytmiczne klaskanie.

Ręcznie malowany znak na skraju szosy głosił: MÓDL SIĘ Z NAMI W DRODZE NA SPOTKANIE PANA. Biegła odeń wąska gruntowa droga, która wiała się przez las, kończąc polanką, gdzie stały zaparkowane samochody. Dalej były trzy rzędy drewnianych stołów do wspólnego posiłku, a jeszcze dalej sam kościół. Drugi szyld w kształcie krzyża przybito nad drzwiami. Widniały na nim słowa: PÓJDŹ Z NAMI KU WIECZNOŚCI.

Wewnątrz nie było podłogi, a schludnie zamiecione klepisko. Światło wpadało przez niewielkie prostokątne okna umieszczone wysoko na ścianach. Po jednej i drugiej stronie stało kilkanaście ławek - osobno dla mężczyzn, osobno dla kobiet. Wolną przestrzeń przy drzwiach zajęły dzieci, za małe, by wytrzymać na kolanach matek przez całe nabożeństwo. Pomieszczenie ogrzewał naftowy piecyk.

Dokładnie naprzeciw drzwi, na drewnianej platformie wysokiej na dziesięć cali, stał pomalowany na biało pulpit zbity z desek. Na jego przedniej ściance nakreślono farbą czarny krzyż. Drugi, większy, widniał z tyłu na ścianie.

Ktoś przyniósł tu mikrofon, choć nie było jeszcze instalacji elektrycznej. Pod ścianą stały miski z wodą dla tych wiernych, którzy chcieli umywać bliźnim nogi. Był to dla nich sposób zacieśniania więzi wewnątrz wspólnoty; dla każdego zaś - lekcja pokory.

Na pulpicie przygotowano dzbanuszek z oliwą, dwie lampy naftowe i kilka butelek po coca-coli napełnionych benzyną i zatkanych gałganami. W jednej był zielony gęsty płyn - zapewne, jak domyślał się Adam, kwas akumulatorowy.

Roczne i dwuletnie dzieci biegały po kaplicy i wdrapywały się na ławki. Dwaj nastoletni chłopcy bębnil w cymbały. Anne Pelton tańczyła z tamburynem w dłoni, śpiewając „Jezus zmienił wodę w wino”. Ręce miała wzniesione nad głową, oczy zamknięte, jej ciało kołysało się w rytm muzyki.

Młodziutka żona Boba Reynoldsa, o kształtach już zaokrąglonych ciążą, uśmiechała się półprzytomnie jak w transie. Naprzeciw kobiecie pod trzydziestkę stała zahipnotyzowana niewidoczną dla nikogo prócz niej wizją. Była blada jak upiór, rysy miała ściągnięte, ostre niczym brzytwa, jej kościste dłonie przywodziły na myśl kurze stopy. To jedna z tych kobiet, stwierdził w duchu Adam, dla których tragedia jest chlebem powszednim i szukają jej, gdzie tylko mogą. Taka nie wiedziałaby, co począć z odrobiną szczęścia. Pewnie już od świtu stoi przy drzwiach i całuje po kolei wszystkich przybyłych wiernych, chcąc z nich wyssać radość, a natchnąć tym samym kłębowiskiem złych przeczuć, którymi żyje na co dzień.

Właśnie ona pierwsza ich spostrzegła. Na moment zmrużyła oczy, wbijając je w twarz Blue, potem w twarz Adama. Z ożywieniem zwróciła się do łysego mężczyzny,



który trzymał w objęciach elektryczną gitarę basową - rzecz jasna bez zasilania - i wskazała ich ruchem głowy. Nagle wszyscy obrócili się ku drzwiom. Muzyka powoli cichła, ludzie milkli w pół słowa. Nawet dzieci, pojmując, że dzieje się coś dziwnego, przerwały zabawę.

Blue stała w progu w lekkiej, wyciętej sukience bez rękawów, nie wyglądając zgoła jak pobożna chrześcijanka, za którą niegdyś pragnęła uchodzić. Już sam jej widok tak wszystkich zaskoczył, iż mało kto spostrzegł, że przysłała z kochankiem.

Zza pulpitu podniósł się wysoki kościsty mężczyzna o prostych, strączkowatych włosach. W prawej dłoni dzierżył Biblię, w lewej dzbanek z oliwą. Odchrząknął i ruszył w stronę Blue, jakby chcąc ją ostrzec, iż wkracza na niebezpieczny grunt. Można by pomyśleć, że powoduje nim troska o nią, a nie chęć ukarania grzesznicy. Ze sposobu, w jaki przejął inicjatywę, Adam wywnioskował, że musi to być tutejszy pastor, a przynajmniej wikary.

- Siostra Blue! - Sam ton jego głosu wyrażał oskarżenie, którego nie musiał ubierać w słowa.

Blue stała prosto, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków. Minę miała poważną, lecz nie przestraszona, tak spokojną, że mogła albo rozbroić, albo jeszcze bardziej rozwścieczyć tego człowieka.

- Witaj, Jimmy Ray - powiedziała cicho. Patrzyli na siebie - pastor z wyżyn swego wzrostu, zbrojny we władzę nad duszami wiernych.

Równocześnie z boku wychynął Paul Kane, świeżo mianowany zwierzchnik Przydrożnego Kościoła Grobu Pańskiego, i uściśnął dłoń Adama.

- Witam!- odezwał się zbyt głośno, by zabrzmiało to naturalnie. - Witam!

Paul Kane był jednym z pierwszych ludzi, z którymi rozmawiał Adam po przyjeździe do Knoxville. Młodszy i bardziej otwarty niż większość tutejszych duchownych, zaprosił Adama do domu i z dużą dozą szczerości odpowiadał na jego pytania. W zamian prosił tylko o uczciwość i obiektywizm przy pisaniu artykułu.

Pastor Jimmy Ray Weston spojrzał na Kane'a i natychmiast pojął znaczenie tej sceny. Przez chwilę rozważał, czy broniąc swych przekonań mądrze postąpi wszczynając

zatarg z duchownym tej samej wiary. Paul Kane klepał Adama po plecach, jakby znali się od dzieciństwa. Weston uznał, iż nie jest to odpowiednia pora na konfrontację.

Blue weszła do kaplicy i usiadła w pierwszej ławce po kobiecej stronie. Tuż za nią Anne Pelton zaczęła śpiewać „Amazing Grace” - przez chwilę sama, potem przyłączyli się inni, wtórując sobie na różnych instrumentach.

Za pierwszą pieśnią popłynęła druga, później trzecia. Około godziny ósmej pastor dał znak, by przerwać śpiew, i zaprosił do przodu wszystkich, którzy chcą dać świadectwo. Na kilka chwil zapadła nerwowa cisza, zmałona tylko szmerem zacieranych rąk i poprawiających się w ławkach ciał. Dzieci pozadzierały głowy, ciekawe, kto pierwszy podejdzie do pulpitu. Najpierw wstał potężny mężczyzna z wielkim brzuchem i krótkimi nogami. Oznajmił, że nazywa się E. Preston Pope i od tygodnia odwiedzają go anioły. One to kazały mu dać świadectwo, choć czemu miało ono służyć, tego Pope nie wie. Był wnukiem wyznawcy zwanego „Janem Chrzycielem”. Miał on zwyczaj stać w świątyni z rękami rozkrzyżowanymi na wzór Chrystusa. Kobiety podchodziły, żeby go dotykać, chłonąc w ten sposób cząstkę Ducha Świętego emanującego z jego ciała. Niektóre, jak wspominał dziś E. Preston Pope, mdlały przy tym z rozkoszy.

Po nim świadczył Paul Kane, następnie zaś kobieta w średnim wieku, z blizną na twarzy. Jąkając się makabrycznie, zdołała opowiedzieć, jak pewien kaznodzieja z Georgii uleczył ją ze „złych snów i grzesznych pragnień”. Kaznodzieja ów, ongiś sparaliżowany i uleczony w młodości przez Sama Jenkinsa, obiecał jej, że w następnej kolejności wyleczy ją z zaburzeń mowy. Wypowiedź kobiety przerywały okrzyki wiernych: „Wysłuchaj jej, Panie!” i „Wspomóż ją, słodki Jezu!”

Wszystkie te obrządki wyglądają tak samo, pomyślał Adam. Wyglądały tak, zanim Jenkins po raz pierwszy wniósł na zgromadzenie węża, być może nawet zanim Kościół Boży przyjął swoje miano. Jednakże dziś, będąc dorosły, patrzył na nie zupełnie innymi oczyma.

W dzieciństwie ci ludzie go przerażali. Nie znosił, gdy Rose przedstawiała go jako „dziecko grzechu mojej córki”. Często przez całe nabożeństwo siedział z pięściami

wciśniętymi w kieszenie i głową pełną apokaliptycznych wizji zniszczenia tych, którzy obsypywali wyzwiskami jego matkę. Miał nadzieję, że węże zabiją ich wszystkich, że butelki z benzyną eksplodują im w rękach i kościół spłonie do fundamentów.

W sierocińcu chętnie dawał wiarę każdej tezie uwłaczającej zaklinaczom węży i notował w pamięci wszystkie argumenty przeciw nim. Byli to, jak twierdził pan Harris, przestępcy dążący do obalenia porządku publicznego, komedianci i szarlatani żerujący na ciemnocie górali. Rzekomo jadowite węże miały wyrwane zęby jadowe, bywały też ogłuszane głośną muzyką, przez co niezdolne do ataku, lub dezorientowane temperaturą ciała zaklinaczy.

Trucizny używane podczas obrządku były zdaniem Harrisa znacznie rozcieńczone wodą, nie przedstawiały więc żadnego zagrożenia. Może to zresztą wcale nie były trucizny; a może wierni pili je tak często, że ich organizmy zdążyły się uodpornić. Co prawda wkładali głowy i twarze w płomień, ale każdy płomień ma „zimną plamę” - kilka milimetrów niebieskiego światła, które nie parzy. Gdy chwyтали rozpalone do czerwoności żagwie, po prostu wiedzieli, gdzie je złapać.

Adam znał te wszystkie argumenty, słyszał je tysiące razy w mediach. Przez lata usiłował wierzyć logice ludzi z zewnątrz. Przystudiował wszystko, co zdołał znaleźć na temat węży i ich zachowania, czytał opracowania dotyczące praktyk religijnych w innych częściach świata. Wiedział jednak - a wiedział, bo przyglądał się, jak babka łapie węże, spał w wagonie na skrzynce, w której były zamknięte, nieraz nosił je z Rose na zgromadzenia - że wierni nie wrywają węzom zębów i nie odciągają jadu. Często brali do rąk gady znoszone przez szyderców i niedowiarków, pragnących zadać im kłam.

Wiedział też, że węże są głuche, nie sposób ich więc otumanić głośną muzyką i nie stwierdzono różnic w ich zachowaniu w zależności od temperatury ciała trzymającego je człowieka.

Wiedział, że ludzki organizm nie uodparnia się przeciw toksycznym chemikaliom; w istocie jest na nie coraz bardziej podatny przy kolejnych zatruciach.

Wiedział, że nie istnieją „zimne płamy” w płomieniu, nie ma właściwego sposobu, by chwycić rozżarzoną głównię.

Wiele lat po tym, jak poprzysiął sobie, że odkryje łgarstwa zaklinaczy węży, Adam doszedł do tego samego wniosku, który niezmiennie wprawiał w zakłopotanie dziennikarzy i naukowców: nazbyt często bez żadnych logicznych przyczyn węże nie kąsały, ogień nie parzył, a strychnina nie zabijała tych, którzy wierzyli.

Okolo dziesiątej wierni znów zaczęli śpiewać i tańczyć wokół ławek. Nagle kobieta o chudej twarzy stanęła jak wryta, krzyknęła: „Dzień Sądu jest już bliski!” i padła zemdlna na ziemię. Dwaj mężczyźni przeciągnęli ją za ręce na środek i uklękli obok, składając ręce. Wezwano pastora, żeby ją ożywił. Jimmy Ray Weston z modlitwą na ustach nachylił się nad kobietą i dotknął jej czoła najpierw Biblią, potem dłonią. Muzyka przybrała na sile. Jimmy Ray na kolanach kiwał się w tył i w przód. Kobieta wiała się w ekstazie, oczy miała wciąż zamknięte. Pastor położył dłonie na jej ramionach i kolanach, dotknął jej warg, brzucha, kości biodrowych i krocza.

Kobieta otworzyła oczy.

- Chwalmy Pana!

Był to punkt zwrotny ceremonii. Atmosfera nagle zelżała, wierni wyczerpani wracali powoli na miejsca. Jimmy Ray przechadzał się przed pulpitem z opuszczoną głową i dłonią przyciśniętą do piersi.

- Nazywam się Jimmy Ray Weston - zaczął - i jestem tu, aby przyjąć Ducha Świętego.

Mówił powoli, z przerwami; zatrzymywał się, by przeczesać palcami włosy lub zaczerpnąć tchu. Miał bliznę na wierzchu dłoni i nawyk kołysania ciałem, który nasilał się, gdy był podniecony. Z pewnością nie należał do ludzi wykształconych, ale mówił z pasją, zaraźliwą i szczerą. Widać było, że namiętnie pragnie przekazać innym swoją wiarę.

- „Wszystkie rzeczy dopomagają ku dobremu tym, którzy miłują Boga” - zacytował List świętego Pawła do Rzymian.

Mówił ponad godzinę, od czasu do czasu tylko pozwalając wiernym odśpiewać hymn. Zdołał przykuć ich uwagę tak niepodzielnie, że nikt już nie pamiętał o obecności Blue. Nagle Adam ujrzał ją w drugim końcu kościoła. W rękach trzymała węża.

Był to prawie dwumetrowy mokasyn o trójkątnej głowie i wzorzystych rdzawo-koralowych łuskach. Trzymała go w połowie, ugiąwszy nieco łokcie. Dłonie miała zwrócone wnętrzem ku sobie. Była spokojna, lecz skupiona, skoncentrowana na pełznącym jej po rękach gadzie, głucha na wszystko, co działo się dokoła niej.

Przerażony Adam zerwał się z miejsca i wyskoczył na środek kaplicy. Chciał rzucić się na Blue, wyrwać jej węża, jeśli zdoła. Ktoś go złapał i odciągnął do tyłu.

- Spokojnie - syknął mu do ucha E. Preston Pope - bo ukąsi.

Adam wyrwał się z uścisku, rozepchnął otaczających go wiernych. Instynkt nakazywał mu działać, ale wiedział, że Pope ma rację - każdy gwałtowny ruch może narużyć chwiejną równowagę i sprowokować zwierzę do ataku.

Blue szeptała coś do węża. Ona się z nim nie zмага, raczej go uwodzi, pomyślał Adam.

Gad owinał ją ogonem w pasie i pełzł w górę, ku twarzy. Pozwoliła mu prześliznąć się z piersi na szyję. Kiedy zatrzymał łeb o cal od jej krtani, przestała szeptać i zamknęła oczy.

Wąż otarł się o jej policzek, przyłożył łeb do warg.

Blue zeszywniała. Stała nieruchomo, gdy wpełzł jej na głowę, owinał się wokół szyi. Potem spłynął w dół po plecach, przez wycięcie rękawa wśliznął się pod suknię, pomiędzy materiał a nagie ciało.

Anne Pelton śpiewała o zbawieniu głosem nabrzmiałym łzami. Słyszając ją, Blue otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Wyglądała, jakby była gdzieś bardzo daleko - głęboko pod wodą, która zniekształca obrazy i tłumi dźwięki.

Widoczny pod cienką tkaniną wąż owinał ją w pasie. Potem wspiął się wyżej, oparł głowę dokładnie między piersiami Blue, uniósł ją, cofnął, znów opuścił.

Blue zadygotała krótko, jej wargi przestały się poruszać. Wyglądała na zaskoczoną, jakby zadano jej pytanie, którego się nie spodziewała.

Ból skurczył jej twarz i wycisnął łzy z oczu. Dłonie zastygły w powietrzu.

Potem na sukience pojawiła się pojedyncza czerwona plamka.

Została ukąszona. Ukąszona przez mokasyna tutaj, w środku lasu, na kompletnym bezdrożu, o parę godzin od najbliższego szpitala.

Uniosła drżące ręce do piersi. Adam zdał sobie sprawę, że Blue się boi. Kobieta o ostrej jak brzytwa twarzy także spostrzegła, że coś poszło źle. Wpatrywała się w plamę krwi rosnącą na przodzie sukni.

Nie wiadomo, ile jadu wstrzyknął ani kiedy ugryzie ponownie, myślał Adam. Tak blisko serca następne ukąszenie spowoduje natychmiastową śmierć.

Podbiegł, odpychając na bok chudą kobietę. Wargi Blue były kredowobiałe, twarz pokryta potem. Dygotała teraz na całym ciele. Wiedział, że jeszcze chwila, a straci przytomność.

Obiema rękami rozdarł przód sukni, odsłaniając jej nagie ciało i owiniętego wokół węża. Chuda kobieta wrzasnęła ostrzegawczo. Blue wciąż stała bez ruchu. Mokasyn zacisnął się wokół jej talii, odwrócił, unióś łeb i z szybkością błyskawicy zaatakował Adama. Ten instynktownie chwycił go pod szczęką, ściskając palcami krtań. Wąż walczył zaciekłej, niż Adam się spodziewał, gwałtownie młóćąc ogonem biodro Blue. Adam ścisnął go kurczowo, ręka bolała go z wysiłku. Zobaczył, że Blue z trudem łapie powietrze, i zrozumiał, że musi szybko ją uwolnić. Wygiął przegub w tył i w dół, po czym szarpnął z całej siły.

Mokasyn zeszywniał i nagle zwiotczał. Adam pociągnął jeszcze raz. Wąż zsunął się z Blue jak kawałek liny.

Blue miękko padła na ziemię niczym lalka z gałganków i sznurka.

Adam przyklęknął na jedno kolano, otworzył dłoń, przyciskając ją płasko do podłoża. Wąż luźnymi skrętami stoczył się na ziemię, po czym odpełzł. Jimmy Ray Weston zapędził go do klatki za pomocą rozwidlonej gałęzi. Następnie zaintonował: „Chwalmy Pana!”. Ale wierni milczeli, oniemiaли i głusi na jego słowa.

Adam porwał kluczyki do samochodu Anne Pelton i pognął na parking. Podjeżdżając przed kościół, w świetle reflektorów ujrzał Blue. Paul Kane wyniósł ją na zewnątrz i ułożył na kocu na jednym ze stołów. Wokół klęczeli pogrążeni w modlitwie wierni.

Jimmy Ray Weston podał mu wskazówki, jak dotrzeć do lecznicy, która może być jeszcze otwarta o tej porze.

- Niepotrzebny byłby jej lekarz, gdyby duszę miała czystą - mruknął, kiedy Adam niósł Blue do samochodu.

Jechali przez las krętą drogą, która wznosiła się coraz wyżej, a potem miała stopniowo zejść do głównej szosy. Góra rzucała na drogę długi czarny cień i przesłaniała znaczną część nieba. Blue siedziała obok na przednim fotelu z głową opartą o zwinięty koc wetknięty między oparcie a szybę. Była rozpalona, co jakiś czas kaszlała, jakby w płucach uwięzło jej coś twardego. Adam trzymał ją za rękę i powtarzał, żeby nie zasypiała, zaraz zawiezie ją do szpitala, później zaś do domu...

Nie odpowiadała. Coraz słabiej zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Kiedy znów kaszlnęła, z ust spłynęła jej wąska strużka krwi.

Trzymaj się, pomyślał, a może powiedział na głos. Trzymaj się, niedługo dojedziemy, znajdziemy się na równinie, gdzie są latarnie i drogowskazy. Gdzie pokłada się wiarę w rękach ludzkich, nie boskich.

Trzymaj się, myślał, zdając sobie sprawę, że są zupełnie sami, poza zasięgiem członków grupy i ich modlitw, otoczeni ścianą drzew i skał na wąskiej drodze, która ma wyprowadzić ich do świata.

Po śmierci Rose Watkins wyglądała tak jak zwykle. Zgasła podczas modlitwy, orzekli sąsiedzi - stąd podniosły, nieco zadumany wyraz twarzy. Dopiero znacznie później Adam uświadomił sobie, co najbardziej go dręczyło owego dnia: że po zgonie babka wyglądała tak samo jak za życia. Wydawało mu się, że tak być nie powinno, że linia dzieląca ten i tamten świat musi być wyraźnie zaznaczona, a będąc źródłem fizycznego i emocjonalnego zamętu, życie powinno mieć inną twarz niż śmierć.

- Trzymaj się - powiedział do Blue.

Góra wisiała nad drogą; widział ledwie parę metrów przed maską. Przypomnił sobie wskazówki, jakie dał mu Jimmy Ray na parkingu przed kościołem, odtworzył w myśli każdy pokonany zakręt. Dojazd zdawał się prosty, ale tutaj, w lesie, wszystko wyglądało identycznie. Nagle spostrzegł, że droga kończy się, zamknięta skalną ścianą.

Zerknął w lusterko, wychylił się przez okno. Musiał źle skręcić. Zgubił się i stracił cenny czas.

Blue znów zakaszłała. Oczy jej się zamknęły, głowa opadła bezwładnie na bok.

Adam wycofał samochód i zawrócił; znalazł rozjazd, na którym przypuszczalnie zbłądził, i tym razem skręcił w przeciwną stronę. Jechał szybko, lecz nie potrafiłby powiedzieć dokąd - nie widział żadnych znaków, niczego, co odróżniałoby tę drogę od innej. Kilka minut później też okazała się ślepa.

Ogarnęła go panika, o jaką nigdy by się nie podejrzewał - oślepiający, duszący strach, który zaciskał mu szczęki i mroził palce zgięte na kierownicy.

Zjechał na pobocze, wyłączył silnik i wyskoczył z wozu, rozglądając się za jakimś domem, w którym mógłby zapytać o drogę. Nie było nic - ani ludzi, ani świateł, ani nawet zwykłych odgłosów nocnego życia lasu.

Blue znów kaszlnęła krwią. Skórę miała teraz chłodną i szarą jak pergamin.

- Trzymaj się.

Otworzył drzwi po jej stronie, ukląkł na ziemi i ujął jej obie ręce.

Puls miała chaotyczny, w oddechu czuć było zapach krwi. Zdał sobie sprawę, że nic nie jest w stanie zrobić - co najwyżej czekać i mieć nadzieję, że jej organizm sam zwalczy jad.

„Jednemu dany jest przez Ducha dar mądrości słowa”

- przypomniał sobie nagle werset z Pierwszego Listu do Koryntian - „drugiemu dar poznawania wedle tegoż Ducha; trzeciemu zaś dar wiary w tymże Duchu...”

Trzymaj się, prosił, wodząc wargami po czole i nosie Blue, całując jej oczy i włosy. Przemawiał do niej, choć nie wiedział, co mówi, modlił się nie wiedząc, czy ona to słyszy.



„Innemu dar wiary w tymże Duchu...”

Otarł dłonią jej czoło, wierzchem palców pogłaskał policzek.

Zawiódł ją, nie ochronił jej przed szaleństwem, nie powstrzymał, chociaż wiedział, że powinien. Zawiódł ją w najważniejszej chwili, a teraz miotał się bezsilnie w cieniu gór, tłumacząc się przed samym sobą, że jest tylko człowiekiem.

Trzymaj się, błagał. Jego łyzy mieszały się z jej łzami. Jej ponownie rozpalona skóra parzyła go w usta. Rozchylił sukienkę. Zobaczył dwie dziury po zębach mokasy.

Były czerwone, lecz zaczynały czernieć; ciało wokół miało sino-błądą barwę.

Trzymaj się, prosił przykładając usta do rany.

Przez całą noc trzęsła się w gorączce. Owinął ją w koc i co parę minut kontrolował puls. Sprawdzał, czy zaognienie się nie zwiększa, i starał się obliczyć czas pozostały do wschodu słońca, gdy będzie mógł podjąć próbę wydostania się z gór.

Przed świtem Blue przestała dygotać; czuł, że gorączka słabnie. Zapytał, czy pamięta wydarzenia zeszłego wieczoru, ale nie patrzyła na niego i nie odpowiedziała. Posadził ją więc z powrotem na przednim siedzeniu i uruchomił silnik. Niżej, pomiędzy drzewami na zboczu, widział coś, co przypominało skrawki szosy. Oddech Blue wrócił do normy. Po chwili zasnęła. Pomyślał, że być może najgorsze już za nimi. Puścił dłoń Blue, żeby otworzyć okno i odetchnąć rześkim porannym powietrzem. Jęknął z ulgą. Czuł tępy ból w ramieniu, rezultat walki z wężem. Nagle przypomniał sobie pożegnalne słowa pastora Westona. Na ułamek sekundy ujrzał rękaw koszuli związany kawałkiem sznurka i chudy tors kołyszący się w tył i w przód.

Skręciwszy na Chattanooga włączył radio. Słuchając suchego terkotu spikera podającego poranne wiadomości, patrzył na śpiącą obok Blue. Miał wrażenie, że tak było zawsze - że przez całe życie jeździli razem tym starym gruchotem, siedzieli przy sobie o wschodzie słońca, gdy wznosi się nad górami oświetlając drogę, która wiedzie ich przez ból do domu, do siebie nawzajem.

- Zabiłam go, to prawda.

Twarz miała odwróconą, głos cichy, niepewny.

- Zabiłam Małego Sama Jenkinsa z pomocą grzechotnika, wiele godzin po tym, jak wszedł do opuszczonej kuźni w Altha, by nauczać swojej wersji miłości Bożej. Umarł, choć miał za sobą dziewięć dziesiątków lat i czterysta czterdzieści sześć ukąszeń jadowitych węży, galony wypitej trucizny, tuzin ran od noża, porażenie prądem i więzienie. Wiedziałam: on albo ja. Ja ocalałam.

Po śmierci córki zaczęłam znów chodzić do kościoła z Anne Pelton wbrew woli mojego męża. Nie chciałam wojować z Samem; szukałam towarzystwa innych ludzi, spokoju płynącego z modlitwy, szansy, że odnajdę nadzieję.

\*

Kiedy Anne po raz pierwszy przyjechała po mnie, Profesor był przerażony; stanął w drzwiach i nie chciał mnie wypuścić. Tego roku rozstał się z uczelnią i większość czasu spędzał w domu, czytając Stary Testament. Spisywał też swoje myśli i refleksje. Przestał dbać o wygląd i ubiór; ogród zarósł, dom pogrążył się w nieładzie. Rozmawiał ze mną długo, argumentując, dlaczego wśród świętych pielgrzymów nie ma dla mnie miejsca, dlaczego górale,

którzy przeżyli w izolacji dwieście lat, nigdy za swojego nie uznają kogoś z zewnątrz, zwłaszcza cudzoziemki jak ja. Mówił, że prędzej czy później zginę od ukąszenia lub trucizny, a w każdym razie igranie ze śmiercią przyniesie mi więcej szkody niż modlitwa ulgi.

Może i miał rację, ale wtedy kościół był jedynym miejscem, gdzie mogłam wrócić.

Mały Sam niemal natychmiast znów zaczął mnie atakować, lecz przez dłuższy czas nie zwracałam na to uwagi; zresztą nie obeszło mnie to dostatecznie, by sprowokować jakąkolwiek reakcję. Śmierć córki ugodziła mnie głębiej niż wszelkie ludzkie słowa i uczynki - także słowa i uczynki Sama. W owym okresie, pogrążona na przemian w rozpacz i w kompletnym odrętwieniu, po prostu go nie dostrzegałam.

Im dłużej jednak z nimi przebywałam, tym większą przykładam do tego wagę. Po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że chodzę na modły głównie po to, by dowieść

samej sobie, że jestem do tego zdolna, że potrafię pokonać Sama w jego grze. Podjęłam walkę, nie wiedząc dokładnie, dlaczego chcę wygrać. Stało się to dla mnie ważniejsze niż religia. Pozostałam więc. Rok po roku, odpierając ataki Sama i jego węży, czułam, jak znów wstępuje we mnie życie. Byłam górą; w końcu Sam postanowił przenieść wojnę na inny grunt.

Zaczął szukać dowodów przeciwko mnie; chciał się nimi posłużyć, aby wykluczyć mnie z grupy. Rozpytując tu i tam, dowiedział się o wyjazdach mego męża do Memphis. Ujrzał czarno na białym rozwiązanie zagadki życia Profesora: ten człowiek był żydem - żydem uchodzącym za chrześcijanina. W tej sytuacji ja również stawałam się żydówką lub co najmniej półżydówką, a już na pewno kłamczynią i diablicą, zataiłam bowiem prawdę przed grupą.

Właśnie to Mały Sam zamierzał wyjawic wiernym, nim go zabiłam.

Trzy tygodnie przed wyjazdem do Althy byliśmy w kościele Matki Bożej w Mount Vernon w stanie Kentucky. Całotkie kazanie Sam poświęcił wszetecznicom i cudzołożnicom strojącym się w nimb świętości. Nie wymienił mojego imienia, ale wierni znali go przecież na tyle dobrze, by wiedzieć, o kim mówi, bez wskazywania palcem. Słyszałam za sobą szepty, widziałam zmrużone oczy i rzucane z ukosa spojrzenia. Pozbyłby się mnie już wówczas, gdyby nie wąż, który ukąsił Tessa Bettisa i zabił go na miejscu.

Tess krzyknął; próbował odrzucić węża, lecz ten zacisnął szczęki i Tess musiał go oderwać siłą. Zobaczyliśmy dwie rany po zębach jadowych, z których tryskała krew.

Tess natychmiast zaczął sinieć. Ktoś spytał, czy wezwać lekarza, a on odparł: „ Tak, szybko, sprowadźcie pomoc; ja tu umieram, a Pan mnie nie słyszy”. Potem dostał konwulsji i po chwili był już martwy. Miał dwadzieścia sześć lat i osierocił piątkę dzieci.

Mały Sam odniósł fatalnego węża i wepchnął go do pudełka.

- Nie miał w sobie dość wiary - rzekł, by nam wyjaśnić śmierć Tessa. - Nie wolno wam poddawać się próbie, gdy przepełnia was strach, a nie Duch Święty.

W drodze powrotnej z pogrzebu Anne bez ustanku mówiła o chwale Bożej i o tym, że Tess umarł szczęśliwy, wiedząc, że jest bliżej Boga niż kiedykolwiek w życiu. Mówiła też o swej rodzinie, o mężu i bracie, którzy zginęli w ciągu jednego miesiąca - brat od strychniny, mąż od ukąszenia - i że ich śmierć umocniła ją w woli zwalczania szatana poprzez modlitwę i nabożne uczynki.

Wtedy po raz pierwszy widziałam, jak ktoś umarł podczas ceremonii. Nie mogłam się wyzbyć myśli, że to ja mogłam teraz leżeć w trumnie, że to mnie Mały Sam mógł wyprawić na tamten świat.

Potem wyruszyliśmy na Florydę.

Jechaliśmy dwanaście godzin z Knoxville przez Albany na południe, do hrabstwa Calhoun, dwadzieścia pięć mil od granicy stanów Georgia i Floryda. Przed szopą Lestera w pobliżu Althy zobaczyliśmy zaparkowane trzy tuziny ciężarówek. Ludzie czekali już na przybycie Małego Sama. Od śmierci Tessa nie bywałam na nabożeństwach, ale Anne wpadała do mnie w każdy poniedziałek i wiedziałam od niej, że Sam ani razu nie tknął węży. Powiedział tylko, że nie czuje się napełniony Duchem Świętym, wyglądało jednak na to, że nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Tak przynajmniej twierdziła Annie. A teraz znajdował się pod silną presją: wierni oczekiwali, że da im przykład, lokalne gazety wysyłały reporterów na każde zgromadzenie w nadziei, że znów zdarzy się wypadek i będą mieli o czym pisać.

To słaby punkt Sama, pomyślałam: strach, który pragnie ukryć.

Podczas nabożeństwa Sam w ogóle na mnie nie patrzył. Centralne miejsce zajmowała wdowa po Tessie i jego piątka dzieci. Mały Sam wyznaczył im główną rolę: mieli śpiewać i mdleć w ekstazie, by dać świadectwo prawdzie. Ale kiedy przyszła kolej na kazanie, wybrał ustęp z Pierwszego Listu do Koryntian: „Czyż nie wiecie, żeście świątynią Boga i że Duch Boży mieszka w was? Jeżeli ktoś zniszczy świątynię Boga, tego zniszczy Bóg.”

Mówił o tym, na jak wiele sposobów kobieta może zniszczyć świątynię Bożą, a także o tym, jak może być ukarana.

Znów pił do mnie, lecz tym razem patrzyłam na pudełka z węzami ustawione pod ścianą szopy i wiedziałam już, jak się odegram.

Kazanie dobiegało końca; Sam zamierzał wycofać się bez próby, ignorując oczekiwania wiernych, że dowiedzie im siły swojej wiary.

Wpadła mi w oko puszka, w której trzymał grzechotnika - tego samego, który zabił Tessa.

Wiedziałam, że grzechotniki są bardziej agresywne od innych węży, z którymi zwykle mamy do czynienia. Wiedziałam, że Sam się boi. A węże wyczuwają strach i atakują słabych.

Otworzyłam puszkę, wyjęłam z niej węża i wręczyłam go Samowi.

Ręka napuchła mu tak, że była trzy razy grubsza aniżeli normalnie. Ciało szerniało, zaczął wymiotować krwią. George Guilford, szeryf hrabstwa Calhoun, zapytał, czy ma zawieźć go do szpitala, ale Sam oczywiście odmówił. Leżał na podłodze, otoczony przez pogrążonych w modłach czcicieli, i wpatrywał się we mnie.

Wierni wzięli go na ręce i zanieśli do pobliskiego domu, gdzie zamierzali modlić się dalej do czasu, aż wyzdrowieje. Nastrój wciąż daleki był od grozy. Ludzie rozmawiali i jedli przed domem, modlili się wewnątrz. Reporterzy palili papierosy na schodkach, nawet szeryf Guilford, do którego obowiązków należy egzekwowanie prawa zakazującego używania węży podczas ceremonii, gawędził wesoło i pił lemoniadę, zamiast nas aresztować. W istocie nikt nie sądził, że Sam umrze, toteż nikt nie zastanawiał się nad tym, iż to ja skłoniłam go, żeby wziął węża.

Jednakże Sam puchł coraz bardziej i czerniał dosłownie w oczach; z godziny na godzinę coraz silniej majaczył i nagle zrozumieliśmy, że tym razem to co innego - tym razem nie wyjdzie z tego jak setki razy przedtem; jest śmiertelny, bezbronny, a jego walka dobiegła końca.

Uświadomiłam sobie, że krok dzielący niewinność od winy jest niczym tyknięcie zegara - szybki, łatwy i niemożliwy do odwrócenia.

Czując, że umiera, Sam poprosił szeryfa, by sprowadził jego dzieci z Kentucky i Tennessee czy gdzie tam je znajdzie. Guilford przyrzekł, że się tym zajmie, po czym

wszyscy zaczęliśmy się gorączkowo modlić. Jakiś czas później Guilford wrócił z posterunku i powiadomił Sama, że cały konwój jego potomków zmierza na Florydę. Wiesz, tacy są górale: zwykle ponad wszystko cenią sobie rodzinę, podtrzymują więzy lojalności i krwi.

Mając nadzieję, że nikt nie obciąży mnie winą, klęczałam wraz z innymi i śpiewałam: „Wiara, wiara uleczy wszystkie rany”.

Sam posłyszał mój śpiew i rozejrzał się. Podniósł opuchniętą rękę w moim kierunku i chciał coś powiedzieć, ale z ust dobył mu się tylko cichy skowyt; kaszlał krwią, ilekroć chciał wydusić z siebie choć słowo. Rozejrzał się więc ponownie, wyłowił wzrokiem z tłumu szeryfa Guilforda i dał mu znak, by przyłożył ucho do jego ust. Zrozumiałam wtedy, że umierając Sam odbierze mi to, czego nie zdołał odebrać za życia: moje miejsce w grupie, zaufanie wiernych, szansę na bycie pośród ludzi.

- Ta kobieta wniosła strach do mojego kościoła i podała mi węża, by mnie zabić - powtórzono mi później jego słowa. - Jest winna; tak samo winna, jak gdyby strzeliła do mnie z dubeltówki.

\*

Isiah Frank przyniósł Adamowi filiżankę kawy po turecku z piramidką kostek cukru w pastelowych kolorach. Postawił kawę na stoliku obok łóżka i krytycznym spojrzeniem obrzucił pograżony w nieładzie pokój. Pod nieobecność Adama zaczął tu sprzątać. Pościelił łóżko, zabrał odzież do prania, poukładał ją schludnie w szufladach, nie w plecaku. To nie była poufałość; chciał mieć swego gościa na oku, trzymać rękę na pulsie.

Przez całą noc Adamowi śnił się Sam. Leżał na desce w jakimś obcym domu. Twarz i całe ciało nabrzmiało czarną opuchlizną. Stopy miał bose, zniekształcone od zbyt ciasnych butów. Wokół klęczeli ludzie pograżeni w modlitwie. Czekali, aż wstanie, aż podniesie się z martwych, jak i ich obiecywał podnieść. Jednakże Sam nie wstał.

Obudziły Adama kroki Isiaha. Usiadł na łóżku, z trudem otworzył oczy, powoli przypominając sobie wydarzenia ubiegłych dwóch dni - podróż pociągiem do Chattanooga, wypadek Blue, godziny spędzone w samochodzie, gdy nie wiedział, czy przeżyje.

Nim znaleźli szpital, do którego skierował ich Jimmy Ray Weston, organizm Blue zwalczył już najgroźniejsze efekty działania jadu. Przyjęto ją, położono na obserwacji, potem wypisano do domu. Wracali do Pineville samochodem Anne Pelton.

Blue milczała i prawie nie patrzyła na Adama.

Przez piętnaście lat siostra Blue Kerdi wierzyła, iż jest odporna na jad węża. Dowiedziała się, że była w błędzie.

- Kupuję kawę u pewnego Ormianina, który handluje nią na własny rachunek w sklepie swego szefa - mówił Isiah, zaglądając kolejno do szuflad komody. - Kiedy tam jestem, zawsze parzy mi filiżankę. Gotuje ją z mlekiem i cukrem, aż piana płynie z garnka. Potem czyta mi przyszłość z fusów.

Przystanął i obrzucił Adama pogardliwym spojrzeniem.

- Powinieneś kiedyś go odwiedzić - wycedził. - To naprawdę rozjaśnia umysł.

Adam wstał i powłókł się do umywalki. Spryskał twarz zimną wodą, zapalił papierosa i opadł na krzesło obok komody. Czuł się wyczerpany, stłamszony targającymi nim sprzecznymi uczuciami i nie miał najmniejszej ochoty znosić tego człowieka.

- Oczywiście niektórzy wolą patrzeć na świat przez mgłę - ciągnął Isiah Frank.

Adam zerwał się z krzesła, złapał tamtego za kołnierz i odwrócił do siebie.

- Czego chcesz? - warknął. - Czego tutaj szukasz? Isiah skamieniał. Stał ze wzrokiem wbitym w twarz Adama, świadom, że każde słowo, najlżejszy ruch może sprokocować atak. Chwilę później delikatnie uwolnił kołnierz z pięści Adama i cofnął się o krok. Wiedział, że nie on wzbudził jego wściekłość. Uczynili to inni - Blue, Professor, wspomnienie Clare, węże oraz pewien nieżyjący już człowiek, którego Adam chciał zrozumieć, a który wciąż go prześladował. Przez dłuższy czas patrzyli na siebie. W końcu Isiah zebrał się na odwagę.

- Twoich oczu - powiedział. - Otwórz je wreszcie.

\*

Profesor, rzecz jasna, wiedział o ich związku. Tego Adam był pewien. Blue nie starała się zachować go w tajemnicy ani ukryć Adama przed oczyma męża czy świadków. Jej śmiałość dawała mu poczucie bezpieczeństwa, wrażenie, że należy wyłącznie do niego, że jej mąż nie ma znaczenia, nie istnieje. Każdej nocy tulił Blue w ramionach wiedząc, że Profesor czeka na nią w domu, chodzi po pokojach szukając śladów intruza. Sprawdza odciski palców, staje nad łóżkiem wypatrując odcisniętej w pościeli sylwetki rywala, zadaje sobie pytanie, czy pod jego nieobecność Blue nie wpuściła kochanka do domu, który był dla niego święty.

Wiedział o nich, a jednak nie zrobił nic, by położyć temu kres.

To nie ma sensu, myślał Adam, że człowiek, który dołożył tylu starań, by stworzyć sobie dom, który tak starannie planował każdy ruch, ważył każde słowo, ba - każde tchnienie, z własnej woli dopuszcza, aby go okradano.

Zwątpienie, podobnie jak namiętność, weszło mu już w krew.

Znalazł Isiaha w pracowni za kuchnią. Nie był pewien, czy powinien otwierać się przed nim, wyznaczać mu do odegrania rolę w i tak już zbyt pogmatwanym związku. Ale Isiah znał Blue chyba lepiej niż ktokolwiek inny. Poza tym chciał rozmawiać. Zastawił nań przynętę, której Adam nie był w stanie zignorować.

Znużony poszukiwaniem nowych eksponatów do swojej kolekcji, Frank kupił książkę o obróbce szkła i właśnie uczył się tej sztuki. Pochylony nad dużym stołem, trzymał w ogniu palnika kawałek barwnego szkła, który zaczynał mięknąć w żarze.

- Co jest z tym staruszkim? - zapytał Adam od progu.

Isiah nie odrywał wzroku od płomienia. Milczał tak długo, jakby w ogóle nie usłyszał pytania.



- Z którym? - odparł w końcu, wciąż nie patrząc na Adama. - Tym, którego już zabiła, czy tym, którego dopiero musi ukatrupić? - Podniósł głowę i mrugnął do niego kpiarsko.

Adam poczuł, że żołądek mu się wywraca.

- Mam na myśli jej męża - rzekł sucho.

Isiah rozciągnął kawałek szkła niczym sznurek, po czym zwinął go spiralnie na podobieństwo różka. Kiedy skończył, wyłączył palnik i zdjął gogle.

- Wejdz. - Kiwnął ręką, wskazując krzesło po drugiej stronie stołu. Pomimo pięćdziesiątki na karku wciąż był smukły i muskularny. Rysy twarzy, dojrzałe, lecz nie rozlane, cechowała duma widoczna mimo afektowanych manier. - I co ma być z tym mężem?

- Dlaczego jej nie powstrzyma?

Adam czuł się zażenowany. Robiąc aluzję do swego romansu z Blue, poniekąd godził się na warunki wyznaczone przez Franka.

Właściciel pensjonatu zrobił zadowoloną minę. Z aprobatą pokiwał głową jak nauczyciel, który już-już miał dać za wygraną, gdy nagle ujrzał iskrę zrozumienia w oczach swego ucznia.

- Skąd wiesz, że jest w stanie?

To była kusząca myśl: że Profesor jest bezsilny wobec Blue. Nie zdołał jej powstrzymać przed powrotem do grupy i wie, że nie zdoła rozdzielić jej z kochankiem. Ale Adam nie dał się na to nabrać.

- Dlaczego nie próbuje?

Uśmiech Isiaha poszerzył się. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zamiast tego jednak westchnął i zamilkł. Szuka odpowiednich słów, pomyślał Adam, by ujawnić dosyć, lecz nie za wiele.

- Ludzie różnie rozgrywają swoje bitwy - rzekł w końcu, wzruszając ramionami.

Czekał przez chwilę, aż Adam pojmie, co miał na myśli.

- Młodzi palą się do konfrontacji - dodał. - Starzy i słabi wygrywają cierpliwością. Czasami ucieczką.

Siedzieli naprzeciw siebie - dwaj mężczyźni różniący się wszystkim prócz potrzeby zrozumienia. Isiah nachylił się do Adama.

- Idź do tego domu - rzekł. - Rozejrzyj się.

\*

Niska furtka przy schodkach na Clinch Avenue była zamknięta na klucz. Adam przesadził ją bez wysiłku. Przeszedł przez zarośnięty ogród i stanął pod drzwiami. Była dziesiąta rano, pora, o jakiej Profesor zawsze był w domu.

Nacisnął dzwonek, odczekał chwilę, zadzwonił znowu. Za drzwiami panowała głucha cisza.

Wyobraził sobie Blue i jej męża skulonych na tyłach domu. Słyszą dzwonek i spoglądają na siebie w milczeniu. Wiedzą, kto przyszedł. Zastanawiają się, co zrobi, czy odejdzie, jeśli nie otworzą.

Zadzwonił po raz trzeci.

Wewnątrz rozległy się kroki. Szczęknął zamek, drzwi uchylły się ze skrzypnięciem.

Profesor jakby jeszcze bardziej zbladł i zmałał. Patrzył na Adama wzrokiem, w którym mieszały się nienawiść i smutek, prośba o litość i zapowiedź, że będzie się bronić do ostatka. Adam nagle zdał sobie sprawę, że nie wie, co powiedzieć, jak wyjaśnić swą wizytę. Zawstydział się własnej arogancji, która kazała mu rościć sobie prawo do odarcia innego człowieka ze wszystkiego, co posiadał.

Słowa Profesora zabrzmiały jak wypowiedzenie wojny:

- Blue jest na górze.

Adam minął go i wszedł do środka, nie śmiąc się oglądać. W korytarzu panował półmrok, drzwi do pokojów były pozamykane. Nagie, wypolerowane do połysku drewniane schody wiodły w górę. Na półpiętrze tańczyły cienie przesiane przez zaciągniętą na oknie firankę. Podwójne drzwi do sypialni stały otworem.

Wszedł siląc się na pewną minę, świadom, że Profesor go obserwuje. Miał nadzieję, że zastanie tam Blue.

Stała oparta o słup baldachimu, otulona fałdami białej moskitiery. Na widok Adama jej oczy ożyły. Wyciągnęła do niego ręce, ale szybko je cofnęła.

Nie widział jej od powrotu z Chattanooga. Skórę wciąż miała pozółkłą od jadu, wargi bezkrwiste. Wyglądała tak, jakby w każdej chwili miała zapaść się, utonąć w białej siatce. Pragnął podejść, objąć ją i tulić tak długo, aż będzie miał pewność, że wszystko jest w porządku.

Nie poruszył się. Stali naprzeciw siebie w wielkim pustym pokoju, ich cienie kładły się na gołej podłodze, ciała łaknęły się nawzajem, lecz nie mogły połączyć. Z tyłu na korytarzu pełnił straż Profesor.

„Otwórz oczy” - nalegał Isiah Frank, ale Adam widział tylko Blue. Znalazszy się przy niej poczuł ulgę. Znużyły go wątpliwości, nie chciał zadawać pytań.

„Rozejrzyj się” - rzekł Isiah, pokój był jednak pusty, jeśli nie liczyć łóżka. Nie było tu toaletki ani krzeseł. Pusty był gzyms kominka. Otwarta i próżna szafa. Pozaciągane zasłony.

„Otwórz oczy” - mówił Isiah. Tymczasem nie było nic do oglądania. Adam miał wrażenie, że znalazł się tu przez pomyłkę - wyszedłszy z pensjonatu zbłądził i trafił do jednego ze swoich dziecięcych snów, w których zawsze się gubił. Siedział zamknięty w kotłowni; spał w ciemnym wagonie; stróżował nocą w stodole, nasłuchując szmeru larw odpadających od liści tytoniu, i czekał na Clare. Był czujny, podejrzliwy, zawsze spodziewał się najgorszego.

„Otwórz oczy.”

Adam stopniowo uświadamiał sobie, że właśnie to - pustkę tego domu, ascetyczną nagość wnętrza - miał zobaczyć.

Blue opowiadała mu o dziesiątkach mniejszych i większych przedmiotów, o spokojnym, nieco pretensjonalnym luksusie. Odmalowała miękki kokon pełen serwetek, poduszek i bibelotów mających stanowić-taką przynajmniej nadzieję miał Profesor - dowód istnienia jego i Blue.

To nie był dom, który mu opisała. Nie to powinien być zastać.

W domu przy Clinch Avenue stały zegary, wymazano wszelkie ślady codziennego życia. Znajdował się tu tylko odwieczny trójkąt - ona, mąż i kochanek - oraz słowa, które mogły ich skazać bądź ocalić.

- Mój mąż rzucił posadę na uniwersytecie - powiedziała Blue, choć Adam zaczął już rozumieć. Widział nieomyślne oznaki wyjazdu, czuł atmosferę rozstania, w której dawniej tak często sam się pławił.

Słyszał Blue nie słuchając jej, widział ją nie rejestrując jej obrazu.

- Sprzedał już prawie wszystko, co mieliśmy. Jej głos wydał mu się bardzo daleki.

- Chce wyjechać z miasta. Ja muszę jechać wraz z nim.

\*

Nie pamiętał, jak wyszedł z tego domu, zderzając się po drodze z Profesorem. Wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie bez celu. Parokrotnie zjeżdżał z autostrady bezskutecznie szukając miejsca, gdzie mógłby się napić. W Big Stone skręcił na parking dla ciężarówek i wszedł do baru po papierosy. Wewnątrz trzech mężczyzn w roboczych ubraniach pili piwo i słuchali bluegrassowej muzyki z odrapanego magnetofonu. Adam kupił dwa ciepłe piwa i paczkę marlboro. Zabrał to do samochodu, siedział, pił i słuchał radia. Nie jadł od dwóch dni; było mu niedobrze od piwa i ze zmęczenia, spuścił więc szybę i wdychał chłodne nocne powietrze, aż zaczął dygotać z zimna. Samochód kołysał się za każdą przejeżdżającą ciężarówką. Ciężła mu rozpalona głowa, zamknął oczy, żeby tak nie piekły.

Starzy - powiedział Isiah - wygrywają cierpliwością.

Wykorzystała go. Wykorzystała dla odwrócenia uwagi od siebie i śmierci Sama. Pewnie od początku planowała wyjechać. Dlatego sama go znalazła i tak chętnie mu się oddała; dlatego nie próbowała się z tym kryć. Dlatego również jej mąż nie starał

się przeciwdziałać - chcieli, żeby miasto patrzyło na ten romans, żeby członkowie grupy mówili o cudzołóstwie, nie o zabójstwie.

Chcieli, żeby Adam przestał węszyć. Zamydlili oczy i jemu, i wszystkim.

W łóżku Adama kupowała sobie czas na przygotowania do ucieczki.

Wściekły uruchomił silnik i zawrócił w stronę Knoxville. Krew tętniła mu w głowie, echo serca pulsowało w uszach. Wracał, aby stanąć z nią twarzą w twarz, zażądać wyjaśnień.

Prawda jednak sama biła w oczy, prostsza niż jakiegokolwiek wyjaśnienia.

Wracał, bo był zmęczony.

Isiah Frank otworzył mu drzwi w szekspirowskim kostiumie i wprowadził go na piętro. Adam padł na łóżko wyczerpany, zacisnął powieki w nadziei, że wymaże z mózgu wszystkie myśli. Wokół niego Isiah robił pompatyczne gesty i wypowiadał słowa, których Adam nie słyszał, nie starał się więc zrozumieć. Głowa utonęła mu w poduszce i zapadł w sen.

\*

Adamie!

W ciągu minionych tygodni wiele razy śniłam, że mówię do ciebie te ostatnie słowa.

Budząc się w nocy czuję dotyk twojej dłoni, czubki palców oparte na moich plecach. Przypomina to dotyk dziecka - lekki, niegroźny i niewinny w intencjach - a jednak rodzi we mnie dreszcz, wprawia w stan pomiędzy snem a jawą, w którym wszystkie uczucia są wyraziste, umysł zaś pędzi z prędkością światła przez morze ciemności.

Przewracam się i kryję twarz w pościeli. Chcę przedłużyć rozkoszną świadomość, że jesteś przy mnie, obserwujesz mnie, że mogę bezpiecznie ukryć się w twoich oczach.

Potem uświadamiam sobie, że nieszczęście już się stało: rozstaliśmy się nie zdążywszy powiedzieć prawdy. Milczałam o dzień za długo. Powstrzymane słowa oplótły mnie jak niewidzialna pajęczyna i ciągną w otchłań zapomnienia.

Leżę w ciemności; moja pościel pachnie tobą, na ciele mam ślady twoich palców. Wołam twoje imię i modlę się, byś usłyszał.

- Odwróć się - mówię. - Wysłuchaj mnie.

Mój mąż od dawna przygotowywał się do wyjazdu.

Adam słyszał głos, lecz nie mógł otworzyć oczu. Leżał w łóżku otoczony ciemnością i im usilniej starał się obudzić, tym głębiej zapadał w sen.

Pakuje się nocą przy zgaszonym świetle, zamkniętych oknach. Zebrał już wszystkie nasze rzeczy i rzeczy naszej córki, dokumenty, które kiedyś mogą nam się przydać, zdjęcia, które zrobiliśmy sobie od ślubu. Wszystko inne - książki, łóżko, przedmioty, które tak długo nas określały - sprzedał albo po prostu machnął na nie ręką.

Stworzył sobie świat i myślał, że go obroni. Stracił go; z czasem stracił też przekonanie, że zdoła go odbudować. Teraz ma już tylko nadzieję, że zdąży uciec, nim nogi odmówią mu posłuszeństwa. Chce wyjechać, zabierając ze sobą ten jeden jedyny skarb, jaki sobie zostawił.

Był sobie raz mężczyzna, który miał pewną tajemnicę - powiedział do mnie mąż po śmierci naszej córki.

Był chłopiec, który urodził się przez pomyłkę. Wiedział o tym od chwili, gdy stał się świadom siebie - zanim jeszcze nauczył się mówić czy określać swoje miejsce w świecie. Już jako dziecko czuł się obcy; patrząc na swoje odbicie w lustrze, widział, że jest fałszywe: nie wygląda tak, jak wyglądać powinno. Był pewien, że los nie przeznaczył go tam, gdzie się narodził; nie chciał go umieścić między ludźmi, którzy byli jego rodziną. Matkę traktował z rezerwą, ojca z pogardą. Nic nie łączyło go z rodzeństwem. Tylko babkę kochał naprawdę, czuł bowiem, że ona jedna go docenia, ale miał też świadomość, że jest starą, niewykształconą kobietą i poza rodziną nie ma żadnej władzy.

Chłopiec zdawał sobie sprawę, że w małym ciele nosi wielki intelekt, że niezgrabna sylwetka kryje wyrafinowaną duszę, ograniczone siły zaś nie tłumią palącej ambicji.

Nie podszeptowała mu tego próżność ani duma, lecz ta sama jasność umysłu, która pozwalała mu dostrzegać inne fakty.

\*

Urodził się w portowym mieście Basra położonym kilka godzin drogi od morza, nad rzeką Szat-Al-Arab. Jego rodzina od pokoleń parała się kupiectwem, zgromadziła nawet małą fortunę, której używała na kształcenie dzieci i zakup europejskich mebli. Miasto było wielkim ośrodkiem handlowym, przewijali się przez nie ludzie ze wszystkich zakątków świata. Rodzina Profesora była kosmopolityczna, żyła na wzór zachodni i znała zwyczaje innych nacji, ale w pewnym stopniu pętała ją tradycja: dziewczęta miały wyjść za mąż i rodzić synów, chłopcy - przystąpić do rodzinnego interesu i powiększać majątek oraz dbać o dobre imię ojca.

Prócz arabskiego Profesor opanował płynnie język francuski i angielski, nauczył się liczyć na abaku i przechowywać w pamięci setki liczb. Był dobrym uczniem - nawet za dobrym jak na gust ojca. Ojciec patrzył, jak chłopiec czyta poezje, i w cichości ducha bał się, iż wyrośnie z niego homoseksualista. Próbował zniechęcić go do nauki, a zainteresować handlem, wręcz przekupić, by wreszcie przestał ślęczeć nad książkami. Ale Profesor już jako dziecko wolał towarzystwo umarłych pisarzy od rojnego życia portu, odgłosów rozładunku i zapachu towarów przywiezionych przez gigantyczne statki, które opływały tysiąc mórz.

Przez całe lato siedział w saloniku wychodzącym na rzekę. Ciepłe powietrze wpadało przez otwarte okno, osadzając wilgoć na jego twarzy i rękach. Wyobrażał sobie, że z każdym przeczytanym słowem jest o krok dalej od domu, a bliżej Zachodu.

Nie dzielił się z nikim tymi myślami, nie podejrzewał bowiem bliźnich o dostatecznie szerokie horyzonty, by mogli go zrozumieć. Nie znajdował wspólnego języka z

rodzeństwem i nie miał przyjaciół w szkole. Dzieci uważały go za zarozumialca i sobka, gdy tymczasem on tylko podążał za swoim losem.

Obawiał się zaś, że los nie będzie dlań łaskawy.

Był Arabem w mieście rządzonym przez ludzi Zachodu; uczonym w kraju, gdzie sukces mierzyło się inną miarą. Ponadto żydem w świecie, w którym żyd był nikim.

Najbardziej doskwierało mu właśnie żydostwo.

Potrafiłby się pogodzić ze swą arabską krwią przywołując na pamięć światłe karty historii - ostatecznie Arabowie stworzyli jedno z największych imperiów w dziejach; to dzięki nim rozpoczęła się era nauki, która zmieniła cywilizowany świat. Mógłby tolerować mieszczańską mentalność i ciasne horyzonty swoich krewnych. Z biegiem czasu zapewne nauczyłby się też akceptować własne ciało - małe, słabe i niepozorne, lecz rządzone przez potężny umysł.

Ale wstyd, że jest żydem, był dla niego torturą.

Wiedział, że starsi potępiliby go za takie myśli, taił je więc przed rodzicami, a później przed nauczycielami w szkole. Ojciec chciał, żeby został kupcem; matka ułożyła już jego ożenek. Tymczasem chłopczyk w tajemnicy planował ucieczkę.

Dowiedział się, że ośrodkiem władzy na Ziemi od dawna już jest Zachód, a źródła cywilizacji przeniosły się ze Starego do Nowego Świata. Chłonał więc wszystkie zachodnie idee i uczył się języków, postanowił bowiem, że wyjedzie. Opuści to ciasne, wilgotne miasteczko z gnijącym nabrzeżem, wyrwie się spośród ciemnych kupców korzennych i bławatnych. Pojedzie do Paryża - miasta wielkich ludzi i wielkich idei.

W tym nowym świecie, myślał, stworzy siebie samego od nowa.

Jego jedyną nadzieją była babka - głowa rodziny, w której rękach pozostawała większość majątku, a zatem i los synów. Tylko babka rozumiała i podziwiała jego pęd do wiedzy. To ona dała mu przydomek „Profesor”, który wkrótce wyparł jego prawdziwe imię.

Przez całe dzieciństwo osłaniała go przed pogardą ojca i utyskiwaniami matki. W duchu wybrała go już na spadkobiercę rodzinnego majątku, na to spośród wnucząt, które zajmie jej miejsce. Zapisała mu w testamencie swój ślubny pierścień i skrzynię



pełną pięknych starych tkanin -jej posag, gdy mając dziewięć lat wyszła za mąż. Ale w dniu, w którym wnuk skończywszy osiemnaście lat wszedł do jej salonu w Basrze, nie była bynajmniej przygotowana na to, co usłyszy.

Powiedział, że chce wyjechać.

Siedziała w wyplatany fotelu z poduszką pod plecami. Służąca chłodziła ją wachlarzem. Było to w latach międzywojennych. Zachód podzielił już imperium otomańskie i zostawił ślady swych buciorów na całym Bliskim Wschodzie. Babka wysłuchała, co ma do powiedzenia, po czym zamilkła, rozważając jego prośbę. Wypiła szklanekę wiśniowego sorbetu - czerwonego jak barwiczka, która kryła jej wargi, podkreślając smagłość cery -potem zaciągnęła się fajką wodną.

- Jeśli pozwolę ci odjechać, już nie wrócisz - powiedziała w końcu, zasmucona własną mądrością. - Zachód połknie cię jak rybę i już nigdy więcej cię nie zobaczę.

Profesor ukląkł przed nią i ucałował dłoń starej kobiety. Zapewnił, że będzie ją czcił do końca swoich dni, że wróci natychmiast, gdy tego zażąda, i weźmie udział w jej pogrzebie. Pomimo to musiał czekać cały rok, nim się ugięła.

\*

Wziął swoje dziedzictwo - pierścień i szkatułę pełną haftów - i ruszył do stolicy, by tam rozpocząć podróż. W biurze paszportowym w Bagdadzie przekupił urzędnika, aby ten w rubryce „imię” wpisał: „Profesor”. Potem zwiększył łapówkę i w rubryce „wyznanie” pojawiło się słowo „islam”.

Było to proste, rozsądne i praktyczne-jechać na Zachód uchodząc za muzułmanina, nie żyda. Większość ludzi Zachodu nie zdaje sobie sprawy, że wśród Arabów są żydzi i chrześcijanie. Muzułmanie, podobnie jak wyznawcy judaizmu, poddają chłopców obrzezaniu i przeważnie nie różnią się od nich wyglądem. Profesor wątpił, by ktoś kwestionował jego nową tożsamość.

Za pieniądze, które dali mu rodzice, kupił dwa ciemne garnitury i kapelusz. Znalazszy się w Paryżu wynajął pokój przy rue de Ribe naprzeciw zakładu krawieckiego.

Na kolację jadał królika w białym winie. Studiował na Sorbonie, chodził na spacery do ogrodów Tuileries na lewym brzegu Sekwany, w niedzielne popołudnia zwiedzał muzea, jeździł na wieś i powtarzał sobie, że znalazł się u celu, że połknął swój sekret i oderwał się od przeszłości, stając się człowiekiem, jakim pragnął się stać. Do domu napisał tylko raz - podał swój adres i nadmienił, że czuje się dobrze.

Nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia w stosunku do tych, którzy go kochali i utrzymywali aż do tej pory. Wiedział, że nigdy nie był jednym z nich. Spodziewał się, że oni też to rozumieją.

Na trzecim roku poderwała go jego pierwsza żona.

Znał sporo kobiet - studentki, sąsiadki, dziewczęta pracujące w sklepach i odwiedzanych przez niego kawiarniach - ale nigdy nie budziły w nim zainteresowania. Być może przeżyłby całe życie nie wiedząc nic o magnetyzmie przeciwnej płci, gdyby nie nauczycielka, która co tydzień wzywała go do siebie i prowadziła z nim długie rozmowy przeciągające się do późna w noc.

Wykładała psychologię na wydziale humanistycznym. Była od niego starsza o dwanaście lat i wyższa o sześć cali. Nie grzeszyła urodą - ani teraz, po trzydziestce, w niedbałym ubiorze i ostrym makijażu, ani za młodu, kiedy myła długie włosy w piwie i kręciła je na wałkach. Była płową blondynką o jasnobłękitnych oczach i usianej piegami cerze, starzejącej się o wiele za szybko w porównaniu z cerą kobiet Wschodu. Ręce miała duże, szorstkie, o wypukłych żyłach - ręce kobiety, która nigdy nie miała służącej, a uważa, że podłoga w kuchni musi być czysta, choćby miała to przypłacić zdrowiem.

Piła morze kawy i podczas rozmowy wypalała dziesiątki francuskich papierosów bez filtra. Mówiła pewnym, rzeczowym tonem, zarezerwowanym na Wschodzie dla mężczyzn. Gestykulując, dyskutowała z kolegami, jakby była im równa. Codziennie rano pojawiała się na uczelni z teczką i papierosem w dłoni. Wydawała się samotna, nieco zagubiona i znużona własną samodzielnością. Gdy wchodziła do sali niosąc stertę prac, w okularach zepchniętych na czubek głowy, Profesor widział w niej wspa-

niałą kobietę o wielkiej pewności siebie i jeszcze większym intelekcie. W pewnej chwili jej słowa zaczęły być jego religią.

Była uczennicą Carla Junga, gorącą zwolenniczką jego tez i dokonań w badaniach ludzkiego umysłu. Podzielała pogląd, że Murzyni są tępi i niezdolni do analitycznego myślenia, Żydzi zaś stoją niżej na drabinie ewolucji. Wierzyła w istnienie wyższej rasy, lepszej, bliższej ideału człowieka.

Im dłużej słuchał jej Profesor, tym bardziej się z nią zgadzał.

Nie przyszło mu na myśl, że może w nim widzieć przedstawiciela niższej rasy. On sam nigdy się za takiego nie uważał. Chcąc jej zaimponować, spędzał długie godziny nad dziełami Junga i pisał elokwentne prace, które prezentował na zajęciach. Ujął ją entuzjazmem, wzruszająco staroświeckimi manierami i niemal ekscentrycznym ciemnym strojem. Zauważyła, że zawsze jest sam i najwidoczniej nie tęskni za towarzystwem. Zdawało się mu wystarczać własne. To też jej się spodobało, bo czuła, że szybko się starzeje i doskwiera jej samotność.

Kiedy wchodził do niej, by przedyskutować jakąś tezę, patrzyła mu prosto w oczy, uśmiechała się i dłonią dotykała włosów, jakby chcąc się upewnić, że jest jeszcze atrakcyjna. Wiele lat później wyznała mu, że był jej drugim kochankiem. Pierwszy, poznany zaraz po maturze, zostawił ją w ogonku przed trafiką i zniknął.

Na czwartym roku regularnie dyskutowali o teorii Junga. Pomogła mu się wystarać o stypendium doktoranckie i zarekomendowała go radzie wydziału filologii. Kiedy został przyjęty, zaprosiła go do swego mieszkania, aby to uczcić.

- Przynieś butelkę wina - powiedziała. - Będziemy się kochać.

Naraz przeraził się, że odkryje jego sekret.

Podniecała go myśl, że ceni go dostatecznie wysoko, by chcieć go uwieść, lecz równocześnie bał się, że ją rozczaruje. Podejrzewał, iż gdyby znała jego prawdziwe pochodzenie, nie widziałaby w nim inteligentnego, obytego, pnącego się w górę mężczyzny, a żalosego żydowskiego kupczyka, na jakiego chciała go wykierować rodzina. Nosił się z myślą o odrzuceniu zaproszenia, w końcu jednak poszedł. Odtąd odwiedzał ją raz w tygodniu, a później codziennie. Cały wolny czas spędzali razem.

Seks nie sprawiał mu aż takiej przyjemności. Potrafiłby się też doskonale obejść bez jej towarzystwa. To ona była stroną atakującą, lgnęła do niego jak złąkniona aprobaty młódka. Robiła mu sceny zazdrości, ilekroć zbyt opieszale reagował na jej awanse. Największą satysfakcję dawała mu świadomość, że pragnie go wyrafinowana kobieta Zachodu. Dla niej, która umiała znaleźć najdrobniejszą skazę w ludziach wszelkich ras, był mężczyzną wartym miłości.

\*

Pobrali się w dniu Nowego Roku 1930, podczas kościelnej ceremonii, w której wzięło udział grono nauczycieli akademickich. Podarował jej babciny szmaragd, pewien, że klejnot olśni gości, a nawet księdza. Potem jednak usłyszał szepty jej kolegów, że oddała się Arabowi z desperacji i małżeństwo to niechybnie się rozpadnie.

Zabrał posagowe koronki oraz stosy książek i przeprowadził się do jej mieszkania. Kontynuował studia doktoranckie, żona zaś utrzymywała ich ze swojej pensji. W szybkim tempie spłodzili troje dzieci - trzy piegowate, błękitnookie dziewczynki o wąskich, bladych ustach matki. Ubierała je w jednakowe sukienki, strzygła im krótko włosy i uczyła posługiwać się serwetką przy stole. Spoza zawalonego papierami biurka Profesor patrzył, jak rosną, i zastanawiał się, czy noszą ukryte ślady jego pochodzenia, czy pewnego dnia zdradzą go ich cechy fizyczne lub psychiczne. Ewentualnie kiedy dorosną, wyrzekną się go ze wstydu, że ich ojciec jest Arabem.

W latach trzydziestych poświęcił się bez reszty pracy. Żona zajmowała się wychowaniem dzieci i pracą zarobkową. Pozwalał jej zapraszać do mieszkania znajomych. Siadali przy kawie i długo w noc dyskutowali o różnicach pomiędzy ludźmi i wpływie rasy na rozwój umysłowości i języka.

Kiedy czuł, że jej znajomi krępują się wygłaszać przy nim swe poglądy -ponieważ jako Arab z definicji był kimś gorszym - wychodził ze skóry, by podkreślić, że podziela ich przekonania, i odciąć się od swojego narodu. Obejmował żonę ramieniem i

sadzał sobie córki na kolanach. Patrzcie, jakie są bielutkie, zdawał się mówić; patrzcie, jak mnie kochają.

Uzyskawszy stopień naukowy, podjął pracę badawczą na Sorbonie i postawił przed sobą cel, jakim było porównanie korzeni języków germańskich i romańskich z korzeniami języków Wschodu. Wkrótce potem wybuchła druga wojna światowa.

Profesorostwo nie posyłali dzieci do szkoły, jedli reglamentowaną żywność i dniem i nocą słuchali radia. Patrzyli, jak armia Hitlera maszeruje przez Pola Elizejskie. Profesorowi odebrano fundusze na badania i doradzono mu, żeby nie pchał się ludziom przed oczy. Jego żona podjęła pracę w propagandzie.

Pisała artykuły i wygłaszała pogadanki afirmujące wyższość rasy aryjskiej, demonizujące zaś Żydów. Uczestniczyła w manifestacjach poparcia dla niemieckich zdobywców. Często brała ze sobą córki, po powrocie zaś opowiadała mu z podnieceniem o wszystkim, co tam widziały i słyszały.

To nie była zła kobieta. Była dobrą matką i oddaną żoną, odpowiedzialną obywatelką i nauczycielką z powołania. Sama nikogo by nie skrzywdziła. Wdała się tylko w zonglerkę ideami.

- Ważna jest zasada - mawiała.

Ale zasada prowadziła do aktów przemocy, teorie zaś, które formułowała na papierze, miały żywotny wpływ na los jednostek. Błękitnooka aryjska żona Profesora stała się trybem w maszynie miażdżącej Żydów, Cyganów i Polaków.

Powinien był wtedy zaprotestować, lecz zanadto się bał, zanadto wstydził. Zatracił się w sztucznym świecie swoich kłamstw i marzeń.

Powiedział sobie, że zaszedł już za daleko, że drobiny kurzu z żydowskich uliczek pozostały w oceanach, które przebył, aby tu dotrzeć. Czy miał sprzeniewierzyć się własnym zasadom stając, choćby tylko werbalnie, w obronie ras, którymi zawsze pogardzał? Byłoby to pozbawionym sensu samobójstwem. Ryzykował, że żona wszystkiego się domyśli i wyda go Niemcom, którzy wywiozą go w bydłym wagonie wraz z tamtymi.

Toteż milczał.

Odwracał wzrok od zbrodni, którym przyklaskiwała jego żona, pozwalał jej uczyć dzieci nienawiści i przemocy. Patrzył, jak jego rodzina stopniowo przeradza się w potwora, który zniszczy go bez litości i bez chwili wahania, jeśli kiedykolwiek odkryje prawdę. Te błękitnookie kobiety stały mu się obce. Były wrogami po tej samej stronie frontu.

Właśnie wtedy - w czasie lat okupacji, kiedy po Paryżu krążyły wieści o obozach koncentracyjnych, a okrucieństwa Niemców stały się powszechnie znane - Profesor zdał sobie sprawę, że musi wyjechać. Poświęcił młodość Europie i zainwestował swój czas, jeśli już nie miłość, w rodzinę, która nigdy nie była mu bliska. Lecz tajemnica, którą przywiózł ze Wschodu, nazbyt się rozrosła, by mogło ją pomieścić jego drobne ciało, i zaczęła mu zagrażać. Bez ostrzeżenia wyzierała z ukrycia w dyskusjach z żoną na temat losu Żydów, w snach, w których córki denuncjowały go SS. Wciąż wertował paszport i wszystkie dokumenty sprawdzając, czy nie znajdzie w nich czegoś, co mogłoby wskazywać na jego pochodzenie. Nie wychodził na ulicę z obawy, iż ktoś rozpozna w nim żyda. Żył w ciągłym strachu, że spotka na ulicy jakiegoś krewnego czy znajomego z dawnych lat albo że gniew weźmie w nim górę i w końcu sam się zdradzi.

Po wojnie jego żona straciła posadę na uczelni. Wróciwszy pewnego dnia do domu oznajmiła, że odtąd będą przymierać głodem.

Kazano jej zniknąć i mieć nadzieję, że nie padnie ofiarą szukających pomsty Żydów lub francuskich antyfaszystów. Nie mogła już nauczać ani pisać. Wszystkie drzwi były przed nią zamknięte.

W czasie okupacji Profesor wydał całe swoje oszczędności na czarnorynkowy cukier, kawę i inne niezbędne rzeczy. Prawdę mówiąc nie czuł się moralnie zobowiązany do utrzymywania rodziny. Nie litował się nad córkami - miały teraz piętnaście, dwanaście i dziewięć lat - których bał się przez całą wojnę. Żona chciała sprzedać pierścień po babce, ale się nie zgodził. Powiedział, że poszuka pracy.

Szukał jej tygodniami - na próżno. Nie miał referencji ani żadnego doświadczenia poza nauczaniem i pracą badawczą. Miasto pogrążone było w chaosie, ludzie zbiednieli i nie mieli ochoty zawierzać swych spraw Arabowi, którego nikt nie znał.

W zimie nie mieli pieniędzy na opał. Żona Profesora od rana piła wino zamiast kawy, a dziewczęta domagały się od niego jedzenia, ubrań i książek, których nie był w stanie im kupić. W końcu dostał pracę pomywacza w knajpie. Płacono mu posiłkami dla niego i rodziny. Zatrzymywał też napiwki, które dostawał od amerykańskich żołnierzy. Bolały go ręce, moczone przez cały dzień w wodzie, bolały plecy tak, że nie mógł spać. Po dwóch tygodniach zrezygnował.

Powiedział żonie, że woli umrzeć, niż pracować fizycznie.

Żona włożyła najlepsze palto i poszła sprzedawać papierosy i róże w ulicznych kafejkach przy Saint-Germain. Pracowała od świtu do zmierzchu, ciułała grosz do grosza i dopraszała się o napiwki. Czasem w zamian za papierosy przyjmowała kieliszek wina i zgadzała się usiąść na chwilę z klientem - ot, tyle żeby dać odpocząć nogom, wypić wino, wypalić papierosa. Miała pięćdziesiąt trzy lata i goniła resztkami sił.

Profesor starannie rozważył swe widoki na przyszłość. Europa go zdradziła. Ulokował więc nadzieje w Ameryce.

Udał się na Sorbonę, gdzie odnalazł adresy wyższych uczelni w Stanach. Pisał do nich listy na firmowym papierze uniwersytetu. Znaczki kupował za pieniądze najstarszej, piętnastoletniej córki, która pracowała w piekarni. Codziennie wychodziła o trzeciej nad ranem. Wracała o drugiej i zasypiała na sofie. Pozostałe dwie czekały, aż przyniesie z pracy wczorajszy chleb lub stare ciastka.

Wiosną 1946 roku Profesor otrzymał list z Tennessee. Oferowano mu pracę w miasteczku uniwersyteckim w Knoxville. Uczelnia gotowa była pokryć koszty jego przeprowadzki do Stanów oraz udzielić mu pożyczki na zakup domu.

Włożył czarne ubranie i wetknął do wewnętrznej kieszeni szmaragd babki. Był wczesny ranek. Żona jeszcze spała, najstarsza córka była w pracy, średnia miała gorączkę.

Najmłodsza zapytała go, dokąd idzie.

- Na spacer - odparł.

Chciała iść z nim. Przejdą się nad rzekę, a po drodze może kupią cukier, żeby posypać nim chleb na śniadanie.

Powiedział, żeby zaczekała na niego w domu. Wkrótce wróci, przyniesie jej świeży chleb i cukier.

Przez pierwsze lata w Ameryce Profesor skupiał się na pracy, chcąc wykazać się przed kolegami. Przedstawił się jako Francuz arabskiego pochodzenia. Uwierzyli mu. Udawał, że nigdy nie był żonaty. Chodził do kościoła.

Rzadko wspominał rodzinę pozostawioną w Paryżu. Wiedział, że nie odnajdą go w Ameryce, i to go pocieszało. Nareszcie czuł się przed nimi bezpieczny. Im dłużej wszakże mieszkał w Stanach, tym bardziej nękał go obraz najmłodszej córki. Coraz częściej rozmyślał o wyższej sprawiedliwości, która ściąga należność za dawne grzechy, nie ukarane przez ludzi.

Profesor wierzył w wyższą sprawiedliwość, ale uważał, że trzeba żyć dalej, postanowił więc powtórnie się ożenić. W Ameryce mężczyzna powinien mieć przynajmniej żonę. Poza tym chciał samemu sobie udowodnić, że potrafi znaleźć dziewczynę, która będzie go szanować, jeśli już nie kochać, która będzie mu towarzyszką, a nie sędzią, oparciem, nie zagrożeniem. Kobiety Zachodu rozczarowały go, pojechał więc na Wschód.

Długo szukał, nim znalazł mnie, stąd od razu wiedział, że będę dla niego odpowiednia. Co prawda byłam niepiśmienna i nieokrzesa, lecz te wady mógł skorygować. Jako półkrwi żydówka nie stanowiłam dlań niebezpieczeństwa. Jasne oczy i cera pozwalały mi się wtopić pomiędzy chrześcijan. Obłąd mojej matki gwarantował zaś, że sama nie zechcę mieć dzieci.

To było dla niego najważniejsze. Profesor to dobry człowiek, nie mógł więc być zły dla żony. Prawda, nie rozumiał moich uczuć, ale był tolerancyjny - dopóki nie zażądałam, aby przedłużył ród, któremu rozpaczliwie chciał położyć kres. Doświadczenia z francuską rodziną kazały mu dojść do wniosku, że każdy żyjący potomek będzie świadkiem jego win.



Wszystko samo by się rozwiązało. Przeżyłby resztę życia mając przed oczyma twarz dziewięcioletniej córki w dniu wyjazdu z Paryża. Zabrałby do grobu sekret swego pochodzenia. Jego życie spełniłoby się na polu nauki. Nadałby mu sens pozostawiając w dziejach badań i myśli ludzkiej trwałe ślady, którego patrzący nań z wyższością koledzy nie byłiby w stanie pokryć milczeniem.

Tak by było, gdyby nie moja córka.

Zmusiłam go, aby ją spłodził, choć znał z góry jej los. Powołał ją do życia wiedząc, że będzie krótkie. A było to ostatnie, co chciałby mieć na sumieniu - tragedia kolejnego dziecka, kolejnej córki. Wyższa sprawiedliwość, pomyślał, tym razem go dopadła.

Odtąd nie mógł już zasnąć spokojnie.

Po śmierci małej Profesor długo rozmyślał nad swoim życiem. Przyglądał mu się ze wszystkich stron, wykazując przy tym maksimum obiektywizmu. Starał się zrozumieć przyczyny swej porażki. Został ukarany za to, że zapał się własnej krwi. Logika i nauka nie miały tu nic do rzeczy: poza wszystkim innym Profesor wiedział, że istnieje porządek wyższy niż opisane przez cywilizowanych ludzi w książkach.

Zebrał się więc na odwagę, cofnął tam, skąd tak desperacko próbował uciec, i po raz pierwszy w życiu zastanowił się dlaczego.

Zagłębił się w studiach nad judaizmem. Odwiedził starą synagogę w Knoxville, wziął udział w szabasowych modłach. Posłyszał o ortodoksyjnej gminie żydowskiej w Memphis. Pojechał porozmawiać z jej rabinem. Później kilkakrotnie uczestniczył w ich obrządkach. Nie przyznawał się im, że jest żydem, udał, iż jego zainteresowanie ma charakter czysto naukowy. Rabin z Memphis kiwnął głową i rzekł, że rozumie. Uparł się jednak, by nauczyć Profesora modlitwy Szmaza spokój jego duszy - oraz Kadiszu - za zmarłych bliskich. Potem oznajmił, że żyd musi umieć przyznać się do swego pochodzenia nie tylko przed sobą samym, ale także przed tymi, którzy mogą go za to potępić.

- Tylko człek obłąkany ucieka przed własnym cieniem - rzekł.

Może przeważało to, co powiedział rabin. Może Profesor sam doszedł do tego wniosku. Wkrótce po kolejnej wizycie w Memphis poinformował mnie, że wybiera się

do Europy. Odnajdzie żonę i córki, spojrzy im w oczy i wyzna prawdę, która dotąd nie mogła mu przejść przez gardło.

Powiedział, że ma sześćdziesiąt cztery lata i nareszcie jest gotów na spotkanie ze swoim cieniem.

\*

Na lotnisku w Paryżu przepuścił trzy grupy pasażerów, nim zebrał dość odwagi, by przejść przez salę odpraw. Przygotował się na spotkanie z rodziną; mógł znieść ich nienawiść i pogardę. Jednakże pamiętając o swych sędziach, zapomniał, że wraca do miasta, w którym spędził młodość; znosił ból, ale też przeżył jedyne chwile szczęścia.

Paryż wydał mu się mniejszy, ciasniejszy i jakby mniej cywilizowany. Ulice wąskie i zatłoczone, powietrze smrodliwe, rzeka brudna. W sklepach i kawiarniach panowała atmosfera pośpiechu, który rodził w nim chęć ucieczki.

Na rue Berger nie było już krawca - jakiś Afrykanin prowadził tam sklep spożywczy. Wszystko inne - kamienice, piekarnia, mały kiosk, w którym stara kobieta sprzedawała gardenie i prasę - pozostało na swoim miejscu.

Spędził noc w hotelu dwie ulice dalej. Nazajutrz rano wypił podany mu przez właścicielkę hotelu kieliszek creme de menthe i wrócił do swego pokoju.

Na trzeci dzień ogolił się wyjątkowo starannie i włożył najlepszy garnitur. Wziął nawet parasol, choć nie zanosiło się na deszcz. Znów wychylił kieliszek creme de menthe.

Staruszka w kiosku przy rue Berger przyjrzała mu się przeciągle, bez uśmiechu. Potem zapytała, czy życzy sobie gazetę. Kiedy odmówił, wetknęła mu ją do ręki.

- Przez pamięć dawnych czasów - powiedziała. Ze zgrozą uświadomił sobie, że go poznała.

Nazwisko jego żony wciąż widniało na wizytówce obok dzwonka. Chciał zadzwonić, lecz rozmyślił się. Pchnął drzwi do sieni.

Na wprost niego biegła ciasna klatka schodowa. Budynek był wąski i głęboki - na każdej kondygnacji mieściło się tylko jedno mieszkanie; pokoje biegły w amfiladzie jak zamierające echa. Na drugim piętrze zdyszany zatrzymał się przed pomalowanymi na czarno drzwiami, które zatrzasnął za sobą przed laty.

Drzwi otworzyły się nagle z impetem. Odskoczył, jakby przyłapano go na przestępstwie. Z mieszkania wyszła tęga, zaniedbana kobieta w przyciasnej spódnicy i ciężkich butach. Na jego widok skrzywiła się, mruknęła coś po francusku i sięgnęła po klucz, żeby zamknąć drzwi za sobą. Miała płaskie zaokrąglone dłonie, kwadratowe paznokcie i mięsiste łokcie osoby, która przez całe życie wykonuje ciężką, niewdzięczną pracę.

- Z drogi - szturchnęła go ciałem, kierując się ku schodom.

Była w połowie drogi na półpiętro, kiedy odzyskał głos.

- Przepraszam panią! - zawołał drżącym głosem. Udała, że nie słyszy.

- Madame, jedną chwileczkę, bardzo proszę! Nerwowym ruchem złapała za poręcz i zatrzymała się.

- No, niechże się pan pospieszy - ponagliła go z podestu pierwszego piętra. - O co chodzi?

Patrzyła na niego błękitnymi oczyma; piegi na nosie rozrosły się z czasem w brunatne plamy. Nagle uświadomił sobie, że przybył we właściwe miejsce - że ta kobieta, której nie znał i nie rozpoznał, musi być jedną z jego córek.

W tejże chwili pojął rozmiar swojej winy.

Powoli, kurczowo trzymając się poręczy, zszedł po schodach na półpiętro, gdzie czekała jego córka. Zrównawszy się z nią, zdjął kapelusz i stanął przed nią bez słowa. Chyba jednak domyśliła się, że ma jej do powiedzenia coś ważnego, bo jakby zapomniała o swych pilnych sprawach i patrzyła nań spod zmrużonych powiek.

- O co chodzi? - Tym razem jej głos nie zabrzmiał pewnie.

Z trudem przełknął ślinę i wyprostował się jak struna.

- Nazywam się Profesor Kerdi - rzekł. - Kiedyś mieszkałem tu z żoną i trzema córkami.

\*

Odkąd porzucił rodzinę, minęło dwadzieścia lat. Jego najstarsza córka, ta, której pensję wydał na znaczki, nadal pracowała w tej samej piekarni, gdzie się zatrudniła mając piętnaście lat. Średnia wyszła za portugalskiego śpiewaka i wyjechała z nim do Ameryki Południowej. Najmłodsza wciąż mieszkała w tym samym mieszkaniu. Była sprzątaczką u pewnej bogatej kobiety przy alei Focha i pisała listy do Biura Osób Zaginionych prosząc, by nie zamykali sprawy jej ojca. Musiał zostać zamordowany lub porwany, bo przecież by jej nie porzucił.

Ich matka - błękitnooka adeptka psychologii Junga o nazistowskich sympatiach - powiesiła się na żyrandolu w sypialni trzy lata po zniknięciu męża.

Wrócił i rzekł, iż brakło mu nadziei.

Tkwiał w korytarzu z kapeluszem w dłoni, walizka stała pod drzwiami - pielgrzym powracający z ostatniej wyprawy do krainy złamanych obietnic. Miał przepocony kołnierzyk, oddech powolny i chrapliwy - taki, jaki otacza konających. Kiedy mnie zobaczył, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale wargi miał zasnute pajęczyną wielu lat milczenia, westchnął więc tylko i wyciągnął do mnie rękę.

Pomyślałam: jakie to dziwne, że przybiera postać żalosnego małego człowieczka ze starą walizką. Dawniej wyobrażałam sobie szalejące piekło gniewu, namiętności i buntu. Podałam mu dłoń. Pochylił się i złożył melancholijny pocałunek na czubkach moich palców. Szepnął:

- Jesteś jedynym ogniwem łączącym mnie ze światem żywych.

Teraz rozumiesz, dlaczego nie mogę go opuścić i wyjadę z nim daleko od ciebie.

Teraz widzisz mnie taką, jaką jestem - córkę żydówki znikąd. Na dłoniach mam niewidzialne linie smutku mojej matki, oczy pełne tęsknoty za drogą, która miała wyprowadzić mnie na wolność, lecz powiodła w miejsce, gdzie pije się trucizny i modli o zbawienie, choć to nie nadejdzie. Widzisz mnie i myślisz: - "Jak próżne są obietnice Nadziei!"

Wszyscy szukamy tego samego - nie mogący nigdzie zagrać miejsca cynik, który przemierza świat żądając sprawiedliwości, kaznodzieja wzywający imienia Bożego pośród węży, moja matka wplatająca we włosy okup za zdradę swego ojca, przekonana, iż jeśli zatrzyma monety, on wróci... Wszyscy czekamy na świetliste dłonie, które odnajdą nas w ciemności; na oczy, które dojrzą nasz ból; na głos, który podszeptnie nam, że istnieje także inna prawda.

Widzisz, jestem to winna Profesorowi. Nigdy go nie kochałam, ale wiele lat temu przehandlowałam swój los na ten, który on mi ofiarował, i nie mogę go opuścić teraz, gdy sam nie ma już sił, by iść dalej.

To była uczciwa transakcja - oboje na niej straciliśmy.

\*

Wiatr wył w górach przez całą noc, temperatura wciąż spadała. Śniło mu się, że Blue stoi nad nim w przejrzystej białej sukience. Wyciągnął rękę i powiodł po niej palcem. Sukienka rozstała się jak woda, obnażając bliznę po ukąszeniu węża. Blue nachyliła się, wsiąkała niczym woda w pory jego skóry, głęboko, aż do szpiku kości. Gdy odetchnęła, uniosła zeń brzemień tysiąca ludzkich losów.

Isiah Frank szarpał go za ramię. Adam otworzył oczy. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Ósma rano, miasto, które przybył zdobyć i w którym stał się więźniem.

- Lepiej tam idź - rzekł cicho Isiah. Twarz miał poważną, wypraną ze zwykłej ironii. Pomógł mu usiąść i dodał: - Weź ze sobą notes.

Pani Roscoe z przeciwka stała na chodniku w szaro-czerwonym szlafroku i gumowcach. Owinięta kocem, dygotała z zimna, przyglądając się samochodom policji i koronera stojącym przed domem Blue.

- Nie mówiłam ci, chłopcze, że w tym domu jest diabeł? - odezwała się na widok Adama.

Za nim kolejny wóz policyjny zatrzymał się przy krawężniku.

Nogi się pod nim trzęsły, serce miał w gardle. Wchodząc tu niecałą dobę wcześniej czuł już, że jego śladem skrada się nieszczęście. Nie musiała go o tym informować policja ani coroner.

Przekroczywszy próg, zobaczył utkwioną w sobie parę oczu.

- Gdzie ona jest? - wychrypiał.

Kobieta w mundurowej kurtce podeszła i zatrzymała się tuż przed nim. Nie chciał słuchać tego, co miała mu do powiedzenia, nie był przygotowany na odbiór żadnych wieści.

- Gdzie ona jest?

Z jadalni wyrzwał asystent coronera w gumowych rękawiczkach. Kiwnął na kobietę, żeby go wpuściła.

- Niech pan sam zobaczy - rzekł.

Na stole w jadalni leżało ciało owinięte w ciemny plastik. Po jednej stronie stał policyjny detektyw w grubych okularach, z cienkim wąsikiem. Po drugiej - Blue.

Profesor, jak dowiedział się Adam od śledczego, zmarł po wypiciu szklanki rozbełtanej z wodą strychniny. Stężenie określono w raporcie na ponad osiemdziesiąt procent. Był to taki sam roztwór, jaki Blue piła na nabożeństwach; taki, z jakiego pomocą święci pielgrzymi dowodzili siły swojej wiary. Profesor rzecz jasna nie był Uświęconym i nigdy nie pijał trucizn. Trudno było też przypuszczać, że człowiek, który planował wyjazd z miasta - spakowane walizki stały w równym rzędzie u stóp schodów - postanowił nagle popełnić samobójstwo.

Zmarł około drugiej nad ranem. Blue zeznała, że znalazła go o piątej trzydzieści. Kompletnie ubrany, starannie ogolony i uczesany, siedział na jedynym krześle w jadalni. Przed nim na stole leżał jego kapelusz.

O szóstej zawiadomiła policję o jego śmierci. Powitała ich spokojnie, bez łez. Zachowanie niezbyt typowe - jak zapisał w raporcie detektyw - u kobiety, która właśnie znalazła zwłoki męża.

Szeryf spytał, czy Blue wie, na co umarł.

- Od strychniny- odparła bez wahania - i nadmiaru tajemnic.

\*

Mąż zawołał mnie w nocy i powiedział, że pora ruszać.

- Północ - rzekł. - Twoje bagaże są spakowane. Wierni pomyśleliby, że uciekliśmy z powodu Sama Jenkinsa. „Zabiła go” - stwierdziliby - „i ukryła się przed prawem”.

Sąsiedzi uznaliby, że mąż schował mnie przed tobą, że poświęcił pracę, by ratować małżeństwo.

Moi przyjaciele zdaliby sobie sprawę, że w ogóle mnie nie znali, że nigdy nie byłam jedną z nich i nie zasługiwałam na ich zaufanie.

Tymczasem my jechalibyśmy na zachód - do Memphis i dalej, gdzie rzuci nas Los.

Oboje przez całe życie byliśmy autsajderami. Nie trzymały nas żadne więzi.

- To, dokąd się udamy, nie ma znaczenia tak długo, jak długo jesteśmy razem - powiedział Profesor.

Wstałam i ubrałam się w sukienkę, którą dla mnie przygotował. Umyłam twarz, spojrzałam na siebie po raz ostatni w lustrze nad umywalką. Przypomniałam sobie dzień, w którym pierwszy raz weszłam do tego pokoju; dzień, kiedy marzyłam o powodzi, w której tonie mój mąż.

Czekał na mnie w sypialni.

A ja myślałam, że odtąd będę żyć z dala od ciebie i twoich oczu - żyć w ciszy, w samotności, pełna nie wypowiedzianych słów.

W ciągu lat, które przeżyłam ze świadomością, że mego dziecka już nie ma, nauczyłam się jednego: że najbardziej dojmująca, najbardziej obecna jest nieobecność tych, których kochamy.

Wróciłam do sypialni i powiedziałam mu, że to wszystko prawda - że kocham cię całym ciałem i każdą myślą, że opowiedziałam ci to, czego przysięgłam nigdy nie wyjawiać, składając jego los - los mego męża, który nigdy mnie nie skrzywdził - w ręce jego wroga. Powiedziałam, że cię opuszczę i wyjadę z nim, ale wiem tak samo jak on,

że zabrakło nam już miejsc ucieczki i sposobów wymyślania sobie od nowa. Udawanie już nie wystarczy.

- Rzecz nie w tym, by znaleźć wyjście-powiedziałam, pokazując mu wnętrza swoich dłoni - lecz w tym, by nauczyć się żyć w labiryncie.

\*

Tym razem nie będzie jej łatwo uniknąć oskarżenia.

Blue musiała o tym wiedzieć, ale wydawała się dziwnie obojętna - jakby pogodziła się już z tym, co nieuniknione. Stała przy stole ze splecionymi ramionami, spokojnie odpowiadając na pytania detektywa. Mówiła, gdzie trzyma truciznę, jak rozrabia ją z wodą, dlaczego nie zadała sobie trudu, by schować ją przed Profesorem. Wciąż spoglądała na leżące na stole ciało. W czarnym plastikowym worku wydawało się jeszcze mniejsze niż za życia. Z wyciągniętymi wzdłuż boków ramionami Profesor przypominał bardziej dziecko niż mężczyznę i może to ją tak intrygowało; to sprawiało, że wyglądała, jakby nie była pewna, czy zna leżącą w worku osobę.

To dla niej nie nowość, pomyślał nagle Adam. Patrzyła, jak wynoszą z tego domu jej córkę; pochowała ją, a później walczyła z myślami, starając się zachować ją we wspomnieniach taką, jaka była za życia.

Ominął stół i podszedł do niej, położył jej rękę na ramieniu i spytał, czy chce usiąść. Potrząsnęła głową. Zaraz się rozplacze, pomyślał. Była zziębnięta, zapytał więc detektywa, czy nie zwolni jej na chwilę, żeby mogła włożyć coś cieplejszego. Policjantka w mundurze otworzyła jedną z walizek stojących w sieni i przyniosła Blue szmaragdowozielony płaszcz z szerokim paskiem.

W tejże chwili na scenie pojawił się Isiah Frank.

Miał na sobie płaszcz z wielbłądziej wełny z futrzanym kołnierzem, udrapowany niedbale wokół szyi kaszmirowy szalik i zamszowe rękawiczki starannie zatknięte w kieszeń. Niósł filiżankę kawy po turecku, którą zaparzył w domu i zabrał ze sobą. Sta-



nowczym tonem oświadczył policjantowi pilnującemu drzwi, że nie ma prawa powstrzymać obywatela, który pilnie musi mówić z policją.

- Miejsce zbrodni, też coś! - prychnął, znalazłszy się w jadalni. - Co to za miejsce, jeśli nie było zbrodni!

Widząc Blue, uniósł lewą rękę.

- A, tu jesteś! - wykrzyknął, odsuwając na bok detektywa. - Przybiegłem natychmiast, jak tylko się dowiedziałem.

Był w szczytowej formie, lepszy od wszystkich aktorów, jakich kiedykolwiek ubierał. Detektyw najwidoczniej nie miał z nim do czynienia, widział go po raz pierwszy. Kręcił głową z irytacją, ale nie starał się mu przerwać lub zmusić go, by wyszedł. Pozwalał mu odgrywać scenę po scenie. Z pewnością nie była to normalna procedura policyjna. Być może w innym domu, przy innej ofercie postąpiłby inaczej.

Isiah podszedł do stołu i postawił na nim filiżankę. Spozrzegłszy nagle zwłoki, wykrzywił się i cofnął ze zgrozą.

- U! - mruknął. - Nie wiedziałem, że on tu jest. Adam żałował, że hotelarza tu wpuszczono. Nie był w nastroju do wygłupów i nie ufał zboczonemu poczuciu humoru Isiaha.

- Zobaczmy... - Rozsunął zamek błyskawiczny i z zaciekawieniem zerknął na Profesora, uważając, by go przypadkiem nie dotknąć.

Po chwili zasunął zamek z powrotem. - Cóż za antyczny krawat! - rzucił.

Usiadł na krześle, na którym zmarł Profesor, i założył nogę na nogę. Sięgnął po filiżankę, pociągnął łyczek, umieścił ją sobie na kolanach, po czym spojrzał na zebranych.

- Całe miasto trzęsie się od plotek - wyjaśnił. Powiódł wzrokiem od Adama do Blue i znów do Adama.

- Pomyślałem: te gbury z policji na pewno będą nękać biedną dziewczynę. Doszedłem do wniosku, że w tej sprawie raczej nie mogę liczyć na ciebie.

Nie uśmiechał się, lecz w oczach miał psotny błysk - świadomość, pomyślał Adam, że swoimi słowami może zmienić bieg czyjegoś życia. Isiah uniósł brew i oznajmił sucho:

- Przyszedłem im powiedzieć, że przez całą noc była z tobą.

Wypowiedział to tak, jakby to była prawda. Odczekał chwilę, mierząc Adama wzrokiem, jak gdyby chciał spytać: „No i co ty na to?” Stawiał na swój aktorski talent, na umiejętność wykucia prawdy z iluzji.

Świadom, że to już nie przelewki, Adam odwzajemnił spojrzenie, ale milczał. Obok siebie czuł obecność Blue niczym źródło żaru.

Isiah poczynął sobie coraz śmieiej.

- Przyszła po północy - rzekł do detektywa. - I potem aż do rana musiałem ich słuchać. - Usiadł, pociągnął kolejny łyk kawy i zaczął opowiadać śledczemu o Ormiani-  
nie, który wróży z fusów. - Tarot to betka! - oznajmił.

- Kawa bardziej się sprawdza.

Następnie zaczął plotkować o romansie Adama z Blue.

- Nie żebym miał to dziewczynie za złe - zastrzegł się. - Dochowywać wierności temu tam... - kiwnął głową w stronę opiętego w worek ciała. - Tak czy owak, rano sam jej otwierałem drzwi.

Widać było, że jest z siebie dumny. Szykował wielki finał.

- Wyszła kilka minut po piątej - oświadczył.

Oczy wszystkich skierowały się na Adama.

- No powiedz im - mruknął Isiah, dopijając kawę. - Prawda, jak mawiają, cię uwol-  
ni.

Przed nim na stole stała pusta filiżanka, której białe wnętrze pokrywał labirynt ciemnych kawowych linii. Teraz wszystko zależało od niego. Mógł ją ocalić lub po-  
grążyć.

Uświadomił sobie, że wszystko zmierzało do tej właśnie chwili. Dążył ku niej od dnia, w którym będąc w Bejrucie przeczytał w gazecie o śmierci Sama i wrócił, by

odnaleźć własną przeszłość. Blue o tym wiedziała, ostrzegła go w czasie pierwszej rozmowy. Isiah Frank też musiał o tym wiedzieć. Dlatego tak bacznie go pilnował.

Kiedyś wyjechał stąd w nadziei, że przewycięży krzywdę i fałsz, które legły cieniem na jego życiu i życiu jego przodków. Wrócił po to, by wydobyć fakty na światło dzienne. Tymczasem sam stał się bohaterem reportażu, który zamierzał napisać.

Przybył tu, by dać świadectwo, przekonany o wadze prawdy, gotów ponieść jej konsekwencje. Teraz musiałby wydać Blue w ręce wrogów, powiedzieć im, że przyznała się do zabicia Jenkinsa, że nie było jej u Adama tej nocy, gdy zmarł Profesor.

Aby ją ocalić, będzie musiał dać się wciągnąć Isiahowi w grę pozorów, pogodzić się z tym, że ludzie nigdy nie poznają prawdy ani nawet roli, jaką obaj odegrali w jej ukryciu.

Może przez cały czas planowała zabić Profesora. Może od początku była w zмовie z Isiahem.

A może mówiła prawdę.

Być może zgrzeszyła tylko nadzieją, że Jenkins zginie, i niedyskrecją, gdy odkryła swoje myśli przed Adamem. A jeśli się nie mylił, kiedy wsłuchując się w każde słowo Blue, obserwując każdy ruch jej warg mówił sobie, że potrafi odróżnić prawdę od fałszu?

Być może dlatego sama do niego przysła, nie bała się opowiedzieć mu tego, co mógł wykorzystać przeciwko niej: bo podobnie jak on wierzyła w moc Prawdy.

Adam wysłuchał opowieści Blue; patrzył, jak żyją i umierają jej bohaterowie. On także znalazł się w tej opowieści i poza nią, lecz dziś nie był bliższy rozwiązania zagadki niż w dniu, kiedy tu przyjechał.

W ostatecznym rozrachunku, pomyślał, będzie musiał postawić na wiarę.

Zamknie oczy, obudzi w myśli echo jej głosu, wszystkich słów, które do niego wypowiedziała, pozwoli im wybrzmieć, osiąść z wolna jak jesiennym liściom, a potem zdecyduje, czy im wierzy.

Czuł się tak, jak gdyby rozmodlony trzymał węża wiedząc, że może go zabić lub uwolnić. Albowiem jeśli uzna, że mówiła prawdę, będzie to akt wiary.

Wyciągnął papierosa i zapalił go, nie podnosząc wzroku. Zaciągnął się głęboko. Przez chwilę przytrzymał drażniący dym w płucach i wypuścił go powoli.

Oczyma duszy ujrzał, jak zwraca się do Blue, ona idzie ku niemu tak jak tamtego pierwszego dnia w sierpniu.

Gdzieś w głębi domu zadzwonił telefon; ktoś go odebrał. Detektyw w okularach przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę i przysiadł na brzegu stołu. Isiah Frank milczał, władczo rozparty na krześle, pewien swego blefu.

Detektyw miał taką minę, jakby chciał mu zadać pytanie albo uprzedzić o konsekwencjach złożonych przez niego zeznań.

- Była ze mną - powiedział Adam głosem tak pewnym, że sam się zdziwił.

Świadomość tego, co zrobił, zapadła w nim jak kamień. Smutek i poczucie straty wypełniły mu pierś wciskając się w każdą najdrobniejszą szczelinę. Pomimo to nie żałował, że skłamał.

- Przyszła około północy - rzekł do detektywa - a wyszła tuż po piątej.

\*

Był pewien człowiek, który miał sekret tak mroczny i straszny, że poprzysiągł go chronić choćby za cenę życia.

Będąc chłopcem zakopał go w ogrodzie swojej babki w portowym mieście nad szeroką, rwącą rzeką.

Ale sekret przeniknął do korzeni róż, które jego babka posadziła w ogrodzie, wspiał się ciernistymi łodyżkami i co roku rozkwitał tysiącrotnie tysiącem różnych barw. Widząc to, chłopiec powyrywał róże, wygarnął ziemię i zamknął ją w skrzyni, tę zaś przemycił na rybacką łódź prosząc, by wyrzucono ją za burtę w miejscu, gdzie rzeka wpada do morza.

Sekret oplótł jednak każdą drobinę ziemi, której dotknął chłopiec, wlaźł mu za paznokcie, przylgnał do rąk, do ubrania. Chłopiec umył ręce w rzece, a odzież spalił,

kiedy wszakże wrócił do domu, przekonał się, że woda w ogrodowej studni jest już skażona tajemnicą.

Wypił więc całą wodę do ostatniej kropli, a następnie oznajmił rodzicom, że musi odejść-pojedzie tam, gdzie nikt go nie zna i nikt nie odgadnie jego sekretu. Przez dwadzieścia dziewięć lat żył w tym nowym miejscu, świadom, że sekret płynie w jego żyłach, gdy zaś nie mógł już znieść ciężaru wody w piersiach i brzuchu, znów wyjechał i znalazł sobie inne miejsce.

Starzejąc się patrzył, jak pory jego ciała stają się coraz szersze, coraz bardziej zdradliwe. Łzy płynęły mu z oczu częściej i obficie. Wtedy zdał sobie sprawę, że poświęcił życie walce, którą wkrótce przegra. Sekret żywił się jego ciałem i nabierał sił, gdy on tymczasem słabł. Czuł, że będzie musiał się poddać. Próbował znów zmienić miejsce pobytu, ale wiedział, że sekret pójdzie za nim wszędzie, a był już stary, zmęczony i bał się ryzyka.

Znalazł więc truciznę silniejszą od siebie, zmieszał ją w szklance z wodą i wypił, by utopić w niej swój sekret po wsze czasy.

\*

Isiah Frank pochował meble ogrodowe i okrył rośliny przed mrozem. Jego kot przycupnął na poręczy balkonu Adama, wygiął grzbiet i z niesmakiem zmrużył oczy. Wiał ostry, zimny wiatr. Zamiatął dzwonkami i jeżył sierść kota, ale ten zdawał się nieczuły na pogodę. Obserwował Adama, jak gdyby został tu przysłany przez właściciela na przespiegi.

Adam spakował swój mizerny dobytek. Wziął magnetofon i kasety z fragmentami reportażu, którego już nie napisze. Zostawił Isiaha i Blue w domu Profesora. Obiecał policji, że na razie zostanie w mieście. Dwóch świadków zapewniło Blue alibi; denat tak naprawdę nikogo nie obchodził, a szklanka z trucizną usiana była jego odciskami palców. Istniało małe prawdopodobieństwo, że prokurator wniesie oskarżenie. Adam

wiedział, iż uchylanie się od stawiennictwa jest karalne. Miał to w nosie. Postanowił wyjechać.

Otworzył drzwi do pokoju Holendrów. Zobaczył spakowane torby i parę drobiazgów, które zostawili na przechowanie u Isiaha. Pamiętał dzień, kiedy przybył do pensjonatu. Jacyż ci chłopcy byli niewinni, jak cieszyła ich wzajemna przyjaźń!

Na ulicy wiatr wgryzł się w niego lodowatymi kłami. Murzynka z antykwariatu przyglądała mu się przez witrynę. Miała na sobie żółtą letnią sukienkę i słomkowy kapelusz z szerokim rondem, ozdobiony papierowymi kwiatami i spływającą z boku wstążką. Adam wrzucił plecak na tylne siedzenie i ruszył nie oglądając się za siebie.

Jechał przez Gay Street mijając bistro Nata, hotel „Andrew Johnson”, gmach sądu i kino „Bijou”. Przy wjeździe na drogę numer 158 zerknął w lusterko i jeszcze raz zobaczył miasto - jego brukowane ulice, pełne rzeźb cmentarze, rzekę, która co dzień rano wynurzała się z mgły tylko po to, by odbijać barwy okolicznych gór. Opędził się myśli o Blue, przełknął ślinę i docisnął gaz.

Czteryście mil do lotniska w Waszyngtonie, a stamtąd może udać się dokądkolwiek.

Na James White Parkway trafił na południowy szczyt; musiał zwolnić. Przeskoczył na 1-81 i znów był sam - biała pusta droga słała się przed nim w mętym jesiennym słońcu, niczego nie obiecując i nie kłamiąc.

Czy ta dziewczyna, która sama nadała sobie barwę, kochała go chociaż trochę?

Pod Bristolem zaczęło padać. Nie zwolnił, choć droga była zapchana wielkimi jaszkrawymi ciężarówkami na gigantycznych kołach, które mijaly go niebezpiecznie blisko. Deszcz zalewał szybę, mimo że wycieraczki pracowały na najwyższym biegu. Adam zerkał nad dolną krawędzią przedniej szyby, wypatrując białych linii na asfalcie. Wyprzedzał kolejne ciężarówki walcząc z chęcią, by zwolnić i schować się na własny pas. Miał świadomość, że w każdej chwili może zginąć; wylecieć z szosy albo wpaść w poślizg - przy tej prędkości wystarczyłby byle kamień. Potem znów zjeżdżał na przeciwległy pas, wciskał gaz do dechy i pędził równolegle do ciężarówki wiedząc, że któryś z nich będzie musiał ustąpić. Niezmiennie zwalniał ten drugi.

Zawsze o tym wiedział: wygrywa ten, kto ma mniej do stracenia. Zapomniał o tym będąc z Blue i być może dlatego tak bardzo chciał wyjechać.

W Salem znów zaczął o niej myśleć. Deszcz zelżał; mógł się nieco odprężyć. Roztarł zdrętwiały kark i zjechał na stację benzynową, żeby zatankować i napić się kawy. Nagle zobaczył białe ramię Blue. Tak niedawno wodził po nim ustami od łokcia do pachy i dalej do piersi, marząc, by ta podróż nigdy nie dobiegła końca...

- Wygląda na to, że będzie lać przez cały tydzień. - Młoda, energiczna tleniona blondynka o długich paznokciach wręczyła mu resztę.

Stał deszcz z siedzenia samochodu i wyjechał ze stacji, trzymając w jednej ręce kubek z kawą. Myślał o Profesorze w żałobnym ubraniu i „antycznym” krawacie; o tym, jak przyniósł Blue pudełko kolorowych marcepanów, a potem siedział z nią przed lampą i zwierciadłem, które miały im zapewnić długie, szczęśliwe życie.

Co za ironia: Adam poznał kraj wspomnień Blue, zanim ją spotkał, mieszkał wśród jej ziomków. Zamienili się miejscami, każde uciekło ze swojego świata, a jednak koniec końców dotarli do tej samej prawdy.

Przez wiele lat podróżował po górach jej dzieciństwa, pływał po przejrzystych wodach morza Marmara. Wyobraził sobie matkę Blue - młodą dziewczynę, która odwraca się nagle, uśmiechając się do nieznajomego, a potem obłąkaną kobietę malującą los córki na jej dłoniach. Ujrzał Profesora, który kładzie nową sukienkę i tuzin złotych bransoletek na dywanie w namiocie koczownika.

Znał ich wszystkich od dawna.

Na drodze przed nim Murzynka w lawendowej sukience malowała usta; córka Blue biegła przez ogród z płomieniem we włosach czarnych jak skrzydło kruka; Profesor chodził po Paryżu wyobrażając sobie żonę wiszącą na żyrandolu w mieszkaniu, w którym ongiś razem jedli, spali, wychowywali dzieci.

Znał zarazem dzisiejsze Appalache Blue: jako dzieciak siadywał w tym samym kościele obok Anne Pelton, słuchał kazań Małego Sama w różnych miastach kraju, tak jak później ona. Powtarzał te same modlitwy w nadziei, że go ocala, mimo iż nie ma szczęścia.

W pewnym sensie nie różnił się od ludzi z opowieści Blue. Był taki jak jej ojciec-koczownik, taki jak Profesor, który umarł, gdy nie mógł już uciec od przeszłości, jak Sam i jego wierni, którzy machnęli ręką na życie doczesne, żeby zyskać wieczne. Podobnie jak oni wszyscy przez całe życie chciał uciec.

W dali na pustej drodze ujrzał linie wyrysowane w dłoniach Blue. Zrozumiał, że on także snuł się ścieżkami labiryntu, z którego nie ma wyjścia.

\*

Posłuchaj...

Była sobie kobieta, która kochała mężczyznę. Był samotny, niedostępny; widywała go w marzeniach i myślała, że zdoła znaleźć drogę do jego serca. Ofiarowała mu się więc niczym bajkę, pozwoliła mu się przejrzeć, jakby była ze szkła, wypłakała wszystkie łzy do flakonu i dała mu je w prezencie.

Otuliłam cię słowami, obsypałam pyłem z moich marzeń, światłem wszystkich gwiazd, które widziałam w młodości. Wyryłam ci moją historię w pamięci, wypisałam ją na łóżku, w którym sypiasz, na ziemi, po której stąpasz. Chciałam cię w ten sposób zatrzymać, byś nie odszedł.

Ale nadszedł dzień, gdy zabrakło mi słów i zostałam sama w mieście cierpiącym na bezsenność, w domu pełnym smutków i duchów małych dzieci. Uwolniłeś mnie z rąk wrogów i wyszedłeś, opuściłeś mój dom jesiennym rankiem nie oglądając się, nie dając mi znaku, bym za tobą poszła.

Zostałam więc i pochowałam męża. Potem otworzyłam niewielką walizkę, do której spakowałam swoje rzeczy, gdy jeszcze wierzył, że zdoła uciec. Wyjęłam je i powiesiłam w szafie.

Rozłożyłam jego książki, zgromadziłam jego papiery na biurku w gabinecie. Zapaliłam lampę, przy której czytał, i położyłam jego zegarek tam gdzie zawsze, naprzeciw



fotela. Nakręciłam zegar w jadalni, rozsunęłam zasłony, położyłam jego kapelusz w miejscu, gdzie kładł go wracając z pracy.

Oddałam mu jego dom taki, jakim go poznałam - symbol cywilizacji, namiastkę Europy, relikw godnego życia. Następnie wzięłam walizkę z rzeczami mojej córki i wyszłam.

Na ulicy spotkałam Isiaha Franka.

- Nie mam dokąd iść-powiedziałam do niego - i nie mogę zostać.

Uśmiechnął się i ujął mnie za rękę, odganiając machnięciem dłoni ciemną noc. Ulica przed nami pokryta była warstewką lśniącego srebrnego pyłu.

- To twoje słowa - rzekł Isiah - te, które wypowiedziałas do kochanka, które dałaś mu wraz ze swoją nadzieją.

Idę więc za słowami, stąkam po tej przejrzystej srebrnej drodze, która niczym wąż wiję się poprzez noc i jaśnieje w ciemności jak obietnica. Wyobrażam sobie pałac ze szkła, pieśń na ustach mężczyzny, któremu żadna z kobiet nie potrafi się oprzeć. Widzę złoto we włosach mojej matki, książki na biurku męża, węże w mojej dłoni. Wszystkie są jednym i tym samym, niczym więcej jak obietnicą odmiany losu, niczym mniej jak ścieżką lśniąca w mroku. Zaciskam w dłoni rączkę walizki z rzeczami córki i myślę, że powinnam ci była ją pokazać. Powinieneś był zobaczyć jej zdjęcia, zajrzeć jej w oczy.

Isiah Frank prowadzi mnie do domu, w którym się z tobą kochałam. Idzie ze mną na piętro, do twojego pokoju. Widzę twoje puste łóżko, pościel, w której z tobą spałam, lustro, które dotąd zachowało me odbicie.

- Nie wiem, dokąd odszedł - mówię do Isiaha - i nie sądzę, by wrócił.

Uśmiecha się ponownie i wiedzie mnie do komody, w której trzymał twoją odzież. Otwieram szufladę i widzę, że jest pełna srebrnego pyłu - maleńkich drobinek światła, miękkich jak piasek z dna rzeki, świetlistych jak brylanty. Zanurzam w nich dłonie, przesypuję między palcami.

Otwieram walizkę córki i wyjmuję jej zdjęcia, maleńkie kokardki, które wiązałam jej we włosach, satynowe buciki, które jej wkładałam, kiedy miała nie więcej niż miesiąc. Ustawiam je na komodzie i robię krok w tył, żeby im się przyjrzeć.

- To jest moje życie - mówię na głos.

Isiah Frank podchodzi do okna i otwiera je szeroko. Wieje chłodny wiatr, dzwonki dzwonią cicho, a gdy się kołyszą, sypie się z nich srebrny pył - moje słowa.

- Wypowiedz życzenie - mówi Isiah tonem reżysera teatralnego.

Słyszę już odgłos twoich kroków, bicie twego serca w ciszy tego domu. W lustrze widzę siebie jakby po raz pierwszy: samotna kobieta oderwana od swej historii, uwolniona nareszcie od nadziei i złudzeń tych, którzy wpisali się w jej życie. Schody skrzypią ci pod nogami, ściany się uginają, gdy je mijasz, i nagle stajesz w drzwiach, jakbyś wrócił z trwającej tysiąc lat wojny. Oczy masz obolałe z niewyspania, kołyszysz się niezdecydowany - wejść czy wyjść. Ale ja instynktownie wiem, czego ci trzeba. Podchodzę i dotykam twojej koszuli, zamykam oczy i czuję twoją krzepiącą obecność, ciężar twoich dłoni, które - wiem o tym -podtrzymają mnie, gdy będę padać.

- Wypowiedz życzenie - mówię - a ja je spełnię.

Koniec.

## PODZIĘKOWANIA.

Chciałabym podziękować mojej agentce, Barbarze Lowenstein, za krucjaty jakie dla mnie toczy; mojej redaktorce, cudownej Ann Patty, za niezrównaną intuicję i umiejętność wskazania mi właściwej drogi; wydawcy Danowi Farleyowi i redaktor naczelnej, Jane Isay, za ich wiarę.

Dzięki Davidowi Houghowi za cierpliwość; Claudine Guerguerian za okładkę; Jennifer Holiday i Tricii van Dockum za wspaniałą walkę.

Jestem wdzięczna mojemu mężowi, Hamidowi Davidowi Nahai, który wierzył w tę książkę od początku i natchnął ją swoją wyobraźnią i odwagą.

Dziękuję moim przyjaciółkom - Adriane Sharp, która przeprowadziła mnie przez labirynt, i Marilyn Stackenfeld, która przypomniała mi, że umiem pisać.

Dziękuję rodzicom, Giti i Francois Barkhodarom, za to, że nigdy nie zwątpili.

Dziękuję także moim dzieciom. Alex, Ashley i Kevin nadali barwy memu życiu i pomalują nimi jeszcze tysiąc dalekich krain.